PIENIĄDZE I WŁADZA
Korupcja, taśmy i bilans wyborczych szans

WALKA O ŻYCIE
Co dziesiąte dziecko rodzi się przedwcześnie

KRZYSZTOF ZANUSSI:
Szaleńcy Boży i ludzkie bestie

CZYTAJĄ NAM W MYŚLACH
Mózg nas zdradza, prosi się o pojedynek

Kraków 25 listopada 2018 nr 48 (3620) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Najsłynniejszy Polak świata

Nasze boje o Wiedźmina

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

„Tygodnik” + książka

UDANE POŁĄCZENIE!

Książka ks. Adama Bonieckiego „Połączenie odebrane”▪

W PREZENCIE

– dla każdego, kto wykupi do 30 listopada 2018 DOWOLNĄ▪▪ prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”!

Egzemplarz redakcyjny.
Nie do rozpowszechniania!

▪ „Połączenie odebrane”, rok wydania: 2018, cena katalogowa – 39,90 pln, stron 224. Wysyłka książki będzie realizowana w styczniu 2019 bez dodatkowych opłat.

▪▪ Aby skorzystać z oferty, należy do 30 listopada 2018 opłacić (wykupić nową lub przedłużyć na kolejny okres) dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”. Cennik i zasady zakupu prenumeraty opisane są poniżej.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł ▪	

▪ Oferta POKOLENIA
300 zł na rok

Niższa cena za roczną prenumeratę ekonomiczną dla osób, które w dniu zakupu są w wieku poniżej 25 albo powyżej 65 lat.

(Uwaga! zastrzegamy sobie prawo do weryfikacji prawa do ulgi.)

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO marketing automation

znak

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Jak gdyby uratował cały świat*

Bardziej niż kiedykolwiek polecam Temat (tego) Tygodnika. To tylko jeden tekst Małgorzaty Nocuń „Wczesne życie". Opowieść o konkretnym wydarzeniu, a w nim o wydarzeniach nieskończenie wielu. Dramatyczna historia o tym, jak z niebytu zjawia się nowy człowiek, opowieść o jego kruchości i potędze, a przede wszystkim o miłości, choć słowa „miłość" w tym tekście nie ma.

Kiedy piszemy, zawsze odsłaniamy siebie. Kiedy Michał Okoński pisze o futbolu, pisze też o sobie, o sobie pisze Paweł Bravo, pisząc o czerwonej cebuli, Artur Sporniak, kiedy pisze o Kościele, Szymon Hołownia i każdy autor, pisząc o czymkolwiek, zawsze pisze (też) o sobie. O sobie, lecz zwykle ostrożnie i dość wstrzemięźliwie, żeby broń Boże ktoś nie władował się z kaloszami w nasze życie, w intymne sprawy. Nie wszystko jest na sprzedaż i nie każdy potrafi tak przekazać swoje doświadczenie innym, żeby nie zrobił się z tego żenujący ekshibicjonizm.

Są jednak autorzy, którzy to potrafili. Do swoich ekstremalnych i – wydawałoby się – nieprzekazywalnych doświadczeń dopuścili innych. Tak potrafili o nich opowiedzieć, że ta opowieść raz usłyszana (czy przeczytana), pozostała na zawsze w pamięci, zapisana jak wspomnienie własnych przeżyć. Taka właśnie jest opowieść, którą obdarowała nas Małgorzata.

Sąsiadując z innymi (ważnymi) tekstami, dotyczącymi wielu (poważnych) kwestii, zawierającymi kilkanaście (cennych) wskazań w sprawach niecierpiących zwłoki i wyjaśniających kilka spraw niejasnych, opowieść Małgorzaty przenosi nas w świat spraw (jedynie) ważnych, w którym zaciekłe podziały i walki tracą sens, gdyż w grę wchodzą życie, śmierć i miłość. W świecie opisanym w tej opowieści, świecie, który zawsze istniał, a którego nie dostrzegaliśmy, zajęci naszymi, często absurdalnymi problemami, wszyscy po równo jesteśmy słabi i bezradni.

Ktoś trafnie stwierdził, że napięcie towarzyszące opowiedzianej tu historii można porównać jedynie ze stresem bojowym. Tylko że w boju chodzi o to, by zabić jak najwięcej ludzi, tu zaś, by od śmierci uchronić jednego człowieka.

Ma rację Talmud Babiloński, kiedy głosi, że „jeśli człowiek niszczy jedno życie, to jest tak, jak gdyby zniszczył cały świat. A jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak, jak gdyby uratował cały świat". ©℗

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

WROCŁAW, środa, 21 listopada, godz. 17.00
Miejsce: Ratusz, Sala Mieszczańska, Rynek 50

WARSZAWA, środa, 28 listopada, godz. 18.00
spotkanie autorskie, promocja wywiadu rzeki Anny Goc „Boniecki. Rozmowy o życiu". Miejsce: Muzeum POLIN, ul. Anielewicza 6. Spotkanie będzie transmitowane na żywo w internecie pod adresem: **powszech.net/polin**
Podczas spotkania będzie możliwość zakupienia książki.

LUBLIN, czwartek, 6 grudnia, godz. 18.30
spotkanie autorskie, sala 408, Centrum Transferu Wiedzy KUL, Aleje Racławickie 14

Kontakt w sprawie spotkań: **kuczminska@tygodnik.com.pl**

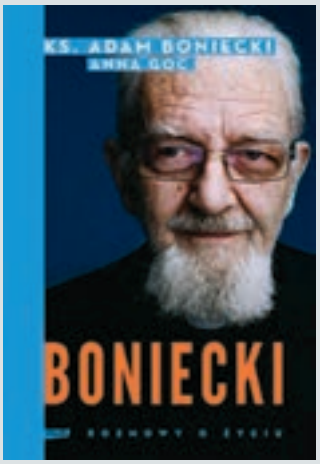

Książka
„Boniecki. Rozmowy o życiu"
JUŻ W SPRZEDAŻY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Krajobraz po remisie
RAFAŁ MATYJA
Kto weźmie władzę za rok? Zdecydują o tym nie tylko losy głównych obozów, ale też to, jak poradzą sobie wiosną PSL i jeszcze nieokreślona formacja lewicy.

26 Komisja Nadzoru Fikcyjnego
MAREK RABIJ
Czy politycy, którzy powołali do życia KNF, nie zdają sobie sprawy z jej słabości, czy z premedytacją wyrwali jej zęby?

34 Szaleńcy i bestie
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ZANUSSIM, REŻYSEREM:
Czasem ogarnia mnie groza na myśl, że może zbawionych będzie tylko kilku... „Eter" nakręciłem trochę we własnym interesie.

78 Co nam mówi Pępek Świata
PIOTR SIKORA
Delfy to źródło greckiej mądrości, bez której kultura Europy nie byłaby tym, czym jest.

W tamtejszym sanktuarium wyryto co najmniej 147 sentencji, które tłumaczą, jak żyć.

64 Więcej niż złoto
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
„Wiedźmin" to pierwszy polski superprodukt kulturowy z prawdziwego zdarzenia – jest franczyzą taką jak „Gwiezdne wojny".

30 Jakość dźwięku ocenia się po cichu
ANDRZEJ MUSZYŃSKI
Czasem żałuję, że to radio nie psuje mi się częściej. W zasadzie wcale nie zawodzi. Jeździłbym wtedy częściej do pana Ryszarda Dulskiego, który ożywia stare radioodbiorniki.

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

WITOLD SPISZ / REPORTER // JACEK DOMIŃSKI / REPORTER // AKG / EAST NEWS // JACEK TARAN DLA „TP" // MATERIAŁY PRASOWE CD PROJEKT // MACIEJ SZCZEŚNIAK / NEXTFILM

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Brexit na ostatniej prostej
MARCIN ŻYŁA

7-11 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Krajobraz po remisie
RAFAŁ MATYJA

24 Uciec z protektoratu
MAREK NOWICKI: *Polska nie straciła niepodległości w 1795 r., tylko znacznie wcześniej. Musimy w końcu zrozumieć ten fakt*

26 Komisja Nadzoru Fikcyjnego MAREK RABIJ

■ ■ REPORTAŻ

30 Jakość dźwięku ocenia się po cichu
ANDRZEJ MUSZYŃSKI

■ ■ WIARA

34 Szaleńcy i bestie ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ZANUSSIM

38 Wiara w kulturze eventu
KS. ANDRZEJ DRAGUŁA: *Indywidualizm to coraz większe wyzwanie dla Kościoła*

41 Koniec przywileju
BARTOSZ HLEBOWICZ: *Włoski Kościół ma oddać zaległe 5 mld euro podatku od nieruchomości*

42 Pokusa usprawiedliwiania Boga ARTUR SPORNIAK *o książce ks. Tadeusza Pabjana*

■ ■ ŚWIAT

44 Imigranci w rękach Trumpa MARTA ZDZIEBORSKA: *Prezydent USA zmiany w polityce imigracyjnej wprowadza także po cichu*

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

12 Wczesne życie
MAŁGORZATA NOCUŃ
Julek przez wiele dni wyglądał tak samo. Pod pomarszczoną, pokrytą meszkiem skórą wyczuwalna była każda kosteczka, rysowała się plątanina żył.

W Polsce co dziesiąty noworodek przychodzi na świat przedwcześnie.

JOANNA RUSINEK

■ DODATEK SPECJALNY ■

ODNALEZIONE W TŁUMACZENIU

■ FELIETONY ■

29 ANNA DZIEWIT-MELLER **43** SZYMON HOŁOWNIA **61** WOJCIECH BONOWICZ **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

Na okładce: WIEDŹMIN 3 DZIKI GON / CD PROJEKT
Fotografia: Game Shots / Alamy Stock Photo
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

48 Szpieg po wiedeńsku
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Skandal szpiegowski podważa forsowaną przez prawicowo-populistyczną koalicję politykę zbliżenia z Moskwą*

50 Sedes Stalina i inne cuda
DARIUSZ KAŁAN: *Wielu Gruzinów wciąż otacza sentymentem postać ich najsłynniejszego rodaka*

■ ■ HISTORIA

53 Sto lat z rocznicą
ANDRZEJ ZAWISTOWSKI: *Jak w minionym stuleciu świętowano niepodległość*

56 Wszystkie unie Europy
ROZMOWA Z ROBERTEM I. FROSTEM: *UE staje dziś przed podobnymi problemami jak kiedyś Rzeczpospolita Obojga Narodów*

■ ■ NAUKA

58 Czytający w myślach
ŁUKASZ KWIATEK *o badaniach Johna-Dylana Haynesa*

■ ■ KULTURA

64 Więcej niż złoto
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

69 Życie jest plotką
MICHAŁ SOWIŃSKI *o Elizabeth Strout i jej powieściach*

72 Dzwon jak serce
KAJETAN PROCHYRA: *Muzyka Arvo Pärta jest w ciszy*

74 Benefis genialnego chłopca
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Gentleman z rewolwerem”*

75 Warto zobaczyć w TV

76 Wielogłos
LEKTOR *o książce „100 wierszy wypisanych z języka angielskiego” w przekładzie Jerzego Jarniewicza*

■ ■ ZMYSŁY

78 Co nam mówi Pępek Świata
PIOTR SIKORA

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Taki mamy klimat
Powiedzieć, że świat nauki znów zasypał nas niepokojącymi danymi, to nie powiedzieć nic – **ADAM ROBIŃSKI** *pisze o nowych badaniach klimatologów, bezwzględnych dla porozumień paryskich*
powszech.net/klimat

Futbol jest okrutny
O pocieszeniu, jakie dają muzyka i kibicowanie – **MICHAŁ OKOŃSKI** *wyjaśnia, co łączy nową płytę Marka Knopflera ze słynnym hymnem fanów Liverpoolu*
okonski.blog.tygodnikpowszechny.pl

Czytamy Naturę
Kiedy trzmiele zachowują się dziwnie? W jaki sposób kolonizowaliśmy Ameryki? – *odpowiedzi zdradza* **ŁUKASZ LAMŻA** *w nowym programie popularnonaukowym Centrum Kopernika*
powszech.net/czytamynature

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

SIMON DAWSON / REUTERS / FORUM

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

BREXIT NA OSTATNIEJ PROSTEJ

Na cztery i pół miesiąca przed terminem opuszczenia Unii Europejskiej przez Wielką Brytanię ważą się losy rządu Theresy May.

MARCIN ŻYŁA

Ostatni sezon serialu „Brexit" rozpoczął się od ucieczki jednego z głównych bohaterów. Dominic Raab, brytyjski minister odpowiedzialny za rozmowy z Brukselą, uznał, że nie może się podpisać pod ogłoszonym w minionym tygodniu porozumieniem, które sam negocjował – i podał się do dymisji. W tarapatach znalazła się premier Theresa May: zdobyła wprawdzie w tej sprawie poparcie swojego rządu, ale dopiero najbliższe dni pokażą, czy wygra też w parlamencie, a wręcz – czy sama pozostanie na stanowisku. W chwili zamykania tego numeru „Tygodnika" grupa przeciwnych porozumieniu członków jej własnej Partii Konserwatywnej wciąż szukała posłów, którzy byliby skłonni poprzeć ewentualny wniosek o wotum nieufności wobec May.

Biorąc pod uwagę takie okoliczności nie powinno dziwić, że choć w 585-stronicowym dokumencie – efekcie kilkunastu miesięcy brytyjsko-unijnych negocjacji, mającym uregulować procedurę brexitu – nie znalazło się nic zaskakującego, to w ostatnich dniach wykres wartości funta znów przypominał chwilami opadające przepaścią ku morzu białe klify Dover. Unia wygrała bowiem starcie z Wielką Brytanią: stanęła do negocjacji wyjątkowo zjednoczona, broniąc zasady, że uczestnictwo we wspólnym rynku musi oznaczać akceptację dla m.in. wolności przekraczania granic, i zmuszając Londyn do ustępstw.

Efekt? W unijnym referendum dwa i pół roku temu 52 proc. Brytyjczyków zagłosowało za „odzyskaniem kontroli" nad swoim państwem. Tymczasem w minionym tygodniu

Dominic Raab, brytyjski minister ds. brexitu, opuszcza siedzibę premier May na Downing Street, Londyn, 12 listopada 2018 r.

znacznie więcej zdało sobie sprawę z tego, że opuszczając Wspólnotę, częściowo tę kontrolę straci. Zjednoczone Królestwo przestanie być członkiem Unii w piątek 29 marca 2019 r. o godzinie 23 czasu londyńskiego. Rozpocznie się wtedy 22-miesięczny okres przejściowy (z możliwością przedłużenia, jak zapowiada Unia, do końca 2022 r.), podczas którego Brytyjczycy wciąż będą wpłacać do budżetu Unii ok. 9 mld funtów rocznie, sądy na Wyspach będą wciąż podlegać orzecznictwu Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, zostanie utrzymana swoboda przemieszczania się obywateli Unii przez brytyjską granicę, a Londyn wciąż będzie musiał stosować się do unijnych zasad handlu z krajami trzecimi. To wszystko kosztem braku politycznej reprezentacji w Unii i jakiegokolwiek wpływu na decyzje, także te, które mogą szkodzić Wielkiej Brytanii.

W niedzielę 25 listopada, na specjalnie zwołanym szczycie, wynik negocjacji mają zaakceptować przywódcy Unii. Prawdopodobnie na początku grudnia będzie głosować nad nim brytyjski parlament. Jeśli opowie się przeciw – a jest to bardzo prawdopodobne – wtedy rząd w Londynie będzie miał trzy tygodnie na przedstawienie nowego planu: opuszczenia Unii bez żadnego porozumienia, próby renegocjacji obecnego (ale Bruksela twardo zapowiada, że nie ma o tym mowy) lub ogłoszenia w Wielkiej Brytanii nowych wyborów. Do tych samych efektów może doprowadzić odrzucenie przez parlament (na początku 2019 r.) przygotowanej na podstawie porozumienia ustawy w sprawie wyjścia z Unii.

Czy do brexitu może jeszcze w ogóle nie dojść? To mało prawdopodobne, lecz ciągle możliwe. Premier May sprzeciwia się pomysłowi powtórnego referendum, ale nieco śmielej mówią już o nim nawet niektórzy członkowie jej partii. W sytuacji politycznego chaosu na Wyspach zakończenie trwającego trzy lata serialu „Brexit" decyzją o pozostaniu w Unii byłoby przecież bardzo brytyjskie: trochę absurdalne, trochę surrealistyczne, ale wciąż – najbardziej pragmatyczne. ©℗

Tekst ukończono w poniedziałek 19 listopada.

Bocianie Gniazdo nad głową Babiša

PATRYCJA BUKALSKA

Czeski rząd się chwieje. Na uroczystości z okazji 29. rocznicy Aksamitnej Rewolucji w ubiegłym tygodniu nałożyły się demonstracje z żądaniem dymisji premiera Andreja Babiša.

Gdy jesienią 2017 r. ANO, partia miliardera Babiša, wygrała wybory w Czechach, szybko okazało się, że od zwycięstwa do stworzenia rządu droga daleka. Za premierem ciągnie się niejasna przeszłość (podejrzenia o współpracę z bezpieką przed 1989 r., którym on zaprzecza) oraz niejasne interesy – chodzi m.in. o zarzuty wyłudzenia unijnych dotacji przy przebudowie centrum szkoleniowego Bocianie gniazdo. Rząd powstał po prawie dziewięciu miesiącach politycznych targów, przy czym głównym problemem była właśnie kontrowersyjna osoba Babiša jako premiera. Teraz, rok po wyborach, opozycja chce głosowania nad wotum nieufności, a Czesi wychodzą na ulice, żądając, by Babiš ustąpił.

Skąd ta nagła mobilizacja opozycji i części obywateli? Powróciła sprawa Bocianiego Gniazda – i to w najmniej spodziewany sposób. Czescy dziennikarze ujawnili przeprowadzoną w Szwajcarii rozmowę z przebywającym tam synem premiera, Andrejem Babišem juniorem. Opowiedział, jak to współpracownik ojca miał wywieźć go... na Krym. Miał być tam przetrzymywany, aby nie mógł zeznawać w sprawie Bocianiego Gniazda. Premier twierdzi, że syn ma problemy psychiczne, i że dziennikarze go wykorzystali, a on sam ustępować nie ma zamiaru.

Kraj wrze, a dramat rodzinny zamienia się w narodowy. ©℗

Nieczysta gra Facebooka

AMERYKAŃSKA TELEWIZJA Frontline wyemitowała niedawno film o Facebooku, z którego dowiedzieliśmy się, że zarząd firmy wielokrotnie ignorował przestrogi aktywistów, ekspertów i polityków z całego świata, dotyczące wrogiej działalności na tej platformie. Teraz „New York Times" publikuje raport śledztwa poświęconego Facebookowi. Wynika z niego, że firma odkryła rosyjską działalność już wiosną 2016 r., ale zarząd ignorował i umniejszał ustalenia własnego zespołu ds. bezpieczeństwa. A gdy Mark Zuckerberg przepraszał za „zbyt wolną reakcję", Sheryl Sandberg – druga najważniejsza osoba w tym medium społecznościowym – kierowała agresywną kampanią, mającą dyskredytować krytyków Facebooka (m.in. sugerując ich związki z... Sorosem) i blokować inicjatywy prawodawcze, które mogły szkodzić gigantowi.

Wspierali ją politycy. Najwyższy rangą w Senacie Demokrata Chuck Schumer interweniował na korzyść FB, a zarazem otrzymał największe ze wszystkich polityków wsparcie finansowe od pracowników portalu (jego córka zaś pracuje dla Zuckerberga).

Dzięki publikacjom Frontline'a i „NYT" dowiadujemy się więc, że wartą setki miliardów dolarów firmą kierowała nie „naiwność" i „niedopatrzenia", ale twarda gra, mająca na celu uniknięcie odpowiedzialności. ©℗ PATRYK STANIK

Singapur: nauka bez egzaminów

W CIĄGU TRZECH NAJBLIŻSZYCH LAT ze szkół w Singapurze znikną egzaminy. Władze azjatyckiego państwa-miasta stawiają teraz na kształcenie umiejętności pracy zespołowej i myślenia analitycznego, kosztem mniejszej ilości wiedzy encyklopedycznej. Szkoła – co budzi największe obawy rodziców wysoko oceniających poprzedni system – nie będzie również kłaść nacisku na rywalizację pomiędzy uczniami: z dzienników zniknie średnia ocen danego przedmiotu oraz miejsce, które dziecko zajmuje w klasie. Wzrośnie za to nacisk na umiejętność prowadzenia zdrowego trybu życia i diety.

Rezygnacja z egzaminów przebiegnie etapami: od nowego roku znikną testy końcowe w klasach najmłodszych. Uczniowie najstarszych klas szkół średnich pożegnają je w roku szkolnym 2020/21. „To czytelny sygnał, że dyscyplina szkolna stoi na dostatecznie wysokim poziomie, byśmy mogli pozwolić sobie na więcej swobody" – komentuje minister edukacji Singapuru Ong Ye Kung.

System edukacji w Singapurze należy do z najskuteczniejszych w świecie. ©℗ MR

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Szlachetna Paczka uzyskała pełnoletność

ARTUR SPORNIAK

Ruszyła 18. edycja Szlachetnej Paczki. 17 listopada otwarto bazę rodzin, do których trafi pomoc w tym roku. Ten rok jest dla akcji szczególny. Po kryzysie wizerunkowym spowodowanym pojawieniem się oskarżeń o stosowanie mobbingu przez twórcę Szlachetnej Paczki, ks. Jacka Stryczka, przyszłość inicjatywy stanęła pod znakiem zapytania. Już teraz jednak widać, że Paczka całkiem dobrze radzi sobie z trudnościami. „Jeżeli chodzi o partnerów, musieliśmy ich na nowo przekonywać do siebie. Jednocześnie wszyscy zostali" – mówiła Joanna Sadzik, następczyni ks. Stryczka w kierowaniu Stowarzyszeniem „Wiosna", organizatorem Paczki. Koordynatorka ds. mediów Katarzyna Kowalska poinformowała „Tygodnik", że jest już komplet wolontariuszy. To druga ważna informacja: udało się utrzymać aktywność na dotychczasowym poziomie 12 tys. wolontariuszy, choć jeszcze na początku września sądzono, że będzie ich o 2 tys. więcej.

Po trzech dniach licznik na stronie Szlachetnej Paczki wskazywał 9159 rodzin w potrzebie, w tym 5376 znalazło już darczyńców. Dynamika deklarowania pomocy rokuje zatem dobrze. W zeszłym roku Szlachetna Paczka połączyła 810 tys. ludzi. Wolontariusze przekazali paczki dla 20 tys. rodzin od 700 tys. darczyńców o łącznej wartości 54 mln złotych.

Także zbiorcze dane robią wrażenie: przez 18 lat w akcję włączyło się 4 mln osób, a łączna wartość pomocy – przekazanej ponad 150 tysiącom rodzin w potrzebie – przekroczyła ćwierć miliarda złotych. Paczka osiągnęła prawdziwą pełnoletność, czyli uniezależniła się od swego twórcy. ©℗

EDGAR SU / REUTERS / FORUM

Radwańska odłożyła rakietę

TO STRATA nie tylko dla tenisa. W wieku 29 lat Agnieszka Radwańska ogłosiła zakończenie kariery. Była naszą najlepszą zawodniczką i jedną z najważniejszych ambasadorek polskiego sportu, rozpoznawaną na świecie. Na igrzyskach w Londynie niosła sztandar naszej reprezentacji.

Uwodziła stylem – jej długie wymiany i akrobatyczne zagrania regularnie przynosiły jej specjalne nagrody publiczności. Wygrała w 20 turniejach WTA, ale w żadnym z czterech najważniejszych – wielkoszlemowych. Szczyt kariery osiągnęła w 2012 r. – po przegranym finale Wimbledonu sklasyfikowano ją na drugim miejscu w światowym rankingu. Przez cztery kolejne lata utrzymywała się w ścisłej czołówce. W ostatnim czasie nie opuszczały jej problemy zdrowotne, czym zresztą tłumaczy swoją decyzję.

Jeżeli byliśmy rozczarowani jej olimpijskimi występami – nigdy nie zdobyła na nich medalu – to głównie dlatego, że przez lata przyzwyczailiśmy się zachwycać jej grą. ©℗ ŁK

Bezimienny rzecznik praw dziecka

„NASZYM KANDYDATEM jest pan Michał Pawlak" – powiedziała podczas prasowego briefingu rzeczniczka PiS Beata Mazurek, myląc imię kandydata własnej partii na Rzecznika Praw Dziecka. Mikołaj Pawlak musiał też być bliżej nieznany mediom, z których wiele powtórzyło błąd (do dziś niektóre – np. strona tygodnika „Do Rzeczy" – upierają się przy wersji rzeczniczki). Kolejny kandydat PiS na RPD – po Sabinie Zalewskiej, która zrezygnowała za sprawą publikacji „TP", i Agnieszce Dudzińskiej, którą odrzucił Senat – nie jest też szeroko znany jako obrońca praw dzieci. Na ich rzecz pracował przez ostatnie dwa lata jako dyrektor Departamentu Spraw Rodzinnych i Nieletnich w resorcie sprawiedliwości (nadzorował m.in. pracę sądów rodzinnych, zakładów poprawczych, odpowiadał za system pomocy pokrzywdzonym, w tym dzieciom). Wcześniej Pawlak (magister prawa z KUL) był adwokatem przy sądach kościelnych w sprawach o stwierdzenie nieważności małżeństw i prowadził prywatną praktykę. Parlamentarzyści, którzy zdecydują o jego losie, będą się więc musieli natrudzić, by wykazać spełnienie wymogów formalnych. Ustawa o RPD mówi o co najmniej 5-letnim doświadczeniu „w pracy z dziećmi lub na ich rzecz". ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Egzemplarz redakcyjny, nie do rozpowszechniania!

W SKRÓCIE

FANTAZJOWANIE. Jeśli sądzić z okładek prorządowych tygodników, największym problemem obozu władzy nie są nagrania ujawniane przez Leszka Czarneckiego, ale perspektywa powrotu Donalda Tuska do krajowej polityki: na okładce „Sieci" przewodniczącemu Rady UE pokolorowano włosy na intensywnie rudy, a na okładce „Do Rzeczy" umieszczono pod szyją muchę w barwach unijnej flagi i włożono do ręki tacę, na której upostaciowiono mroczne fantazje o gejach i islamie.

PALENIE. To ciekawe, jak flaga Unii działa na niektórych: podróżnik Cejrowski spalił ją podczas rozmowy z dziennikarzem TVP Info.

WOJOWANIE. Inny podróżnik (sławetne stały się jego wyprawy na Wyspy Brytyjskie) Jacek Międlar wydał książkę pt. „Moja walka o prawdę". Jeśli zważyć, że po skargach klientów, iż publikacja szerzy mowę nienawiści, Empik zawiesił jej sprzedaż, walka o prawdę może jeszcze potrwać.

OFEROWANIE. Ryszard Petru założył nową partię, która nazywa się „Teraz!" – i wiele wskazuje, że właśnie teraz wymieniamy jej nazwę po raz ostatni. „Chcemy złożyć ofertę dla Polaków przedsiębiorczych i aktywnych, ale także tych, którzy nie radzą sobie i trzeba im pomóc" – deklaruje dawny lider Nowoczesnej.

RYWALIZOWANIE. Jego oferta dotyczy najwyraźniej polskich sportowców. Skoczkowie narciarscy wygrali drużynowy konkurs Pucharu Świata w Wiśle, piłkarze natomiast nie poradzili sobie w towarzyskim meczu z Czechami i ewidentnie trzeba im pomóc.

RADZENIE. Pomocy wymaga również Radio Maryja, i tym razem nie chodzi o dotacje, których ponoć skąpią o. Rydzykowi przedstawiciele rządu. Rozgłośnia zapowiada audycję „Jak być dobrą żoną w sypialni?", a my życzliwie podpowiadamy, że wypadałoby dopełnić ją drugą, „Jak być dobrym mężem w sypialni?" (i nie tylko w sypialni zresztą).

ANGELO CARCONI / EPA / PAP

Dzień ubogich

PÓŁTORA TYSIĄCA ubogich i bezdomnych zjadło niedzielny obiad z Franciszkiem w auli Pawła VI z okazji II Światowego Dnia Ubogich (na zdjęciu). Podano lazanię, kurczaka z ziemniakami i tiramisu. W orędziu Franciszek przestrzegał: „Obawiam się, że wiele inicjatyw, nawet godziwych i koniecznych, jest bardziej ukierunkowanych na samozadowolenie niż na prawdziwe rozpoznanie wołania ubogiego". Kard. Konrad Krajewski, charakteryzując poglądy papieża, zauważył: „Nieraz mu się zarzuca, że jest trochę nakręcony, mówiąc ciągle o ubogich. Nakręcony był Jezus, nie papież". W Krakowie obchodzono Tydzień Ubogich. Na Małym Rynku stał Namiot Spotkania, w którym chętni mogli się posilić, potańczyć, pograć w planszówki czy sporządzać ozdoby choinkowe. Do ich dyspozycji byli lekarze, urzędnicy Rzecznika Praw Pacjenta i psychologowie. W niedzielę abp Marek Jędraszewski odprawił w Bazylice Mariackiej mszę, po czym wspólnie z 8 tys. ubogich zjadł obiad (bigos). Na zakończenie wszyscy otrzymali paczki z konserwami, bułkami, grubymi skarpetami i szalikami. ©℗ MAM

ROZANIECROWEROWY.PL

RÓŻANIEC ROWEROWY (pierwszy na świecie!) można by reklamować takim hasłem: „Jeśli twoje wycieczki rowerowe są na tyle monotonne, że oprócz uważania na drogę możesz robić coś jeszcze, módl się na różańcu". Uprzedzamy jednak: b-Rose drogo kosztuje – za plastikowy pierścień nakładany na kierownicę trzeba zapłacić 34 zł. ©℗ ASK

Najstarsza siostra

W KRAKOWIE zmarła s. Cecylia Roszak, dominikanka, najstarsza zakonnica w Polsce. Miała 110 lat. 89 przeżyła w klasztorze – najdłużej w krakowskim konwencie Na Gródku, gdzie była furtianką, organistką, kantorką i – kilkakrotnie – przełożoną. Pracowała też w Wilnie, dokąd wyjechała z grupą sióstr tuż przed wybuchem II wojny, by otworzyć nowy dom zakonny. Po zajęciu miasta przez Niemców ukrywała w wileńskim klasztorze dwoje żydowskich dzieci W 2008 r. Instytut Yad Vashem odznaczył ją medalem „Sprawiedliwy wśród narodów świata". ©℗ EA

Lista wciąż niepełna

ANNA GOC

Centrum Ochrony Dziecka, działające pod kierunkiem o. Adama Żaka (koordynatora Episkopatu), ogłosiło: jest kompletna lista delegatów ds. ochrony dzieci i młodzieży. Przypomnijmy: delegaci zostali powołani w 2014 r. w każdej z 44 diecezji i w każdym z 32 zgromadzeń zakonnych – to do nich powinny zgłaszać się ofiary (do diecezji lub zgromadzenia, z którym związany jest duchowny). W Polsce jest więc blisko 80 osób, które mają przyjmować zgłoszenia o wykorzystywaniu seksualnym nieletnich przez księży i informować, na jaką pomoc (psychologiczną i prawną) mogą liczyć ofiary. To wymóg Kongregacji Nauki Wiary z 2011 r.

Wcześniej na 44 diecezje tylko 18 podawało pełne dane (nazwisko delegata, adres mailowy i telefon). Teraz, choć lista się wydłużyła, wciąż brakuje numeru telefonu do sześciu delegatów w diecezjach i do co trzeciego w zgromadzeniach (telefonu nie podali m.in. marianie i paulini). Można po raz kolejny zapytać: jeśli po kilku latach nie udało się ustalić telefonu 15 delegatów, to na jaką pomoc mogą liczyć ofiary w tych diecezjach i zgromadzeniach zakonnych? ©℗

Bój o ukraińskie prawosławie

SYNOD ZJEDNOCZENIOWY, który wyłoni Ukraińską Cerkiew Prawosławną – niezależną od Moskwy i związaną z Patriarchą Ekumenicznym w Stambule – nie zacznie się pod koniec listopada, jak sądzili optymiści. Rzecznik Kijowskiego Patriarchatu powiedział w minionym tygodniu, że nie ustalono jeszcze daty. Ukraińskie media spekulują, że w synodzie wezmą udział, obok Kijowskiego Patriarchatu i Cerkwi Autokefalicznej (niezależnych od Moskwy), także niektórzy biskupi z Patriarchatu Moskiewskiego. Ale większość z 80 biskupów „moskiewskich" raczej zignoruje synod.

Tymczasem w sporze między rosyjską Cerkwią (uważa ona Ukrainę za swój teren) a Patriarchą Ekumenicznym Bartłomiejem (który chce nadać ukraińskiemu prawosławiu niezależność, uznając Ukrainę za swą jurysdykcję) kolejne lokalne Cerkwie zajmują stanowisko. Większość sygnalizuje neutralność, niektóre poparcie dla Bartłomieja (np. rumuńska), inne (np. serbska) dla Moskwy. Do tych ostatnich dołączyła Cerkiew w Polsce, która zakazała swym księżom kontaktów z niezależnymi Cerkwiami ukraińskimi (styl jej oświadczenia jest obraźliwy: nie tylko nazwy ukraińskich Cerkwi ujęto w cudzysłów, ale nawet słowo „duchowni" w odniesieniu do ich kapłanów).

Rosja może też destabilizować ukraiński synod. W minionym tygodniu nieznani sprawcy rzucili „koktajle Mołotowa" pod drzwi kościoła św. Andrzeja w Kijowie (nie doszło do pożaru). Po tym, jak ukraiński parlament przekazał ją niedawno w użytkowanie Patriarchatowi Ekumenicznemu, barokowa świątynia jest „ambasadą" Bartłomieja. Atak odebrano jako próbę zastraszenia. ©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

RENATO VALTERZA / AGF / EAST NEWS

MORZE CZUKOCKIE – MISIOWY RAJ. Nie wszędzie zmiany klimatyczne uderzają w grupy białych niedźwiedzi, których globalna populacja spadła do ok. 26 tys. osobników. Według ustaleń Erica Regehra i współpracowników, opublikowanych w „Scientific Reports", populacja zamieszkująca Morze Czukockie, opływające północno-wschodnią Rosję i północno-zachodnią Alaskę, w ostatnich latach radzi sobie świetnie. Choć topniejące lody zmuszają tamtejsze niedźwiedzie polarne (na zdjęciu jeden z nich) do zmiany sposobu życia, w dość płytkich wodach Morza Czukockiego na razie roi się od fok – ich największego przysmaku. Dostępność żywności pozwoliła niedźwiedziom osiągnąć wysoki współczynnik przeżywalności i dzietności. Cała ich czukocka populacja liczy 3 tys. osobników, a ich gęstość rozmieszczenia to 0,0036 niedźwiedzia na km^2. Co ciekawe, ustalono to bez żmudnego zliczania wszystkich osobników. Badacze pochwycili i przebadali ok. 300 misiów, z których część wyposażyli w nadajniki GPS. Później zbudowali matematyczny model i to na jego podstawie oszacowali liczebność populacji. Jako w równaniach, tak i w rzeczywistości. ©℗ ŁK

Jezus z pustyni Negew

NIE MIAŁ BRODY ani wąsów, jego włosy były krótkie i kręcone, twarz pociągła, nos długi, a oczy duże – tak przynajmniej wynika z wizerunku Jezusa, znalezionego w ruinach kościoła w Sobocie (Sziwta) na południu Izraela. Tę wczesnobizantyjską osadę na pustyni Negew odkryto w 1871 r. Nie była miastem żydowskim – założyli ją w I wieku n.e. Nabatejczycy, potem znalazła się w Imperium Rzymskim, w VII w. przeszła pod władzę kalifów, a na przełomie VIII-IX w. zniszczyło ją trzęsienie ziemi. Miała co najmniej trzy kościoły chrześcijańskie – odnaleziony właśnie wizerunek Jezusa znajduje się w baptysterium tzw. świątyni północnej.

Ruiny były już wielokrotnie badane, ale niewielkie przebarwienia, ledwo widoczne spod warstwy kilkusetletniego brudu (i krótko opisane już w 1920 r.), nie budziły zainteresowania naukowców. „Spojrzałam pod odpowiednim kątem – relacjonuje dziś na łamach dziennika „Haaretz" swoje dość przypadkowe odkrycie

ANTIQUITY / MONTAŻ „TP"

Emma Maayan-Fanar, historyk sztuki z Hajfy – i nagle dostrzegłam oczy". Fotografie o dużej rozdzielczości (na zdjęciu) potwierdziły jej przypuszczenia.

Odkryty fragment był częścią większego malowidła, przedstawiającego chrzest Jezusa w Jordanie. Naukowcy datują je na VI wiek, choć nie wykluczają, że może być 100-200 lat starsze. „Jezus z Soboty" jest więc jednym z niewielu zachowanych przykładów wschodniego sposobu przedstawiania jego postaci. Większość podobnych obrazów zniszczono w okresie ikonoklazmu (VIII-IX w.), a kolejne wykonywano już w innej, obowiązującej do dziś stylistyce. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Lód prawdę ci powie

RDZENIE LODOWE to od lat pewne źródło wiedzy o zmianach klimatycznych. Przy odrobinie fantazji (i precyzji) można jednak wydobyć z nich znacznie więcej niż tylko informacje o temperaturach sprzed lat. Czegoś takiego dokonała właśnie solidna grupa naukowców, składająca się z fizyków, historyków i... numizmatyków.

Okazuje się, że „piki" w zawartości ołowiu i paru innych pierwiastków, występujące w głębokich warstwach szwajcarskiego lodowca Colle Gnifetti, można dopasować do wydarzeń historycznych w średniowiecznej Europie. Potwierdziło się, że w VII wieku nastąpił masowy odwrót od złotych monet i wzmożona produkcja srebrnych. Badania rdzeni lodowych pozwalają „przyszpilić" wręcz konkretne lata, kiedy wytapiano szczególnie dużo srebra z galeny (rudy ołowiu z domieszką srebra) – pary ołowiu z francuskich mennic docierały bowiem aż do Alp Szwajcarskich. Lód przechowuje ślady po konkretnych władcach, np. Ludwiku Pobożnym, który rozkazał około roku 820 wybić serię monet na swoją cześć. Teraz widzimy to, zupełnie dosłownie, czarno na białym. ©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Pomór plemników

NIE WIDUJECIE DZIŚ TYLU MOTYLI, co w dzieciństwie? To nie nostalgia. Populacja bezkręgowców kurczy się w zastraszającym tempie. W Niemczech od 1989 r. ubyło 76 proc. owadów latających. Na Portoryko w lepkie pułapki rozłożone w lesie deszczowym łapie się 60-krotnie mniej bezkręgowców niż w 1977 r. W tym czasie ubyło tam 90 proc. owadożernych ptaków. To kataklizm dla ekosystemu. W Niemczech wini się pestycydy. W Portoryko temperaturę, która wzrosła w lasach o 2 stopnie.

Na Uniwersytecie Wschodniej Anglii zbadano, jak skoki temperatury wpływają na owady. Wyniki są wstrząsające. Chrząszcze, trojszyki gryzące, poddano symulowanym falom upałów, podnosząc temperaturę ich otoczenia o 5–7 stopni. Samce produkowały o 75 proc. mniej plemników, liczba ich potomstwa spadła o połowę. Gdy fala się powtarzała, płodność spadała o 99 proc. W naturze może to oznaczać koniec gatunku. Kierujący badaniem prof. Matt Gage sugeruje, że podobne efekty mogą występować u ssaków. U samców *Homo sapiens* liczebność plemników spadła o połowę w ostatnich 40 latach. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Odbudowa Saskiego zakładnikiem polityki

PAWEŁ BRAVO

Jeśli w ostatnich latach dyskutowało się o tym, jak materialnie uobecniać przeszłość w przestrzeni publicznej, to tylko przy okazji połajanek o pomniki (w większości smoleńskie), w których estetyka i urbanistyka są zakładnikiem wojny politycznych plemion. Jest poważne ryzyko, że w podobny sposób zostanie spłaszczony spór o sens i zakres odbudowy Pałacu Saskiego w Warszawie. Prezydent Duda złożył 11 listopada deklarację, że obejmie ją patronatem, choć nie podał szczegółów. Dokument – jak wszystko, co wychodzi spod jego pióra – jest bombastyczny. Ale sam pomysł, by państwo sfinansowało odbudowę Pałacu, ma pewne racje. Co prawda po 1945 r. podjęto decyzję, by wokół arkad Grobu Nieznanego Żołnierza zostawić martyrologiczną pustkę, ale w miarę zacierania się wojennej traumy na plan pierwszy wychodzi inny problem: Warszawa nie obfituje w ładne place, a brak Pałacu Saskiego, domykającego pierzeję, czyni z placu Piłsudskiego kolejne granitowe klepisko. Jednak znając nieudolność obecnych rządców w realizowaniu dużych projektów i zacietrzewienie opozycji – która wyrzuci w przyszłości do kosza, cokolwiek PiS dziś zaproponuje – można mieć prawie pewność, że plac klepiskiem pozostanie. ©℗

Wielkie pytania w kostiumach popkultury

INVISION / EAST NEWS

JEFF GOODE / GETTY IMAGES

ZMARLI DZIEŃ PO DNIU: twórcy wielkich i wiele o nas mówiących ikon kultury popularnej.

Stan Lee (z lewej) odszedł 12 listopada w wieku 95 lat. Był twórcą i współtwórcą nowej fali komiksowych postaci i potęgi wydawnictwa Marvel Comics. Dał czytelnikom superbohaterów, z którymi można się było utożsamiać, bo choć władali niezwykłymi mocami, wiedli też życie zwykłych ludzi. A to ważne, bo równocześnie ucieleśniali globalne lęki: od wojny (Kapitan Ameryka), eksploracji kosmosu (Fantastyczna Czwórka), radioaktywności (Spider-Man), po genetykę (X-Men) czy technologię (Iron Man). I szerzej: lęk przed odpowiedzialnością za coraz większe możliwości, jakimi włada człowiek. Utożsamiając się z takimi bohaterami, konfrontowało się z tymi pytaniami.

Dzień wcześniej, w wieku 90 lat, zmarł Douglas Rain: szekspirowski aktor z Kanady, który w „2001: Odysei kosmicznej" Stanleya Kubricka użyczył głosu superkomputerowi HAL 9000. Maszynie oświadczającej aksamitnym tonem, że powierzona jej misja jest ważniejsza niż życie załogi. Łagodny tembr Raina przepowiadał lęk przed powierzeniem naszego życia sztucznej inteligencji, w którą wpiszemy własną niedoskonałość. A to spełnia się dziś na naszych oczach – nie tylko w autonomicznych pojazdach, także w algorytmach portali społecznościowych.

Bo popkultura, nawet tak prostoduszna jak komiks, potrafi przekładać na masowy język pytania najważniejsze. Przybrane w kostiumy Stana Lee albo wypowiadane głosem Douglasa Raina. ©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

LIBERTADDIGITAL / MATERIAŁY PRASOWE

ZAPOMNIANY DISNEY. Chwilę przed narodzinami 90-letniej dziś Myszki Miki Walt Disney narysował 26 odcinków „Szczęśliwego królika Oswalda". Popularna pod koniec lat 20. kreskówka poróżniła autora z producentem, w wyniku czego Disney na wiele lat stracił prawa do postaci Oswalda (na zdjęciu wraz z Myszką Miki), a taśmy z filmami rozproszyły się po świecie. Niektóre znaleziono potem w archiwum Brytyjskiego Instytutu Filmowego. Kilka dni temu japoński historyk odkrył w swoich zbiorach siódmy odcinek przygód Oswalda. ©℗ MOC

W SKRÓCIE

KLATA W ROSJI. Reżyser i felietonista „TP" Jan Klata odebrał w Petersburgu Europejską Nagrodę Teatralną, nazywaną też teatralnym Oscarem. Dziękując za wyróżnienie, Klata potępił władze Rosji za przetrzymywanie w areszcie domowym Kiriłła Sieriebriennikowa, znanego z krytyki Kremla ubiegłorocznego laureata tej nagrody. W Moskwie trwa proces reżysera i jego współpracowników (oskarżonych o rzekomą defraudację dotacji państwowej). Pytania o los Sieriebriennikowa padły też ze sceny, podczas inscenizacji „Wroga ludu".

CENZURA W KUWEJCIE. Tymczasem wrogiem ludu w Kuwejcie stała się literatura rosyjska. Na chwilę przed rozpoczęciem międzynarodowych targów książki tamtejsza cenzura zakazała „Braci Karamazow" Dostojewskiego. Na liście dzieł zabronionych znajduje się ponad 4 tys. książek. Niezgodna z kuwejckim prawem jest m.in. lektura „Stu lat samotności" Márqueza.

NOWY JORK. Obraz „La Musicienne" Tamary Łempickiej wylicytowano na nowojorskiej aukcji za ponad 9 mln dolarów. To maksymalna kwota, jaką kiedykolwiek zapłacono za obraz polskiego artysty. Przez ostatni rok rekord należał do „Macierzyństwa" Stanisława Wyspiańskiego, które sprzedano za ponad 4 mln złotych.

NOWY REKORD. W tym samym tygodniu obraz Davida Hockneya „Portret artysty (basen z dwiema postaciami)" sprzedano za dziesięciokrotność wartości „La Musicienne", czyli ponad 90 mln dolarów, ustanawiając tym samym nowy rekord w sprzedaży dzieła żyjącego artysty. Najdroższym z nieżyjących pozostaje niezmiennie Leonardo da Vinci.

KOCIMIĘTKA. Muzeum sztuki Onomichi w zachodniej Japonii stało się sławne dzięki parze kotów, która od dwóch lat bezskutecznie próbuje sforsować drzwi placówki, by zapoznać się z jej zbiorami. Zdaniem kuratora czworonogi interesują się Onomichi od czasu, gdy zaprezentowano w nim przegląd kociej fotografii. W muzealnym sklepiku można już kupić kolekcję pamiątek ze zwierzakami, które ściągnęły do muzeum tysiące ciekawskich.

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Egzemplarz redakcyjny.
Nie do rozpowszechniania!

TEMAT TYGODNIKA

WCZESNE ŻYCIE

Julek przez wiele dni wyglądał tak samo. Pod pomarszczoną, pokrytą meszkiem skórą wyczuwalna była każda kosteczka, rysowała się plątanina żył. Spod maski tlenowej czasami można było dojrzeć otwarte oczy.

TEKST MAŁGORZATA NOCUŃ
ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

W Polsce co dziesiąty noworodek przychodzi na świat przedwcześnie. Dzięki postępowi neonatologii przeżywają dzieci, których jeszcze dekadę temu nie można było uratować – urodzone w 23. czy 24. tygodniu ciąży. Jeśli – dzięki rehabilitacji – rozwijają się prawidłowo, mówi się o cudzie. Jeśli ciężko chorują, ich życie zamienia się w uporczywą terapię. W chwili narodzin nikt nie wie, jak będzie. Na oddziałach intensywnej terapii najcięższą walkę muszą stoczyć dzieci urodzone przed 29. tygodniem ciąży. Tak zwane skrajne wcześniaki.

Wina

Pokój laktacyjny przy oddziale intensywnej terapii noworodka: trzy fotele z jasnym obiciem, stolik (leżą na nim długopisy i samoprzylepna taśma do opisywania butelek z odciągniętym mlekiem), kilka krzeseł, okienko, do którego oddaje się mleko (w sterylnej butelce, z adnotacją: imię i nazwisko dziecka, data i dokładna godzina odciągnięcia), dwie lodówki (na mleko odciągnięte – w okienku dyżur trwa do szesnastej – i przygotowane do podania dzieciom), mikrofalówka.

Południe, tłoczno, do wszystkich kontaktów wpięte laktatory. Warczą ich silniki, do pojemników skapuje mleko. Kilka matek czeka w kolejce na wolne miejsce przy kontakcie. W pośpiechu jedzą kanapki. A u ciebie jak było?

M. jest nowa. Płacze. Te nowe prawie zawsze płaczą, wpatrują się w ścianę, chodzą przygarbione – rana po cięciu cesarskim z trudem pozwala postawić krok, ciężko wsiąść do tramwaju, samochodu. Są bardziej zmęczone (połóg: burza hormonów, silne krwawienie, temperatura, bezsenność, dreszcze), nie weszły jeszcze w rytm odciągania mleka co 2-3 godziny, także w nocy, wyrywane ze snu dzwonieniem budzika, a nie płaczem dziecka. Wciąż jeszcze się winią, próbują uchwycić chwilę, w której „coś złego zaczęło dziać się z ciążą” i myślą, jak mogły zapobiec. Iść na L4, więcej leżeć, pić więcej wody, nie podbiec do autobusu, nie wychodzić na zewnątrz, bo upał, nie nieść tej siatki, choć był w niej tylko chleb i trochę jarzyn.

M.: – Wysokie ciśnienie, lekarz prowadzący ciążę przepisał leki, powiedział, że za bardzo wszystko przeżywam. Trzy dni później ból żeber nie do wytrzymania, leżałam na podłodze łapiąc oddech jak ryba, ból głowy, ciśnienie 180/90, lekarka na ostrym dyżurze w szpitalu zrobiła USG, patrzyła w monitor i mówiła: „Dobrze, wszystko dobrze, dziecko w położeniu główkowym, kopie w żebra, stąd ból”. Zrobiłam badania, bo wciąż nie opuszczał mnie niepokój, białko w moczu, zła morfologia. Mój drugi lekarz prowadzący ciążę od razu wypisał skierowanie na oddział: „Pilne. Podejrzenie stanu przedrzucawkowego”, z dużym wykrzyknikiem.

A u was?

T.: – Wody odeszły, nagle, zupełnie nagle, mieszkam za miastem, wsiadłam do samochodu i przyjechałam do szpitala, rozpoczął się poród, 11 tygodni przed terminem.

K.: – W piątym miesiącu odeszły mi wody, lekarze powiedzieli: „Zaraz będzie po ciąży”, skrobać zamierzali, chciałam cały czas leżeć i walczyć, wyśmiali mnie: „Gdyby kobieta była stworzona do leżenia, miałaby pochwę na czole”. W 22. tygodniu przewieźli mnie karetką do Krakowa – tę karetkę też sobie wywalczyłam, bo powiedzieli, że mogę jechać autem. Ciągle słyszałam, że różnie może być, że trzeba się przygotować na śmierć dziecka, odpowiadałam, że albo wyjdziemy z tego szpitala razem z córką, albo żadna z nas. W Krakowie przeleżałam plackiem miesiąc, nie wolno mi było wstać. Nawet żeby się załatwić, musiałam prosić o basen. Najpierw było mi głupio, bo obok leżała inna dziewczyna, ale po kilku dniach mi to zobojętniało.

O.: – U mnie ciśnienie. Najpierw nieduże 150/90, ale leki nie pomagały, rosło i rosło, nie dało się opanować. Głowa bolała, obraz przed oczami się rozmywał, ręce się trzęsły. Lekarze podjęli decyzję o cesarskim cięciu.

K.: – Mnie odkleiło się łożysko. Przyjechałam karetką, z krwotokiem, natychmiast cięcie.

J.: – Byłam w ciąży bliźniaczej.

N.: – Pępowina wypadła, tętno dziecka było już niewyczuwalne. Cięcie pod ogólną narkozą, odratowali małą.

Tlen

24 sierpnia 2017 r., czwartek. M. trafia na oddział położniczy, lekarz zleca badanie KTG (mierzy tętno płodu i skurcze macicy). M. myśli: „Wreszcie odpocznę”. Tego dnia – przed wizytą kontrolną – była jeszcze długo w pracy (trzeba wszystkiego ↦

↦ dopilnować przed planowanym L4), nastawiła pranie, czytała książkę. Żebra mniej bolały, stopy wydawały się mniej spuchnięte.

Na monitorze od czasu do czasu pojawia się liczba 70 (liczba uderzeń serca na minutę, prawidłowa wartość oscyluje pomiędzy 110-150), tętno płodu spada. Po chwili na korytarzu rozlega się krzyk: – Przewozimy panią!

Nikt niczego nie wyjaśnia, M. trafia na blok porodowy, oddzielona parawanem od innych ciężarnych.

– Rozbierzemy panią: spodnie, koszulka. Nie, proszę nie wstawać, nie wolno pani wstawać! Bielizna.

Położne wkładają ubrania do plastikowej torby.

– Wkładamy fartuch.

– Poproszę lewą dłoń, zakładamy wenflon.

Ukłucie.

– Kroplówka z magnezem, poczuje pani ciepło w nogach.

– Cewnik.

M.: – Co się dzieje?

Milczenie.

– Proszę o dowód osobisty. Jak będzie nazywać się dziecko?

M. wyciąga dowód. Płacze. Ona chciała Julka, A. – partner i ojciec dziecka – upierał się przy Henryku. Jeszcze nie uzgodnili.

Lekarz dyżurny wkracza na salę zdecydowanym krokiem, podaje M. rękę: – Stan przedrzucawkowy, podjąłem decyzję o natychmiastowym rozwiązaniu pani ciąży drogą cięcia cesarskiego. Płód ma problem z oddechem.

M.: – Boże...

Milczenie.

M.: – Czyli muszę się zgodzić?

– Tak.

29. tydzień ciąży, 11 tygodni przed terminem porodu. Według ostatniego USG – wykonanego tego samego dnia – Julek waży niewiele ponad kilogram.

M. wie, czym jest stan przedrzucawkowy, płód może umrzeć w wyniku braku dopływu tlenu, a matka z powodu wielonarządowej niewydolności.

Za kilka dni dowie się jeszcze (z wypisu szpitalnego), że towarzyszył jej także zespół HELLP – wątroba źle funkcjonowała, to ona bolała ją przez ostatni tydzień, nie żebra.

„Wracaj do szpitala. Cięcie" – M. wysyła esemesa do A. i wsuwa telefon do kieszeni plecaka. Położne odblokowują hamulce łóżka i przewożą M. na salę operacyjną.

Cięcie

Ostre światła, brzuch M. oddzielony parawanem, M. przypomina sobie uczucie, które towarzyszyło jej przez kilka ostatnich dni: wraz z dzieckiem wpada w głębię, zalewa ich ciemna oceaniczna woda, nie mogą oddychać. „Rusza się mniej, coraz mniej" – mówiła, ale lekarze wciąż ją uspokajali. „Jak długo Julek był niedotleniony?" – paraliżuje ją strach.

– Proszę położyć się na lewym boku, podciągnąć kolana do brzucha, wygiąć w koci grzbiet, poczuje pani ukłucie w okolicach lędźwi. Nieruchomo, proszę leżeć nieruchomo.

Ciało M. wciąż przeszywają dreszcze, łapie za rękę anestezjolożkę. Kiedy lekarka uwalnia uścisk (procedury), M. szepcze: – Proszę...

Po chwili ciało od klatki piersiowej w dół kostnieje, M. nie może poruszać nogami, palcami u stóp. Znieczulenie działa. M. czuje lekkie szarpnięcie w okolicy żeber, lekarz spogląda na zegar ścienny, uroczyście oświadcza: – No i jest Julek, godzina 22.09. Urodzony w czepku.

Salę operacyjną wypełnia cisza. Julek nie płacze. Anestezjolożka mówi: – Jest malutki, bardzo malutki. Hipotrofia (zbyt mała waga noworodka w stosunku do wieku ciążowego).

Po chwili rozlega się cichy płacz.

M.: – Boże, to on? Żyje?

– No on, nie ma tu innego dziecka.

Dłuższy czas trwa milczenie.

– Teraz pokażemy go mamie – przerywa ciszę lekarz. Na salę położne wwożą inkubator. Julek leży za plastikową szybą, na pieluszce, wygląda jak pisklak wyrzucony z gniazda, laleczka. Ma pomarszczoną skórę pokrytą białą mazią płodową. M. słyszy, że waży 1080 gramów, mierzy 36 centymetrów. Że ma 5 punktów w skali Apgar, połowę z maksymalnej liczby (jeden za oddech, jeden za czynność serca, jeden za zabarwienie skóry, jeden za napięcie mięśni, jeden za odruchy fizjologiczne). Urodzony w zamartwicy.

M. nie może się z nim przywitać: dotknąć, przytulić, poczuć, jak pachnie, powiedzieć: „Cześć, jesteś". Inkubator z Julkiem jedzie na trzecie piętro, gdzie znajduje się Oddział Intensywnej Terapii Noworodka. M. trafia na salę nazywaną „salą cięcia".

Julek nie rodzi się w błonie owodniowej tworzącej na głowie „czepek", lekarze – decyzją o cesarskim cięciu – wyrywają go śmierci, łożysko (odpowiadające za dopływ tlenu) jest już częściowo odklejone. Czyli nie urodzony w czepku dosłownie, ale w przenośni. Szczęściarz.

Łzy

Zapada noc. Obok M. leżą inne kobiety po cesarskim cięciu, przychodzą do nich lekarki, mówią: – Dobrze, jest dobrze.

M. wydostaje z plecaka telefon: „Mamo, Julek jest już na świecie". Po chwili pada pytanie: „Jakie ma szanse na przeżycie?". Tego nikt nie wie, stan jest ciężki. M. podpisuje zgodę na transfuzję krwi. Na pytanie, czy chce ochrzcić syna, odmawia.

Świat rozmazuje się przed oczami. Uczucie euforii miesza się z napływami panicznego lęku (działanie leków), ciśnienie rośnie. M. przez całą noc dzwoni do najbliższych i wysyła esemesy: „Proszę o modlitwę za moje dziecko". „Szturmujcie niebo, żeby Julek przeżył".

Rano na salę cięcia wpada lekarz, który wystawił M. skierowanie do szpitala. Staje nad jej łóżkiem: – Pani miała szczęście, dużo szczęścia, żyje pani.

M.: – Ale moje dziecko!

Lekarz milknie.

Po południu M. może na wózku opuścić salę cięcia. Pod salą czeka A. z siostrą.

M. i A. jadą na trzecie piętro, zobaczyć syna.

Intensywna terapia noworodka ma swoje procedury (dezynfekcja rąk, należy zdjąć zegarek i biżuterię, rodzic przynosi krzesło z korytarza, stawia przy inkubatorze, nie może rozglądać się po sali ani po niej chodzić, może tylko patrzeć na swoje dziecko). Ma swój zapach (środków odkażających, leków, oliwek pielęgnacyjnych, kremów). Dźwięki (odgłosy urządzeń podtrzymujących życie, pomp podających leki i pożywienie).

A. podwozi M. do inkubatora. Julek leży w za dużej pieluszce, wystają z niej nogi-patyczki, do stopy przypięto pulsoksymetr, w pępku wejście centralne, twarz zasłania maseczka z przymocowanym CPAP-em (rurką dostarczającą tlen). W ustach sonda. Położna otwiera okienko inkubatora, obniża urządzenie: – Proszę usiąść i go dotknąć.

M. zaczyna płakać.

– Proszę tu wrócić, jak się pani uspokoi, wypłacze. Dziecko czuje pani emocje.

Dziecku urodzonemu przedwcześnie potrzebna jest każda kropla mleka matki, podaje się go przez sondę. Na łóż-

Egzemplarz dla cenzury. Nie do rozpowszechniania!

kach sali poporodowej siedzą mamy wcześniaków. Laktator przystawiony do piersi – siedem minut odciągania, zmiana, druga pierś – siedem minut odciągania, potem pięć minut, zmiana, trzy minuty, zmiana. Kobiety patrzą, czy w zbiorniczku pojawił się choć milimetr sześcienny mleka. Nic. Kolejna próba i kolejna, jest, kropelka. Ledwie udaje się ją wciągnąć do strzykawki.

Pustka

Zapada noc. M. próbuje zasnąć. „Julek, gdzie jest Julek?". Dotyka brzucha – nie ma go tu, rozgląda się wokół – nie ma go. Pielęgniarka mierzy ciśnienie, krzyczy: – Doktorze!

Zastrzyki, leki (proszę pogryźć, połknąć).

– Teraz walczymy o panią, wysokie ciśnienie może doprowadzić do śmierci.

Po trzech dniach M. wraca do domu. Julek zostaje na intensywnej terapii. M. widzi, że tata Julka boi się tak samo jak ona. Przez pierwsze dni unika odbierania telefonu. Kiedy ktoś pyta: „Jak się czuje wasz syn?", po prostu płacze.

Zapada noc. M. ma sen: badanie USG, lekarz przykłada głowicę aparatu do brzucha, mówi: „Dziecko przestaje oddychać, tniemy". Ale skóra nie puszcza pod naporem skalpela, M. obserwuje na monitorze, jak jej dziecko się dusi.

Rodzice stojący rano przed dyżurką lekarską mają ściśnięte gardła, na intensywnej terapii stan pacjenta może pogorszyć się z minuty na minutę. Do M. wraca wspomnienie pierwszej rozmowy z lekarzem dyżurnym.

– Podejrzewamy, że przechodzi sepsę.

– Może umrzeć – dopowiada M.

– Tak. Proszę pamiętać, że najczęstsze powikłania wcześniactwa to: utrata wzroku, słuchu, dziecięce porażenie mózgowe.

M. spuszcza wzrok: – Kiedy będę wiedzieć, czy jest zdrowy?

– Długo, bardzo długo nie będzie pani wiedzieć.

Tamtej soboty, w pokoju laktacyjnym M. próbuje odciągnąć mleko, do pojemnika spływa zaledwie kilka kropel. Przypomina sobie kobietę, której córka leżała kilka inkubatorów dalej. Urodziła także w 29. tygodniu. Kobieta z nikim nie rozmawiała, niedbale wrzucała torbę do szafki na korytarzu, z rezygnacją dezynfekowała dłonie, wchodziła na salę, siadała przy inkubatorze, patrząc się martwo

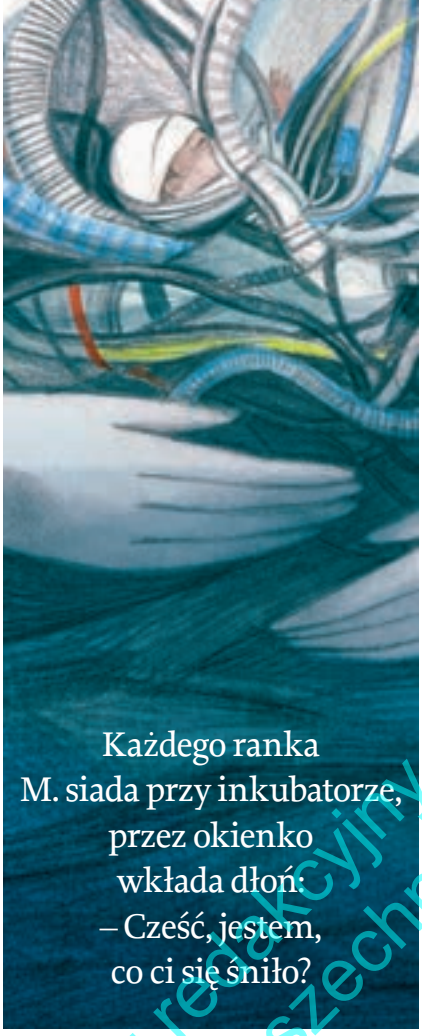

Każdego ranka M. siada przy inkubatorze, przez okienko wkłada dłoń: – Cześć, jestem, co ci się śniło?

w jeden punkt, nie odciągała już mleka. Po kilku dniach inkubator otoczył parawan, kobieta wyszła ze łzami, nie pojawiła się już na oddziale. M. zobaczyła puste urządzenie, odłączoną aparaturę.

Wojna

– To, co pani tu przeżyje, można porównać jedynie ze stresem bojowym – mówi do M. oddziałowa psycholożka.

Tak, to wojna, dziecko urodzone przedwcześnie walczy o zdrowie i życie, matka i ojciec mu w tej walce pomagają. Badania dowodzą, że dzieci odwiedzane, przytulane przez rodziców szybciej dochodzą do zdrowia.

Każdego ranka M. siada przy inkubatorze, przez okienko wkłada dłoń: – Cześć, jestem, co ci się śniło?

Julek przez wiele dni wygląda tak samo, jakby czas stał w miejscu, pod pomarszczoną, pokrytą meszkiem skórą rysuje się plątanina żył, wyczuwalna jest każda kosteczka. Zero tkanki tłuszczowej. Czerwony.

– Ciekawe, jaką masz twarz? Jak ty w ogóle wyglądasz?...

Julek czasami otwiera oczy. Są jasnobłękitne.

Kiedy M. nie może powstrzymać łez, płacze w rękaw. Po pracy do Julka przychodzi tata.

– Skąd on wie, że jesteśmy jego rodzicami?

– Wie. Pamięta wasze głosy – zapewniają lekarze.

M. i A. na zmianę czytają Julkowi książki.

Wieczór, trzeba wyjść ze szpitala, M. za każdym razem wpada w panikę. On tam zostaje. W nocy telefon w pobliżu ręki – mogą dzwonić. M. długo walczy z bezsennością, myśli: „Jaki on będzie? A jeśli ciężko chory? Niepełnosprawny? Jak sobie poradzimy? Czy kocha się ciężko chore dziecko?". I znów – godzina po godzinie – powraca do niej tydzień przed cesarskim cięciem. Dlaczego nie zmusiła lekarzy, by się nią zaopiekowali?

Cud

W pokoju laktacyjnym M. sama nie zauważa, że zaczyna płakać.

– Co, zły dzień? – pyta K. i obejmuje ją ramieniem. Te „bardziej doświadczone" (K. jest na oddziale już przeszło miesiąc) przytulają nowe, opowiadają o sobie, o swoich porodach. Syn K. ma w mózgu zastawkę odprowadzającą płyn mózgowo-rdzeniowy. Przeszedł już dwie operacje neurochirurgiczne.

K.: – Tamtego dnia płakał, był niespokojny, wiedziałam, że coś się dzieje, USG przezciemiączkowe wykazało krwawienie do mózgu najpierw pierwszego, potem drugiego, aż w końcu trzeciego stopnia. Lekarze powiedzieli: „Rokowania są bardzo złe". To wszystko działo się jakby poza mną, nie słuchałam ich.

K. nie dopuszcza do siebie myśli, że jej syn może być chory. „Ja go z tego nieszczęścia wyciągnę", powtarza. Kiedy się załamuje, mąż mówi: „To jest nasz syn, nasz syn". Płacze w domu, na oddział przychodzi z nienagannym makijażem.

B. codziennie słyszy od lekarzy złe informacje. „Pękło jelito, konieczna jest interwencja chirurgiczna"; „Wylew dokomorowy czwartego stopnia"; „Wodogłowie pokrwotoczne"; „Sepsa".

Odciąga mleko i modli się, żeby jej dziecko dłużej nie cierpiało.

– Modlę się o spokojną dla niego.

Nie wymawia słowa „śmierć". Koleżanki rozumieją, modlą się z nią, wiele z nich myśli tak samo: „Jeśli moje dziecko ↦

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

↦ ma być ciężko chore, cierpiące, niech umrze". Syn B. odchodzi.

Syn T. jest na oddziale już wiele miesięcy. – Wiesz, co czuję? – pyta T. – Że chcę przestać istnieć, nie zabić się, bo na to nie mam odwagi, ale przestać istnieć. Nie patrzeć już na niego, nie myśleć, co jeszcze się stanie, nie zastanawiać się, czy on cierpi. Po prostu nie czuć. Nic nie czuć.

– Nie wierzysz w cud?

T. zawiesza głos. Po chwili opowiada jakiś dowcip. Ma niezwykłe poczucie humoru.

Bo przecież cuda się zdarzają. M. dobrze pamięta tamten dzień: na oddział wchodzi małżeństwo, z córką (obchodziła trzecie urodziny). Pokazują dziewczynce inkubator: – Tam leżałaś.

Położne mówią potem między sobą: – Nie do wiary.

Dziewczynka przeszła wylew czwartego stopnia, rodzice byli przygotowani, że nie będzie chodzić, siedzieć, mówić, słyszeć. Mózgowe porażenie dziecięce objawia się dyskretnie, prawie niezauważalnie – nietypowo chodzi.

– Pani musi poczuć, że ma to dziecko – mówi do M. położna. Otwiera inkubator, wyciąga Julka wraz z płataniną rurek i kabli. – Proszę zdjąć bluzkę.

Na piersi M. układa niewiele ponadkilogramowego syna. M. czuje, że pierwszy raz od wielu dni jej serce bije spokojniej. Siedzi nieruchomo przez kilka godzin. Całuje syna i wącha.

Od tamtej pory M. i A. codziennie przytulają Julka. M. ma więcej pokarmu, Julek zaczyna lepiej przybierać na wadze, potrzebuje mniej tlenu. Kiedy waży ponad półtora kilo, położne proponują, by go ubrać. W najmniejszych ubrankach tonie, są kilka rozmiarów za duże.

M. udaje się opanować lęki dzięki rozmowom z oddziałową psycholożką i dzięki serotoninie przepisanej przez psychiatrę (w dawce 50 mg). 26 września, przeszło miesiąc po narodzinach syna, M. podchodzi do inkubatora i zamiera. Julek leży bez CPAP-u. Pierwszy raz w życiu M. widzi jego twarz.

■■■

M. to ja – Małgorzata Nocuń, z zawodu jestem dziennikarką. Spędziłam z synem 58 dni na Oddziale Intensywnej Terapii Noworodka Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Nie byłam w stanie opisać swoich przeżyć w pierwszej osobie. Jak wiele moich koleżanek z pokoju laktacyjnego, mierzę się z traumą przedwczesnego porodu. Nawet słowo „poród" ciężko przechodzi mi przez gardło. Mówię czasem: „Nikogo nie urodziłam, lekarz wyciągnął Julka z brzucha w ostatniej chwili".

Niedawno poszliśmy z Julkiem odwiedzić lekarki i położne na oddziale. Były zawsze ciepłe i oddane, żartowały, częstowały cukierkami, ocierały moje łzy i ganiły, kiedy należało. Walczyły o nasze dzieci jak o swoje. Kiedy otwierałam drzwi intensywnej terapii, poczułam, że wraca tamten lęk, że ciężko mi wydusić słowo. Zobaczyłam dzieci wielkości dłoni, leżące bezwładnie w inkubatorach, i matki pochylone nad nimi. Poczułam tamten zapach, usłyszałam tamte dźwięki. „Nie, niemożliwe, że przeszłam przez to wszystko. Tego chyba nie da się przeżyć". Da się. Matka na intensywnej terapii jest silna jak żołnierz podczas najkrwawszej bitwy, choć wydaje jej się, że już nie daje rady, że już nie może, że zdmuchnąłby ją powiew wiatru.

Losy kolegów i koleżanek Julka potoczyły się różnie. Statystyki głoszą, że coraz więcej wcześniaków przeżywa poród, ale trudniej dowiedzieć się, co dalej. Niektóre umierają po miesiącach walki, życie innych zmienia się w niekończącą się uciążliwą terapię, inne są chore albo upośledzone, niektóre wywalczyły sobie zdrowie podczas rehabilitacji.

Ich mamy przeszły zbyt wiele. K., która w ciąży spędziła wiele miesięcy w szpitalu, a miesiąc leżała nie wstając, ma wesołą, prawidłowo rozwijającą się córkę, ale wciąż mierzy się ze swoimi lękami i wciąż jest pewna, że gdyby uważała, donosiłaby ciążę.

K. „wyciągnęła swojego syna z nieszczęścia". Kiedy do niej dzwonię, Filip drze się do telefonu: „Mamaaa, dajj".

Julek skończył czternaście miesięcy. Chodzi trzymając się mebli, siedzi, mówi „mama", „tata", „nie", „daj". Wciąż wymaga o wiele więcej uwagi i troski niż dzieci urodzone w terminie, a ja wciąż nie znam odpowiedzi na wiele pytań. Ostatnio podczas wizyty kontrolnej wyszło, że Julek ma rok i nie robi „pa, pa". „No nic, zrobimy testy psychologiczne" – zarządziła pani psycholog. Zrobimy. W nikogo nie wierzę tak jak w Julka.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

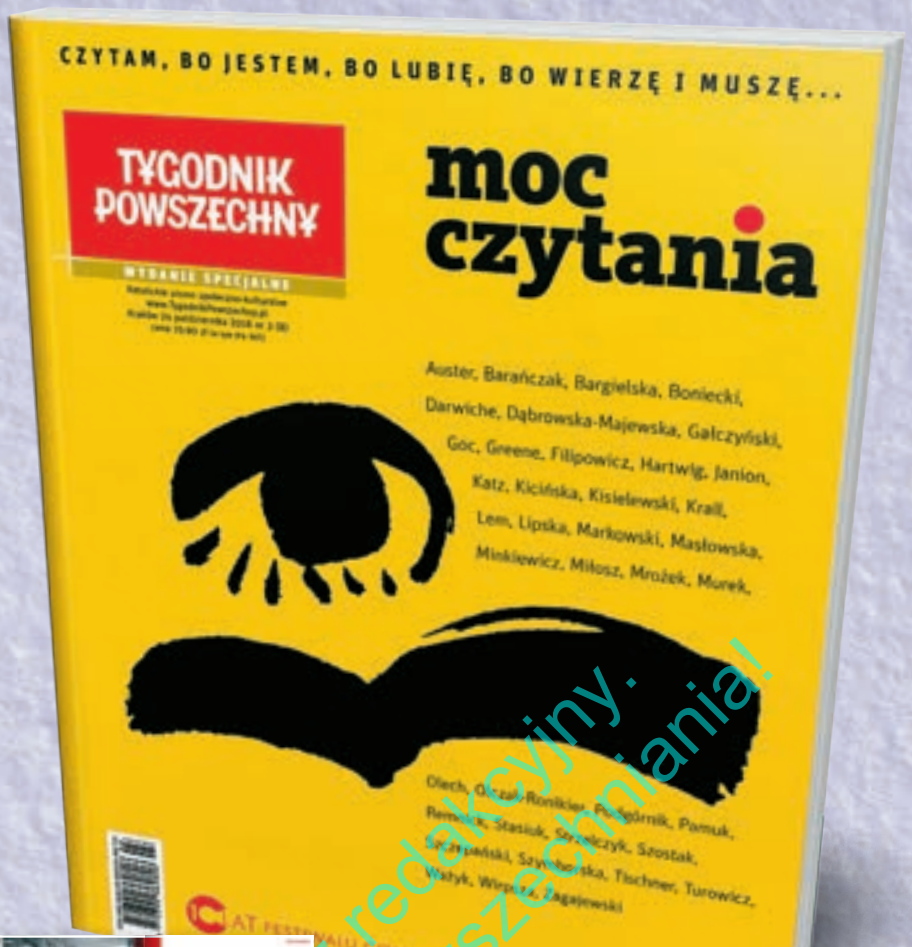

Egzemplarz redakcyjny.
Nie do rozpowszechniania!

Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Masłowska, Miłosz, Mrożek, Murek, Olczak-Ronikier, Olech, Pamuk, Stasiuk, Szczepański, Szostak, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów? Weź, czytaj!

„Moc czytania"
już w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą
oraz w e-wydaniu na powszech.net/mocczytania

1CLAT | TYGODNIK POWSZECHNY | zawsze razem | CONRADFESTIVAL

PAWEŁ

Śpiewak:
Królewska uczta

Początek Księgi Estery ukazuje bogactwo, chwałę i wielkość Ahaswerusa, znanego Grekom pod imieniem Xerxesa, syna Dariusza I, założyciela perskiego imperium. Na siedmiodniowej uczcie spotkali się satrapowie (namiestnicy), by złożyć hołd władcy. Król wrócił właśnie z wyprawy na Grecję, która nie okazała się pełnym sukcesem. Wygrał co prawda ze Spartanami, spalił Ateny, ale jego flota uległa Grekom pod Salaminą. Musiał zresztą pilnie wracać z wojny, by stłumić bunt w Babilonie.

Xerxes przygotowywał się do kolejnej wyprawy na Grecję, którą, jak wiemy, przegrał, a ta przegrana ostatecznie odwróciła jego los. Nie pomogło biczowanie wód Hellespontu. Skończył się czas zwycięskiego władcy potężnego imperium, wówczas największego na ziemi, sięgającego Indii na wschodzie i Egiptu oraz Etiopii na południu. Niedługo potem zginął w zamachu i został pochowany w pięknym grobowcu, pozbawionym inskrypcji. Historia Ahaswerusa niejako zapowiada historię Żydów, która zaczyna się od zapowiedzi klęski, a kończy ocaleniem i wielką radością. Los jest nieprzewidywalny. Może o tym opowiada ta Księga.

Częścią imperium była prowincja Judea. Hebrajczykom pozwolono wrócić i tam odbudować miasto, mury obronne oraz, co najważniejsze, Świątynię. Pozostali w centrum kraju Żydzi nie zamierzali wracać do stron rodzinnych i stworzyli własne środowisko w wielkich miejskich ośrodkach Persji. Susa, w której król wydał przyjęcie, uchodziła za stolicę wiosenną.

Ucztę wydano na podworcu pałacowym, otoczonym pięknymi ogrodami. Wina było dosyć. Podawano je w złotych pucharach. Każdy miał pić wedle swojej miary, niekoniecznie miary królewskiej. Ten zapewne miał niezłe tempo i pociąg do alkoholu. Marmury, piękne zasłony w barwach imperium (kolory królewskie to biały i niebieski, jak obecnie w Izraelu) dopełniały obrazu. W tym samym czasie królowa Waszti, zwana piękną, wydała swoje przyjęcie dla szlachetnie urodzonych niewiast. Herodot twierdzi, że jej imię brzmiało inaczej, ale dla samej opowieści nie ma to już wielkiego znaczenia.

Ostatniego dnia przyjęcia, gdy król „podweselił się winem", zażyczył sobie, żeby przyszła jego żona Waszti i ukazała swoje wdzięki. Co to dokładnie znaczy, nie wiemy. Posłano siedmiu eunuchów. Ta jednak odmówiła prośbie. Bardzo się Ahaswerus rozgniewał, a dworscy mędrcy szybko uzasadnili, dlaczego królowa powinna słuchać swego męża. Jej bezczelność może stać się przykładem dla innych kobiet, co wznieci niepokój. Podjęto decyzję, że Waszti traci swoje prawa i przestaje być żoną władcy – co zostało opisane w liście do poddanych. Być może król uczył ich, że najważniejsze jest posłuszeństwo. Tak, by o tym też dobrze wiedzieli zgromadzeni na bankiecie urzędnicy, członkowie rodziny królewskiej, dowódcy wojskowi i arystokraci... ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Każdy dzień i każda noc

W niedzielę rozpoczynającą adwent usłyszymy, jak prorok Jeremiasz w imieniu Boga zapowiada Jerozolimie bezpieczną i chwalebną przyszłość: „W tym czasie sprawię, że wyrośnie Dawidowi odrośl sprawiedliwa. On będzie się troszczył o prawo i sprawiedliwość w kraju. Za dni jego panowania Juda dostąpi zbawienia, a Jerozolima będzie bezpieczna. Będą go nazywać: »Pan naszą sprawiedliwością«".

Gdy mowa o prawie, chodzi oczywiście o Torę, którą dla chrześcijan jest Jezus Chrystus, owa Dawidowa odrośl. Jezus jest Torą żywą, zawsze nową. To dlatego Franciszek mówi, że On jest niespodzianką, która wciąż nas zaskakuje. Przypomina, że każdy, kto pragnie spotkać żywego Jezusa – co jest równoznaczne ze spotkaniem Boga – niechybnie znajdzie się w zasięgu „pandemii współczesnego świata" i będzie musiał zająć się uchodźcami i migrantami, gdyż to oni są dzisiejszą twarzą Jezusa.

Franciszek napisał do uczestników VIII Światowego Forum Społecznego, nawiązując do dwóch przygotowywanych przez społeczność międzynarodową umów dotyczących migracji: „Chciałbym skorzystać z okazji, aby zachęcić organizacje społeczne oraz ruchy ludowe do współpracy przy masowym rozpowszechnieniu postanowień Światowych Umów. Mają one na celu integralną ludzką promocję migrantów i uchodźców, podobnie jak społeczności, które ich przyjmują, proponując przy tym różne inicjatywy. Proszę te same ruchy i organizacje o zaangażowanie w promowanie bardziej sprawiedliwego podziału obowiązków w zakresie pomocy dla osób ubiegających się o azyl oraz uchodźców. Ich działania są również często decydujące dla szybkiej identyfikacji ofiar handlu ludźmi, podejmując wszelkie niezbędne wysiłki, aby je uwolnić oraz zrehabilitować".

Wbrew temu, co papież mówi, zarówno u nas, jak i w Europie coraz głośniej mówi się, że szukających ratunku migrantów i uchodźców zamiast „przyjmować, chronić, wspierać oraz integrować", należy odrzucać. Nie przyjmować, nie chronić i nie pomagać, nie mówiąc już o integrowaniu. Oczywiście na uzasadnienie takiej postawy przytacza się dziesiątki argumentów, wśród nich osławione „zislamizują nas", wynarodowią, zbarbaryzują. Zniszczą nam naszą bezpieczną Jerozolimę, w której panuje król nad królami, sam Jezus Chrystus. Jeśli tak, to adwent jest najlepszym czasem, by się zastanowić, czego ów Król od nas oczekuje. Może przecież zdarzyć się tak, że pod pozorem obrony chrześcijańskiej Europy i jej wartości, kultury, tak naprawdę bronimy tylko naszego wygodnictwa. „Uważajcie na siebie – mówi Jezus – aby wasze serca nie były ociężałe wskutek obżarstwa, pijaństwa oraz trosk codziennego życia, aby ten dzień nagle was nie zaskoczył". A tym dniem jest każdy dzień i każda noc. ©

Egzemplarz redakcyjny
Nie do rozpowszechniania!

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Wykorzenić niewykorzenialne

Cisza przytłacza niedoświadczonych.

JAN KLIMAK

Gubimy się naśladując innych: oddzielmy się tylko od tłumu, a ozdrowiejemy.

SENEKA

„Pan rzekł: Gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczycy, powiedzielibyście tej morwie: »Wyrwij się z korzeniem i przesadź się w morze!«, a byłaby wam posłuszna” (Łk 17, 5-9). Jezus w liturgii postawił nam niedawno obraz rzeczy podwójnie niemożliwej. Morwa ma rozbudowany system korzeniowy – tak rozległy, że jego odkopanie graniczy z cudem. Gdyby komuś udał się ten zabieg, to już z całą pewnością podjęcie się kolejnego: posadzenia tej morwy w morzu, uznałby za niewykonalne. O czym mówi Jezus? Do jakich sytuacji się odnosi?

Odpowiedź przychodzi w 17. rozdziale Łukasza: „Niemożliwe jest, żeby nie przyszły zgorszenia; lecz biada temu, przez którego przychodzą. Byłoby lepiej dla niego, gdyby kamień młyński zawieszono mu u szyi i wrzucono go w morze, niż żeby miał być powodem grzechu jednego z tych małych. Uważajcie na siebie! (...) Jeśliby [brat twój] siedem razy na dzień zawinił przeciw tobie i siedem razy zwróciłby się do ciebie, mówiąc: »Żałuję tego«, przebacz mu!”.

Co się wydaje podwójnie niemożliwe do wykorzenienia? Odpowiedź pierwsza brzmi: zgorszenie. A w szczególności: zgorszenie „małych”. „Skandal” – gr. *skandalon* – to jedno z najczęściej powracających dzisiaj słów w odniesieniu do życia kościelnego. Jego rozmiary przerażają, obezwładniają. Wielu pyta: czy możliwe jest jego wykorzenienie? Czy możliwe jest także wykorzenienie konsekwencji tych przestępstw, popełnionych w szczególności przez duchownych, z duszy, wrażliwości, psychiki ofiar? Czy nie jest tak, że będą musiały się z nimi zmagać przez całe życie? Czy możliwe jest, by odbudowały w sobie poczucie bezpieczeństwa i zaufanie do Kościoła?

Zgorszenie niejedno ma imię. Nie musi być związane z przestępstwami pedofilskimi. Głęboko gorsząca może być również kościelna chciwość. Lub pycha. Lub uwikłanie w realną politykę. Mogą wygnać ludzi z Kościoła na całe lata. Dramatyczne doświadczenie Kościoła – zakorzenione w sercu i pamięci człowieka jak morwa. Zgorszenie. Jezus mówi: Uważajcie na siebie!

Drugim doświadczeniem, które może się w sposób wręcz nieusuwalny zakorzenić w moim sercu, jest doznana krzywda. Tym razem to mnie ktoś krzywdzi. Nie raz, nie dwa. Siedem razy w ciągu dnia. „Siedem” może znaczyć: nieustannie. Jezus mówi: Przebaczaj. I to natychmiast, za każdym razem. Nie odkładaj przebaczenia na później. Dlaczego?

Dlatego że ludzka wina rozrośnie się we mnie szeroko i głęboko; poczucie krzywdy opanuje moje myślenie i emocje, będzie determinować moje reakcje i zachowania. Jezus mówi: Wyrzuć to z siebie w głębokości morskie (zakop to z korzeniami na dnie morza) – tak by już nie mogło wypłynąć. W taki sposób z naszymi winami postępuje Bóg. Nam jednak trudno się „pożegnać” z pamięcią o krzywdzie i z pragnieniem rewanżu.

Czy jest na ten dramat (jeden i drugi) jakieś lekarstwo? Jest. Wiara jak ziarnko gorczycy. Wiara to znaczy rzeczywiste spotkanie z żyjącym, zmartwychwstałym Panem. Choćby najmniejsze (pięć minut modlitwy dziennie). Ale prawdziwe. To nie naiwność. To obietnica. ©

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

CZYTANIA LITURGICZNE (25 XI – 2 XII)

Uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata:
Dn 7, 13-14; Ps 93; Ap 1, 5-8; J 18, 33b-37;
Poniedziałek: Ap 14, 1-3. 4b-5;
Ps 24; Łk 21, 1-4;
Wtorek: Ap 14, 14-20; Ps 96; Łk 21, 5-11;
Środa: Ap 15, 1-4; Ps 98; Łk 21, 12-19;
Czwartek: Ap 18, 1-2. 21-23; 19, 1-3. 9a;
Ps 100; Łk 21, 20-28;
Piątek: Iz 49, 1-6; Ps 19; Rz 10, 9-18; Mt 4, 18-22;
Sobota: Ap 22, 1-7; Ps 95; Łk 21, 34-36;
1. niedziela Adwentu: Jr 33, 14-16;
Ps 25; 1 Tes 3, 12 – 4, 2; Łk 21, 25-28. 34-36.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJOBRAZ PO REMISIE

Sprawa KNF nie pogrzebie szans PiS-u na utrzymanie władzy za rok. O tym, kto ją weźmie, zdecydują nie tylko losy głównych obozów, ale też to, jak poradzą sobie w wiosennych wyborach PSL i jeszcze nieokreślona formacja lewicy.

RAFAŁ MATYJA

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

PiS nie znalazł się w posiadaniu nowej genialnej metody rządzenia, która poprowadzi tę partię drogą Viktora Orbána - co widać jasno po wyborach samorządowych. Nikomu, kto wcześniej żywił takie przekonanie, nie przeszkadzało, że pierwsze wybory w swojej triumfalnej serii w 2010 r. Orbán wygrał zdobywając 52,7 proc. poparcia, podczas gdy wyborcza legitymacja PiS z 2015 r. to 37,6 proc. Po czterech latach rządów Orbán po prostu zmiażdżył opozycję w wyborach samorządowych, pozostawiając jej bardzo niewiele miejsca w systemie władzy w kraju.

Jesienią 2018 r. nie ma wątpliwości, że PiS nikogo nie zmiażdżył. Co więcej: nie potwierdził nawet sondażowej przewagi. Nie zobaczyliśmy ani czterdziestu kilku procent głosów oddanych na partię Kaczyńskiego, ani triumfu kandydatów prawicy w wielkich miastach. Nie udało się utrzymać wielu miast średnich – Nowego Sącza, Ostrołęki, Siedlec, Białej Podlaskiej. PiS potwierdził swój status pierwszej partii, ale nie okazał się hegemonem.

WITOLD SPISZ / REPORTER

Roberta Biedronia czeka już na początku przyszłego roku test z manewrowania wśród personalnych ambicji i urazów na lewicy.

Sytuacja przypomina więc mecz, w którym słabsza drużyna, męcząc się okropnie, doprowadza do remisu pod koniec pierwszej połowy, a komentator powtarza sakramentalne: „Wszystko zaczyna się od nowa". Nic nie jest przesądzone. Jesienią przyszłego roku może wygrać zarówno PiS, jak i opozycja. Co więcej – jak pokazuje proces tworzenia większości w sejmikach – o tym, w czyje ręce trafia władza, może przesądzić nie pojedynek dwóch najsilniejszych ugrupowań, ale wyniki mniejszych partii. Jeżeli Koalicja Obywatelska utrzyma obecne poparcie lub nawet nieznacznie je rozszerzy, to o ostatecznym wyniku może zadecydować to, czy PSL przekroczy próg wyborczy, a Robert Biedroń zdoła zjednoczyć centrolewicę.

Czy Schetynę stać na Dudę

Oczywiście to nie jest tak, że Grzegorz Schetyna może już nic nie robić, tylko kibicować Kosiniakowi-Kamyszowi i Biedroniowi. Przeciwnie: z faktu, że los opozycji zależy w znaczącej mierze od wyniku ludowców i lewicy, nie należy wyciągać wniosku, że Koalicja Obywatelska może pozwolić sobie na proste dyskontowanie błędów władzy. Koncepcja budowy siły na straszeniu wyborców PiS-em sprawdziła się w roku 2007 i 2011. Ale poniosła fiasko w 2015. Nadzieja, że po czterech latach odzyskała atrakcyjność i moc, jest fałszywa. Podobnie złudne jest założenie, że wszyscy, którzy w ostatnich wyborach nie oddali głosu na PiS, to naturalni wyborcy anty-PiS.

Platforma odzyskała zdolność rywalizacji, ale nie odzyskała świeżości. Wskazują na to nie tylko wyniki Schetyny w sondażach indywidualnej popularności polityków. PO nie ma dziś wielu twarzy, które można identyfikować z konkretnymi projektami politycznymi. Projektami ważnymi społecznie, przynajmniej dla wyborców Platformy. Nie mówię tu o fighterach, zdolnych stawiać opór PiS w sprawach sądownictwa – bo tych jest w Koalicji Obywatelskiej przynajmniej kilkoro – ale o politykach, którzy mieliby jakiś projekt w sferze edukacji, służby zdrowia czy polityki socjalnej. Którzy mieliby pomysł na naprawę sytuacji w policji czy prokuraturze. Naprawę, a nie jakieś „sprzątanie po PiS".

Platforma nie ma nawet nowych twarzy na poziomie „polityki ogólnej", ludzi, którzy z powodzeniem mogliby występować w imieniu całej formacji. Odpowiedników Andrzeja Dudy i Beaty Szydło w zwycięskiej dla PiS kampanii 2015 r. U źródła tego sukcesu była decyzja prezesa Prawa i Sprawiedliwości o schowaniu się za tymi politykami. Kaczyński wyciągnął wnioski nie tylko z sondaży, ale także z analizy reguł, jakimi rządzi się świat mediów, które kreują społeczne emocje. Nawet jeżeli Schetyna nie może sobie pozwolić – choćby ze względu na strukturę własnej partii – na takich, z pewnością powinien pokazać nowy personalny układ, który będzie kształtował politykę państwa po ewentualnym zwycięstwie dzisiejszej opozycji.

Perypetie partii władzy

Prawo i Sprawiedliwość ma wiele kłopotów właściwych każdej partii władzy: ostre walki frakcyjne, pasywna postawa wielu ceniących wygodę polityków, coraz poważniejsze kłopoty z opanowaniem chciwości we własnych szeregach. W tym wymiarze PiS jest raczej normalny niż niezwykły. Taki kryzys dopadł kiedyś AWS i SLD, a po nich PO. To nie jest już partia, którą pamiętamy z pierwszego roku rządów: dyscyplinowana twardą ręką prezesa, ale też pełna apetytów na realizację daleko zakrojonych celów. Czująca siłę czerpaną z brutalności we wprowadzaniu własnej woli, z bezkarnego łamania kolejnych barier, wreszcie – z upokarzania bezsilnej opozycji.

Tej siły już dziś nie ma. PiS nie złagodniał, ale się zmęczył, uwikłał w dziesiątki problemów. Ten ostatni, związany z zarzutami wobec szefa Komisji Nadzoru Finansowego, uderzył w szczególnie czuły punkt.

Nie tylko dlatego, że jednym z kluczowych elementów tożsamości tej partii była walka z korupcją, z czerpaniem zysków z państwowych posad. W łagodniejszej sytuacji – gdy chodziło o premie dla ministrów rządu Beaty Szydło, kierownictwo PiS zdecydowało się na bardzo drastyczną reakcję. Nie od razu, ale po kilku tygodniach udowadniania, ↦

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

↦ że „te pieniądze nam się należały”. W sprawie KNF partia rządząca zrobi cokolwiek tylko pod presją.

Na razie będzie udawała, że to problem jednego urzędnika. Ale jest jasne, że to polityka w sektorze bankowym stworzyła nową okazję do nadużyć. Dała argument, który padł nie z ust opozycji, lecz szefa jednego z najważniejszych urzędów: w świecie władzy istnieje plan wykorzystania kłopotów banków, będących własnością prywatną, do ich faktycznej nacjonalizacji lub przejmowania przez osoby związane z obozem władzy. Taką intencję można było wyczytać dotąd między wierszami, raczej w wypowiedziach sympatyzujących z obozem władzy publicystów niż polityków. Ale w nagranej rozmowie szefa KNF z Leszkiem Czarneckim została ona wypowiedziana wprost.

Wybuch afery nie spowoduje natychmiastowego odpływu wyborców. Tak się nie stało nawet w przypadku SLD i afery Rywina. Ten odpływ na wielką skalę nastąpił wskutek konfliktu między prezydentem a premierem, wskutek powstania odrębnej partii Marka Borowskiego. Sprawa prezesa KNF nie zabije PiS w krótkim terminie, ale może zablokować możliwość pozyskiwania nowych zwolenników, wzmocnić rezerwę i obawy własnych wyborców oraz – co najważniejsze – wzmocnić postępującą dekompozycję obozu władzy.

Wysoki próg PSL

Test wiosennych wyborów do Parlamentu Europejskiego nie będzie jednak wyłącznie sprawdzeniem siły partii rządzącej jako takiej. PiS będzie musiał zadbać przede wszystkim o to, by zachować monopol na reprezentację wszystkich czterech segmentów wyborców: tych, którzy w PiS widzą partię ludzi chodzących do kościoła; tych, którzy lubią go za walkę z establishmentem; niechętnych Unii, Niemcom czy Ukraińcom nacjonalistów; i wreszcie tych, którzy stali się wyborcami PiS pod wpływem obietnic i dokonań tej partii w sferze polityki socjalnej. Paweł Kukiz – bardzo silny w momencie wyborów prezydenckich – takiego ugrupowania nie stworzył. Nie zaufał nikomu, kto mógłby zagospodarować jego ówczesne zwycięstwo. Jego konflikt z liderem Bezpartyjnych Samorządowców Robertem Raczyńskim odebrał obu szansę na podjęcie poważnej gry z Jarosławem Kaczyńskim.

Jeżeli po prawej stronie sceny politycznej nie pojawi się lider zdolny odebrać PiS-owi jego wyborców, to partia ta może uznać wiosenny test za zdany. Oczywiście lepiej byłoby go zdać na piątkę niż na trójkę, lepiej wygrać z dużą przewagą, niż remisować lub nieznacznie przegrać. Ale to nie tu rozegra się najważniejsza – także dla PiS – gra.

Najważniejsza rozgrywka będzie dotyczyć tego, kto oprócz KO i PiS wprowadzi posłów do Parlamentu Europejskiego. Kto zakwalifikuje się do poważnej gry o polski Sejm. Dotychczasowe wybory europejskie nie miały takiego znaczenia, bo od tych parlamentarnych dzielił je co najmniej rok. Teraz będzie to kilka miesięcy. Kto przegra wybory europejskie, nie pokonując pięcioprocentowego progu wyborczego, będzie miał kłopot nie tylko z przekonaniem wyborców, ale także ze znalezieniem dobrych kandydatów, gotowych do poświęceń wolontariuszy, dostępu do mediów środków na kampanię.

Bardzo trudno prowadzi się ją pod prąd emocji takich jak rozczarowanie czy zniechęcenie. W atmosferze podejrzeń o dezercję, nielojalność czy pozorowanie walki. A tak jest w każdej partii po klęsce. Jeżeli na pozbieranie się zostaje kilka miesięcy – to pole manewru jest niewielkie.

Najtrudniejszy test ma przed sobą PSL. Wprawdzie dotychczas, żeby wejść do PE, wystarczał wynik na poziomie 350 tys. głosów, ale jeżeli dwóm głównym partiom uda się zmobilizować mieszkańców wielkich miast do udziału w wyborach, ten próg może zostać znacząco podniesiony. Dotychczas PSL nie miał kłopotu z jego pokonaniem. Pracował na ten sukces nie tylko szyldem, ale też dobrze zorganizowanymi strukturami lokalnymi. Dziś jednak te struktury mogą stracić siłę w tych – ważnych dla PSL – województwach, w których ludowcy utracili władzę w sejmikach.

Punkt wyjścia – blisko dwa miliony głosów w wyborach sejmikowych – jest niezły. PSL nie jest na straconych pozycjach. Uniknął klęski w październiku, ale mobilizacja wyborców sprzed kilku tygodni będzie wiosną trudniejsza niż w najważniejszych dla prowincji wyborach lokalnych.

Egzamin Biedronia

Drugi ważny test rozegra się nie w maju, lecz w pierwszych miesiącach nowego roku. To będzie test politycznych i organizacyjnych zdolności Roberta Biedronia. Test, w którym trzeba dokonać cudu pojednania rozmaitych środowisk lewicowych i jednocześnie stworzyć wizerunek będący otwartym na tych wyborców, dla których polityka identyfikacji ideowych jest nieczytelna. Ich poglądy stanowią – z punktu widzenia wykładowców doktryn politycznych – chaos sprzecznych haseł.

Biedroń dobrze to rozumie. Jak stworzyć przesłanie to dla niego łatwiejsza rzecz niż manewrowanie w świecie personalnych ambicji i niechęci, wzajemnych urazów, niż konstruowanie list. To różni go od Schetyny i Kaczyńskiego, którzy są mistrzami tego typu gier. Ale może ten test zdać na trójkę: złożyć listy, nie dopuścić do startu jakiejś bliźniaczo podobnej formacji, nie dać się zdezawuować poprzez dobór ludzi będących obciążeniem – którzy odbiorą jego liście cechę świeżości.

Ta kampania będzie nie tylko starciem speców od wizerunku, ale także egzaminem ze zwykłego rzemiosła politycznego. Ze zdolności motywowania własnych

Egzemplarz redakcyjny - Nie do rozpowszechniania!

POŻEGNANIE

Msza święta w intencji

Ś. † P.

Anny i Jerzego Turowiczów

w 80. rocznicę ich ślubu zostanie odprawiona
w kaplicy św. Otylii w Wilkowie (gmina Luborzyca)
w sobotę, 24 listopada 2018 r., o godz. 16.00.

Córki z rodzinami
oraz zespół „Tygodnika Powszechnego”

kadr, zawierania kompromisów, przekonywania do pracy na wspólny szyld.

Czekanie na nowe zaklęcie

Na początku nowego sezonu powinny paść słowa, które ukształtują oś kampanii. Będą próbą nazwania jej stawki i określenia pozycji głównych graczy. Na razie jednak owo nowe zaklęcie nie padło. Nie jest nim wskazany przez Donalda Tuska kontekst „polexitu", choć w merytorycznym sensie bardzo poważny, to trudny do uwiarygodnienia. Przede wszystkim dlatego, że wskutek wieloletniej propagandy odnoszącej się do środków europejskich utrwalił się wizerunek Unii jako szczodrej, choć zarozumiałej instytucji całkowicie wobec nas zewnętrznej.

Obywatelami Unii czujemy się może w relacjach z Ukraińcami, ale nie sami wobec siebie i nie wobec Brukseli czy Berlina. Nie czujemy się nimi na tyle, by argumenty związane z obecnością w UE tworzyły głęboki podział, przemawiający do nieinteresujących się nadmiernie polityką ludzi. Tylko jakaś spektakularna awantura w rodzaju głosowania 1:27 mogłaby ten podział uwiarygodnić i uspołecznić.

Częściową próbą wypowiedzenia takiej formuły jest nowa książka Roberta Biedronia. Rozpisuje ona – dużo ciekawiej, niż czyniła to przez ostatnie lata opozycja – pewien plan gry, znacznie szerszy niż najbliższy polityczny sezon. Biedroń stawia na pewną harmonię celu i metody, a zatem podważa strategię obu głównych partii, które karmią się ostrym, emocjonalnym i specjalnie podsycanym konfliktem politycznym. A zarazem tworzy ofertę w sensie ideowym bardziej polemiczną wobec PiS-u, niż są w stanie to uczynić politycy Platformy. Nie tylko na polu laickości państwa, ale także całkowicie innego podejścia do historii, do rozumienia praw człowieka, w tym rozszerzonych – np. o prawo do mieszkania – praw socjalnych.

Kto nie pokona w wyborach europejskich progu wyborczego, będzie miał kłopot nie tylko z przekonaniem wyborców, ale także ze znalezieniem dobrych kandydatów, i ze środkami na kampanię.

Ciekawa jest jednak nie tylko ta różnica, ale też zderzenie dwóch odmiennych narracji odwołujących się do doświadczenia życiowego. Pokolenie Donalda Tuska żyje świadomością cudu, jakim było odzyskanie wolności w roku 1989. Świadomością przejścia od statusu niedopasowanych do realiów PRL-u buntowników do pierwszych pozycji w nowym państwie. To jest to „niemożliwe stało się możliwe", które może być leitmotivem opowieści dzisiejszych sześćdziesięciolatków.

W opowieści Biedronia tego nie ma. Polska, jaką poznał, była już w zasadzie zawsze „wolna". Ale nadal była „Polską do zmiany". „Zostałem politykiem – pisze Biedroń – bo inni nie załatwiali spraw, które były i są dla mnie ważne". Te dwie motywacje, dwa doświadczenia mogą uruchomić napięcie w polskiej polityce jeszcze nie do końca wyartykułowane – idące wzdłuż podziału pokoleniowego.

Wiele komentarzy dotyczących przekonań młodego pokolenia skupiało się na fenomenie wysokiego poparcia dla partii Janusza Korwina-Mikkego czy ruchu Kukiz'15. Ale ten odruch „licealnego" sprzeciwu wyparował z kolejnych już roczników obywateli III Rzeczypospolitej wraz z procesem dorastania i nie miał mocy sprawczej. To, co mówi Biedroń, jest poważniejsze, bo kwestionuje stawianie doświadczeń pokolenia Solidarności i przełomu 1989 roku jako głównego punktu odniesienia polskiej polityki. O swoje miejsce upomina się więc nowa różnica pokoleniowa między ludźmi z roczników Kaczyńskiego i Tuska a rówieśnikami Biedronia i ludźmi od niego młodszymi.

© RAFAŁ MATYJA

Autor jest politologiem i publicystą, profesorem Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. W tym roku wydał książkę „Wyjście awaryjne. O zmianie wyobraźni politycznej".

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Przemoc w pracy

Mam tu dziesięciu na twoje miejsce. Zwiń sobie ten raport w rulon i wsadź w d...
Niczego nie potrafisz zrobić dobrze. Jesteś zerem.

TO NIE SĄ „NORMALNE" ODZYWKI SZEFA.
To przemoc w pracy. To mobbing. To łamanie polskiego prawa.

A JEDNAK W NASZYM KRAJU TO WCIĄŻ CODZIENNOŚĆ.
Dlatego chcemy rozpocząć rozmowę na ten temat. Będzie trudna, ale jest konieczna.

BYLIŚCIE PONIŻENI, ZASTRASZENI, WZGARDZENI PRZEZ PRACODAWCĘ?
Opiszcie to z hashtagiem **#przemocwpracy** lub wyślijcie na **przemocwpracy@tygodnik.com.pl**, opublikujemy Wasze świadectwa anonimowo. Napiszcie też, co wtedy czuliście.

POKAŻMY OFIAROM, ŻE NIE SĄ SAME.
A sprawcom, że kończy się ich bezkarność, że zachowania, które uchodziły za dopuszczalne, według pracownic i pracowników są już nie do przyjęcia.

Czytaj raport „Tygodnika" o mobbingu na powszech.net/przemocwpracy

Administratorem Pani/Pana danych osobowych jest Tygodnik Powszechny sp. z o.o., z siedzibą w Krakowie, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków.
Podany adres e-mail przetwarzamy wyłącznie w celu pozyskania informacji o przypadkach mobbingu, które do celów akcji mogą zostać wykorzystane w sposób całkowicie anonimowy. Podstawą przetwarzania jest art. 6 ust. 1 lit a RODO, czyli Pani/Pana zgoda, która jest wyrażona poprzez przesłanie maila na podany adres.
Pani/Pana adres e-mail będzie przetwarzany nie dłużej, niż jest to konieczne do odebrania zawartych w nim informacji.
Przesyłanie wiadomości e-mail na adres przemocwpracy@tygodnik.com.pl jest dobrowolne.

MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

Wręczenie Orderów Orła Białego, nadanych pośmiertnie 25 wybitnym Polakom. Zamek Królewski w Warszawie, 11 listopada 2018 r.

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Uciec z protektoratu

MAREK NOWICKI

Polska nie straciła niepodległości w 1795 r., tylko znacznie wcześniej. Bez zrozumienia tego faktu jesteśmy narażeni na wieczną powtórkę z historii, o której wolelibyśmy zapomnieć.

Nauczyliśmy się mówić – i powtarzaliśmy przy okazji ostatnich obchodów 11 listopada – że Polska odzyskała niepodległość po 123 latach niewoli. To bardzo grube uproszczenie. Nie sposób było świętować w pełni radości odzyskania niepodległości w 1918 r. bez zrozumienia sedna klęski, jakiej doświadczyło polskie państwo w 1795 r. Nie utraciło wówczas niepodległości, tylko przestało istnieć. Niepodległość utraciliśmy o wiele wcześniej. 11 listopada 1918 r. to dzień, w którym Polacy odzyskali jedno i drugie: i państwo, i niepodległość. I dlatego jest to powód do wielkiego świętowania. Bo w 1918 r. moglibyśmy odzyskać na przykład państwo bez niepodległości. Tak jak w państwie bez niepodległości żyliśmy praktycznie przez całe stulecie poprzedzające klęskę 1795 r.

Nasza zbiorowa pamięć jest w tym względzie jednak bardzo wybiórcza – broni się przed przyjęciem tego faktu do wiadomości. Może jesteśmy zbyt dumni, żeby tak po prostu bez bólu głowy zaakceptować, że mieliśmy króla, sejm, instytucje rządowe, dyplomację, własne wojsko i narodowe symbole, a pomimo to żyliśmy w państwie, które nie miało niepodległości. Jest to rana głęboka i cały czas – jak pokazała debata związana ze świętowanym stuleciem – nie do końca uświadomiona.

Gwarant ładu

Kiedy więc utraciliśmy niepodległość? Prof. Norman Davies w powszechnie przecież znanej książce „Boże igrzysko" pisze, że nastąpiło to w 1717 r. Polska stała się wtedy rosyjskim protektoratem. Polski sejm zatwierdził wtedy traktat, którego współautorem i sygnatariuszem był rosyjski ambasador. Traktat kończył spory między polskim królem i jego stronnikami a resztą polskiej szlachty. Gwarantem tego, żeby dłużej się nie awanturowali i ze sobą nie walczyli, stał się przedstawiciel Rosji. Rosjanie pośredniczyli w rokowaniach między skłóconymi stronami, czyli ingerowali w wewnętrzne sprawy naszego państwa, a my się na to godziliśmy.

Nie był to epizod, chwila polskiej smuty, jakieś omamienie, tylko początek trwającej przez prawie trzysta lat supremacji Rosji nad Polską. Oddajmy na chwilę głos samemu Daviesowi. „Supremacja Rosji, ustanowiona po raz pierwszy w r. 1717, przetrwała w takiej czy innej formie do dnia dzisiejszego. Czasami prawa rosyj-

skiego protektoratu egzekwowano, manipulując posunięciami autonomicznego, lecz zależnego państwa polskiego – działo się tak na przestrzeni całego niemal XVIII w. – kiedy indziej zaś – wcielając rozległe partie ziem polskich w granice obszaru imperium rosyjskiego. Czasami Rosja egzekwowała je sama, a czasami przy współpracy swych niemieckich czy austriackich wspólników. Ale w ciągu 260 lat zdarzyły się jedynie krótkie okresy interludium, zwłaszcza między 1915 a 1939. Co więcej, podczas gdy inni »protektorzy« Polski pojawiali się i znikali, Rosjanie wciąż nie odchodzą".

Davies napisał te słowa 40 lat temu, w czasach PRL-u. Uwzględniając więc ten fakt, zamiast 260 lat, o których pisał, trzeba wstawić 270. No i należy rozciągnąć okres „interludium" na ostatnie trzydziestolecie. Dramatyczne pytanie, które spina te historyczne dywagacje z teraźniejszością, brzmi: czy mamy obecnie kolejne interludium, czy też okres supremacji Rosji nad Polską definitywnie się skończył? Chyba nikt podczas toczącej się ostatnio ogólnopolskiej niepodległościowej debaty tego pytania nie zadał.

Czarna lista orderów

Liczby oparte na dacie 1717 robią wrażenie, ale nie ma co się do nich przywiązywać, bo ta data – faktycznej utraty przez Polskę niepodległości – nie jest tak jasną i oczywistą cezurą jak data upadku państwa w 1795 r. Historycy na ten temat dyskutują. Wielu pisze o stopniowej utracie niepodległości, czyli że na początku tego procesu była suwerenność większa, potem mniejsza, a potem jej w ogóle nie było. Czy aby nie poprawiamy sobie samopoczucia słowem „stopniowa"? A jakaż to była niepodległość w tym 1717 r., skoro sejm ratyfikował fatalny dla Polski traktat warszawski, otoczony przez oddziały rosyjskiego wojska? Sprowadzone zresztą rok wcześniej na prośbę polskiego króla.

Prof. Urszula Kosińska z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego proponuje, aby cezurę utraty suwerenności przez nasze państwo postawić jeszcze wcześniej: w 1709 lub nawet 1706 r. W tym to właśnie roku król August II porzucił tron. Abdykował. Przez rok, dwa mieliśmy właściwie bezkrólewie i w tym czasie kluczową rolę w polskiej polityce wewnętrznej odgrywał car Piotr I. Fizycznie tu był. Inicjatorem zawiązania konfederacji sandomierskiej w obronie Augusta II był zresztą ambasador Grigorij Dołgorukow. Car występował w obronie Augusta II Sasa, bo sprawował nad nim całkiem skutecznie kuratelę; zneutralizował go. Funkcja rosyjskich ambasadorów i posłów w Polsce od tamtego czasu już tylko rosła. Z inspiratorów przeobrazili się z czasem w tych, którzy na podstawie instrukcji przysyłanych z Petersburga sprawowali w państwie polskim rzeczywistą władzę.

Ambasada rosyjska w Warszawie stała się ośrodkiem władzy: istniał tu specjalny fundusz korupcyjny dla załatwiania spraw bieżących; tu też często za kadencji Stanisława Augusta był ustalany program obrad Rady Nieustającej, czyli polskiego rządu. Nikołaj Repnin był bezpośrednio zaangażowany w wybory ostatniego polskiego króla i zwoływanie sejmu rozbiorowego. W 1772 r. sąsiednie mocarstwa dokonały pierwszego rozbioru Polski – przeciętny Polak zna ten fakt historyczny. Psioczymy na zaborców i ubolewamy nad słabą Rzecząpospolitą, która dała wydrzeć sobie te tereny. Każdy normalny kraj wytoczyłby w tej sytuacji wojnę agresorom. Natomiast Polska – ponieważ nie była krajem niepodległym, nie tylko że nie wytoczyła wojny, ale wręcz pierwszy rozbiór, podobnie zresztą jak i drugi, zaakceptowała. Z pełnymi szykanami prawnymi – sejm i król podpisali stosowne dokumenty. Rzeczpospolita formalnie dokonała cesji ziem na rzecz Rosji, Niemiec i Austrii.

W czasach Sejmu Czteroletniego Tadeuszowi Reytanowi ponoć chcieli wystawić pomnik za to, że się wtedy, w 1773 r. na sejmie zatwierdzającym rozbiory, rozbiorom sprzeciwił. Reytan do dziś nie ma w Warszawie pomnika, natomiast państwo polskie uhonorowało najwyższym polskim odznaczeniem – orderem Orła Białego – marszałka sejmu rozbiorowego, który popierał rozbiór własnego kraju: Adama Ponińskiego. Owszem, w 1790 r. order mu odebrano, ale pozostaje faktem, że w XVIII w. Polska znajdująca się pod rosyjskim protektoratem przydzielała order Orła Białego największym swoim wrogom. Wystarczy przejrzeć listę kawalerów. Są na niej wszyscy osiemnastowieczni carowie – faktyczni władcy ówczesnej Polski – począwszy od Piotra I, a na Katarzynie II skończywszy.

Ciągle ci sami

Do dziś nie umiemy o tym swobodnie mówić, nie umiemy nazywać rzeczy po imieniu, dalej niesiemy tę chorobę niepamięci. Nie za wiele debatujemy na temat XVIII wieku. Chwalimy się Konstytucją 3 Maja, Szkołą Rycerską i Komisją Edukacji Narodowej. Nie zmienia to jednak faktu, że w historii Rzeczypospolitej XVIII wieku jest bardzo dużo spraw, którymi chwalić się nie wypada. Po 300 latach od tamtych wydarzeń winę za utratę niepodległości, a potem państwa łatwo zrzucamy na sobiepaństwo szlachty, jakiejś tam pijanej i otumanionej grupy, serwilizm magnatów, na targowickich zdrajców, na bezwolnego króla. Było to jednak nasze państwo, nasze elity i jest to nasza spuścizna, a konsekwencje tamtych dwuznaczności ponosimy do dzisiaj. Nie czujemy się odpowiedzialni za tamte winy. Poniekąd można to zrozumieć. Jest tak zapewne także dlatego, że z wielu innych spraw – tych bliższych nam historycznie – musimy się, czasami przymuszani, na bieżąco rozliczać. I trochę tego bicia się w piersi mamy dość. Tę lekcję powinniśmy jednak odrobić z własnej inicjatywy.

Nie sposób zrozumieć w pełni tego, co dzieje się w naszym kraju lub wokół niego, bez zrozumienia dziejów Rzeczypospolitej przez cały wiek XVIII. Proste przykłady ze współczesności. Nie sposób zrozumieć, dlaczego racją stanu dla Polski było zbudowanie terminala LNG w Świnoujściu, bez przejrzenia się w kartach historii. Nie sposób zrozumieć, dlaczego zagrożeniem dla niepodległości Polski może być polityczna wojna polsko-polska. Nie debata, nie spór, tylko polityczna wojna – jaka coraz bardziej się u nas rozkręca. Niszczenie przeciwników politycznych wszelkimi środkami. Zachęcanie do jakichś form interwencji. (Dzieje się to nie tylko za czasów obecnego rządu, ale przecież i poprzedniego). *Nihil novi.*

Zajrzyjmy do XVIII wieku, a znajdziemy tam nas samych; trochę inaczej ubranych, w trochę innych okolicznościach geopolitycznych, narażonych jednak na podobne zagrożenia. Jest czas i okazja do wyciągnięcia wniosków. Tak jak klęskę powstania warszawskiego udało nam się w ostatnich dwóch dekadach przekuć w twórcze, afirmujące i jednoczące doświadczenie, tak podobnie powinniśmy uczynić z historią dawniejszą. Przed nami za dwa lata kolejna setna rocznica: tym razem Bitwy Warszawskiej. Wtedy niepodległość obroniliśmy. ©

Autor jest dziennikarzem „Faktów" TVN.

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania.

Komisja Nadzoru Fikcyjnego

MAREK RABIJ

Kontrola nad rynkiem finansowym w Polsce jest czysto fasadowa, a zajmująca się nią Komisja to ostatnie miejsce, gdzie poszkodowany przez dużą instytucję mógłby szukać pomocy.

Właściwie to jest ich dwóch. Mariusz Zielke i Jakub Zimny. Zielke nigdy nie potwierdził, że Zimny to on, ale też nikt dotąd nie pytał, może prócz znajomych z mediów, którzy dostrzegli w redaktorze Zimnym literackie *alter ego* redaktora Zielkego. Jakub Zimny, główny bohater wydanego w 2012 r. „Wyroku", w trakcie rutynowej dziennikarskiej roboty trafia na trop afery wiodącej na szczyty władzy i do międzynarodowej finansjery. Thriller polityczny, jakich wiele w każdym kraju z wolnorynkową gospodarką, giełdą i walką o pieniądze oraz wpływy. Z tą różnicą, że – jak zapewnia Zielke – większość wątków w „Wyroku" to prawdziwe wydarzenia, z którymi zetknął się podczas dziesięciu lat pracy publicysty specjalizującego się w rynku kapitałowym, ale nie mógł opisać za pomocą standardowego warsztatu dziennikarskiego.

– Jeśli komuś wydawało się, że przesadzam w opisie patologii, to po ostatnich doniesieniach mediów o nagraniach w siedzibie Komisji Nadzoru Finansowego zapewne zmienił zdanie – uśmiecha się Zielke.

Satysfakcja? Autor „Wyroku" zapewnia, że towarzyszą mu zgoła odwrotne emocje: – Książka, którą napisałem w 2010 r. i wydałem dwa lata później, idealnie pasuje do opisu realiów polskiego rynku kapitałowego z końca 2018 r. Jeśli zatem nic nie uległo zmianie, to znaczy, że się przeliczyłem, bo miałem nadzieję, że coś jednak tym pisaniem zmienię.

Nic. Coś. Większość. Odrobina. Zielke unika konkretów. Nauczyło go tego doświadczenie. W 2009 r. opublikował tekst, w którym zarzucił Markowi Falencie (temu samemu, który pojawi się potem w aferze taśmowej), że kieruje spółką Electus pomimo wyroków sądowych, które mu wówczas tego zakazywały (dziś tamten wyrok uległ już zatarciu). Spółka pod kierownictwem Falenty szykowała się wówczas do emisji obligacji. – Zawiadomiłem o sprawie Komisję Nadzoru Finansowego – wspomina Zielke. – Do emisji obligacji ostatecznie nie doszło i wtedy Falenta i jego firmy wytoczyły mi pięć procesów, w których domagały się miliona złotych odszkodowania za uniemożliwienie emisji. Przez trzy lata prawie mieszkałem w sądach, pozywano mnie w taki sposób, żebym jednego dnia zeznawał w Gdańsku, a nazajutrz w Lubinie.

Ostatecznie Zielke wygrał prawomocnie wszystkie procesy, ale – jak mówi – wygranym się nie czuje. Firmę Electus KNF ukarała... podaniem do publicznej wiadomości informacji, że złamała prawo.

– Ta sprawa uzmysłowiła mi, że nadzór nad rynkiem finansowym w Polsce ma charakter czysto fasadowy, a sama KNF to ostatnie miejsce, gdzie obywatel poszkodowany przez dużą instytucję mógłby szukać pomocy – dodaje mój rozmówca. – Dlatego nie zdziwiła mnie treść rozmowy nagranej w gabinecie prezesa Komisji przez Leszka Czarneckiego. Wątek osób poszkodowanych w aferze GetBack nie pojawia się w niej właściwie wcale, rozmowa toczy się za to wokół problemów biznesmena, który może przez nią stracić dużo pieniędzy.

Mądry nadzór po szkodzie

Powstała w 2006 r. Komisja Nadzoru Finansowego miała połączyć kompetencje rozproszone wcześniej pomiędzy Komisją Papierów Wartościowych i Giełd, nadzorem bankowym i regulatorem rynku ubezpieczeniowego. W teorii pełni również funkcję swoistego bufora, który ma chronić obywateli przed powierzeniem pieniędzy naciągaczom. Do tego służy tzw. lista ostrzeżeń publicznych, na której KNF podaje informacje o złożonych przez siebie zawiadomieniach o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Aktualnie lista składa się z 225 pozycji.

– Nie potrafię jednak zrozumieć – ciągnie Zielke – dlaczego KNF nigdy nie pomyślała o stworzeniu zestawienia, na którym będzie zwracać uwagę na konkretne konstrukcje czy instrumenty finansowe potencjalnie groźne dla klientów.

Pytanie o takie zaniechanie wydaje się retoryczne w kontekście listu, który pod koniec 2016 r. przesłał posłom ustępujący wówczas z fotela szefa KNF Andrzej Jakubiak. Pytany wówczas, dlaczego Komisja w żaden sposób nie wsparła na czas milionów klientów namówionych do zainwestowania ok. 50 mld zł w tzw. polisolokaty (lokaty połączone celowo z polisą w taki sposób, że rezygnacja z ubezpieczenia wiązała się z utratą nawet 90 proc. kwoty zdeponowanej na lokacie), przewodniczący odpisał, że Komisja „nie posiada kompetencji do rozpatrywania skarg w znaczeniu polegającym na badaniu zasadności zarzutów dotyczących wadliwego zawarcia czy wykonywania przez zakład ubezpieczeń umowy z klientem i wypowia-

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

daniu się w przedmiocie zasadności roszczeń klientów w indywidualnych przypadkach. (...). Skargi są jednym z istotnych źródeł informacji o sposobie funkcjonowania rynku i problemach tamże występujących".

Słowem – to nie KNF ma być dla obywateli źródłem informacji o potencjalnym ryzyku czyhającym na rynkach finansowych, lecz odwrotnie.

Rzecz w tym, że przeciętny klient banku czy firmy ubezpieczeniowej coraz rzadziej potrafi przejrzeć samodzielnie konstrukcję nowoczesnych produktów finansowych i ocenić ryzyko inwestycyjne. To nie tylko kwestia edukacji ekonomicznej, która wciąż pozostawia w Polsce wiele do życzenia. Poziom skomplikowania produktów finansowych bywa czasem nieodgadniony nawet dla dyplomowanych ekonomistów i bankowców, a ocenę ryzyka utrudnia dodatkowo opis, który specjaliści od marketingu modelują w taki sposób, by uwypuklić korzyści i ukryć czynniki ryzyka. Taka oferta bywa często po prostu pułapką, a złapany w nią klient musi jeszcze tłumaczyć się z rzekomej niekompetencji.

– Zapomnijmy o Amber Gold i obietnicach złotych gór, tu naprawdę wystarczyła odrobina zdrowego rozsądku – kiwa głową Zielke. – Ale co mają powiedzieć wrobieni w obligacje GetBack, które nazywano lokatami, albo ci, którzy wiedzieli, że kupują obligacje, ale zamydlono im oczy ich sfałszowanymi raportami finansowymi i wycenami, które nie zapowiadały kłopotów?

Istotnie. „W latach 2018–2019 będzie miała miejsce ekspansja GetBack połączona ze wzrostem przychodów (...), przy jednoczesnym utrzymaniu zadłużenia na poziomie uzasadniającym wyższą ocenę" – tak jeszcze 19 lutego pisali analitycy renomowanej agencji S&P w uzasadnieniu decyzji o podniesieniu ratingu kredytowego polskiego windykatora. Dwa miesiące później, pod koniec kwietnia, GetBack nie był już w stanie wykupić zapadalnych obligacji na 88 mln zł, ani nawet wypłacić 3 mln zł odsetek.

Audytorzy S&P mogą usprawiedliwiać swoją wpadkę tym, że mieli do dyspozycji tylko to, co udostępnił im ówczesny zarząd GetBack, na którym ciążą obecnie zarzuty prokuratorskie. KNF miała jednak o wiele większe możliwości, ale i tak nie zareagowała na czas. Kiedy pod koniec 2017 r. pierwsze biura maklerskie zaczęły cofać windykatorowi pozytywne rekomendacje, przewidując nadchodzące problemy spółki, Komisja dopinała właśnie na ostatni guzik kampanię ostrzegającą Polaków przed... ryzykiem inwestycji w bitcoiny.

W sprawie SK Banku, z którego wyparowało łącznie 2,7 mld zł i depozyty klientów musiał ratować Bankowy Fundusz Gwarancyjny (czyli zrzucili się na nie klienci innych banków), Najwyższa Izba Kontroli z kolei zarzuciła KNF interwencję spóźnioną o „co najmniej trzy kwartały".

– W historii praktycznie każdej dużej afery finansowej w Polsce niczym refren powraca wątek bezczynności Komisji, która wkraczała do akcji dopiero na etapie liczenia strat i poszkodowanych – mówi autor „Wyroku".

Kibic, nie arbiter

Czy politycy, którzy powołali do życia KNF, nie zdają sobie sprawy z jej słabości, czy z premedytacją wyrwali jej zęby? ↦

↦ Przeglądając biogramy osób desygnowanych do kierowania Komisją, łatwiej uwierzyć w to drugie. – Na jej czele nigdy nie stanął polityk z dorobkiem i zapleczem, które gwarantowałyby mu posłuch wśród rządzących – mówi Zielke. – A mówimy przecież o instytucji, która ma pod kontrolą rynek wart przeszło 3 biliony złotych.

Wśród prezesów Narodowego Banku Polskiego, który stoi na straży inflacji i obiegu monetarnego wartego obecnie ok. 200 mld zł, po 1989 r. pojawia się były premier (Marek Belka), dwóch eks-ministrów (Leszek Balcerowicz i Adam Glapiński) oraz Hanna Gronkiewicz-Waltz, której kierowanie NBP otworzyło drogę do skutecznego ubiegania się o politycznie istotną prezydenturę Warszawy. Dla Stanisława Kluzy, pierwszego szefa KNF, i dla jego następców kierowanie Komisją było tymczasem pierwszym poważnym stanowiskiem w karierze. Trudno oprzeć się wrażeniu, że nominaci o większym politycznym ciężarze gatunkowym trafiają nawet do Najwyżej Izby Kontroli.

Czym innym jest jednak odpowiedź na pytanie, dlaczego rządzący, bez względu na ideologiczną proweniencję, wolą taką bezzębną wersję KNF-u? Raczej nie chodzi o obawę przed zarzutem upolitycznienia ważnej instytucji, bo urzędy centralne, jako instytucje powołane do realizacji polityki rządu, upolitycznione są niejako z definicji, nie mówiąc już o tym, że wyborcy w Polsce przywykli do administracji, która nie wstydzi się partyjnej odznaki w klapie. W grę wchodzić może zatem jeszcze głęboko zakorzenione w polskiej klasie politycznej przekonanie, że państwo w miarę możliwości winno jak najmniej mieszać się do gospodarki. Władza w roli życzliwego kibica z pewnością pasuje do neoliberalnych wzorców politpoprawności. Szkopuł w tym, że kibic nigdy nie będzie bezstronnym arbitrem.

Czy politycy, którzy powołali do życia KNF, nie zdają sobie sprawy z jej słabości, czy z premedytacją wyrwali jej zęby?

Nic też dziwnego, że KNF z tą bezstronnością problemy ma od zarania.

Zielke: – W 2006 r. pojawiła się informacja, że szefem nowo powstałej Komisji zostanie Stanisław Kluza. W jego oświadczeniu majątkowym znalazłem informację, że dysponuje majątkiem wartym około 10 mln zł, do tego zdeponowanym na rachunku inwestycyjnym w domu maklerskim IDM SA, w sprawie którego KNF miał właśnie prowadzić pierwsze oficjalne postępowanie. Prezes nominat rozwiązał ten problem, przelewając pieniądze na tzw. ślepy rachunek, który oficjalnie nie dawał mu wglądu w transakcje, w jakie dom zarządzający angażował jego fundusze, nie mógł więc również wykorzystać informacji poufnych do własnych inwestycji. Obiecał też, że w sprawach dotyczących IDM SA będzie wstrzymywać się od głosu. Do dziś nie rozumiem jednak, dlaczego w 38-milionowym kraju z nieźle już rozwiniętym rynkiem kapitałowym nie udało się znaleźć na to stanowisko bardziej neutralnego kandydata.

Obrotowe drzwi łączące świat finansów z kontrolującą go Komisją kręcą się nadal. Jerzy Pruski, były szef Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, dziś pełni funkcję wiceprezesa Idea Banku. Pracę dla tego banku ma w zawodowym życiorysie również Łukasz Dajnowicz, wieloletni rzecznik prasowy KNF. Jarosław Ostrowski, szef jednego z kluczowych departamentów Komisji, sprawował funkcję wiceprezesa Polskiego Domu Maklerskiego – tego samego, który pojawia się w aferze GetBack w roli jednego z głównych dystrybutorów obligacji windykatora.

Najbardziej symptomatyczne pod tym względem są jednak dalsze kariery dwóch poprzednich szefów KNF, którzy po zakończeniu kadencji szybko trafili do biznesu: Stanisław Kluza – jako prezes Banku Ochrony Środowiska, Andrzej Jakubiak zaś na stanowisko zastępcy dyrektora działu prawnego mBanku.

– Dla pełnego obrazu dorzućmy szkolenia, które m.in. agencja Support, spółka zależna IDM SA, oferowała w poprzedniej dekadzie firmom wybierającym się na giełdę – zauważa Zielke. – Zajęcia prowadzili kluczowi urzędnicy poprzedniczki KNF, Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, którym za dzień takiej pracy oferowano wielokrotność miesięcznej pensji. Współpracę domu maklerskiego, który pomaga w wejściu na giełdę, z urzędnikami, którzy taki debiut kontrolują, trudno moim zdaniem nazwać przejrzystą. Zwłaszcza gdy mowa nie o jednym przypadku, ale o 44 szkoleniach zrealizowanych w ciągu zaledwie 10 miesięcy.

■■■

Budżet KNF w 2017 r. wyniósł ponad 239 mln zł. Przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto – 10 538 zł. Z danych firmy Sedlak&Sedlak z początku tego roku wynika, że mediana zarobków w całej administracji rządowej sięgnęła w tym czasie 3851 zł brutto.

©℗ MAREK RABIJ

Egzemplarz jedynie do wiadomości. Nie do rozpowszechniania!

TP

Kluby „TP” zapraszają

BERLIN,
czwartek, 22 listopada, godz. 19.00
Spotkanie „Dwie Polski. Dwa państwa. Dwa narody. Spory o kształt Niepodległej”. Gościem będzie dr Paweł Stachowiak.
Miejsce: klasztor oo. Dominikanów (Oldenburger Str. 46).

BIELSKO-BIAŁA,
środa, 5 grudnia, godz. 17.00
Spotkanie „Kościół, państwo, Europa”. Gośćmi będą bp Tadeusz Pieronek oraz Szymon Wróbel, autor książki „Ojciec, czyli o Pieronku”.
Miejsce: Książnica Beskidzka (ul. Słowackiego 17A).

BYDGOSZCZ,
czwartek, 22 listopada, godz. 18.00
Spotkanie „Czy kobiety mają głos w Kościele?” Gościem będzie Zuzanna Radzik. Miejsce: Biblioteka UKW (ul. K. Szymanowskiego 3).

ZIELONA GÓRA,
wtorek, 27 listopada, godz. 19.00
Spotkanie „Kruche dziedzictwo. Jan Paweł II od nowa”. Gościem będzie ks. prof. A.M. Wierzbicki. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE REDAKCJI

ANNA

Dziewit-Meller: *Miska z wodą*

Dodatkowy dzień wolny spędziłam tak, jak umiem najlepiej – pracując. Tym jednak razem, korzystając z wolnej chaty, zamiast coś pisać lub przynajmniej odpisywać na, zajęłam się porządkowaniem książek – tych, co koniecznie muszą zostać, tych, co do oddania w dobre ręce (pozdrawiam serdecznie bibliotekę w Reszlu!). W czasie takich porządków w oko wpadają rzeczy, które od lat zalegały zawalone katalogami wydawniczymi na rok 2015, 2016, 2017, pamiątkowymi dyplomami z odwiedzonych podczas spotkań autorskich bibliotek i domów kultury, lub nieśmiganą nigdy serią wydawniczą o nadprzyrodzonych mocach, wikingach albo komisarz Chyłce.

Tym razem, dzięki szczodrobliwości Andrzeja Dudy, który darował mi wolny dzień, znalazłam nie tylko dziesięć grubych brulionów zapisanych drobnym maczkiem przez mojego dziadka w latach 1981-88, ale również tę książkę, z której chcę dziś skorzystać, by pokazać państwu, że siedem uczuć, o których niegdyś pisałam tu w felietonie, po obejrzeniu nowego filmu Marka Koterskiego, to ledwie wierzchołek lodowej góry. Uczuć – jak się okazuje – nigdy za wiele w naszym katalogu emocji. Pisze o tym w swojej „Księdze ludzkich uczuć" antropolożka Tiffany Watt Smith.

„Mniej więcej do 1830 roku – czytamy – nikt tak naprawdę nie odczuwał emocji". Starożytni Grecy na przykład wierzyli, że buntowniczy szał jest roznoszony przez trujący wiatr, pierwsi chrześcijanie w nudzie widzieli złośliwe demony, że o czterech podstawowych humorach kształtujących osobowość człowieka nie wspomnę. Aż wreszcie londyński anatom Thomas Willis, przeprowadzając sekcję zwłok, doszedł do wniosku, że ni flegma, ni żółć, a układ nerwowy i mózg mogą mieć coś wspólnego z odczuciami, jakie nam w życiu towarzyszą. Filozof Thomas Brown poszukał zaś dla tych odkryć nowego słowa – i tak pojawiło się w tym kontekście słowo *emotions*, nawiązujące do wszelkiego poruszenia.

Tiffany Watt Smith, przedzierając się przez kolejne kultury, odnajduje dla nas emocje, o których nigdy wcześniej nie słyszałam, a zdaje się, że warto byłoby je jakoś narodowo zaimplementować. Na przykład występujące w języku jidysz słowo *nakhes* – nadmierna rodzicielska duma, która każe rodzicom pękać z radości z powodu najmniejszego osiągnięcia swej progenitury (coś w rodzaju poczucia, że „Patryk Jaki wicemistrzem Warszawy").

Szalenie przydatne może się okazać, zwłaszcza w polskiej polityce, pochodzące z Indonezji uczucie zwane *malu* – „nagłe poczucie skrępowania, niższości i zakłopotania, ogarniające nas w towarzystwie ludzi o wyższym statusie od naszego". Ze względu na zbliżające się coraz bardziej wybory parlamentarne warto do słownika wprowadzić uczucie zwane *torschluss-panik* – uczucie rozdrażnienia, które odczuwamy wiedząc, że kończy nam się czas (termin, jak czytam w książce, powstał w średniowieczu i oznaczał „panikę, że zamykają bramę", podczas gdy my wciąż znajdujemy się poza murami twierdzy, a wróg już na horyzoncie). A hiszpańskie *verguenza ajena*? Bez niego nie wyobrażam już sobie interesowania się polityką! Otóż wedle Hiszpanów jest to swego rodzaju zapośredniczone zażenowanie i wstyd, które odczuwamy obserwując poczynania osoby, która postępuje wyjątkowo głupio i nie jest gotowa ani za zachowanie swe przeprosić, ani przyznać się do błędu.

Jakże wiele wytłumaczyć można uczuciem, które rozpoznano w Indiach, zwąc je *abhiman*! Oto bowiem emocja, która łączy w sobie ból i gniew, „jaki odczuwamy w sytuacji, kiedy zostaniemy skrzywdzeni przez osobę, którą kochamy, albo od której spodziewamy się życzliwego traktowania". I wtedy właśnie pojawia się *abhiman*, coś jak wściekła, zraniona duma, podszyta pragnieniem odwetu.

Wreszcie czeska *litost*, uczucie tak wspaniale opisywane przez Milana Kunderę, który w zrozumieniu tego terminu upatrywał klucza do duszy nie tylko czeskiej, ale wszelkiej. „To splot wstydu, urazy i wściekłości, które podrywają nas na nogi, gdy inna osoba zrobi coś takiego, że poczujemy się okropnie" – pisze Smith, podkreślając aktywną stronę tej emocji. Kundera bowiem dodaje w swojej „Księdze śmiechu i zapomnienia", że *litost* „to bolesny stan spowodowany przez nagłe odkrycie własnej nędzy (...) działa jak motor dwutaktowy, po uczuciu cierpienia pojawia się pragnienie zemsty". W *litosti* najistotniejsze zatem będzie to, by nasz adwersarz cierpiał i poczuł się równie źle jak my, nie zaś to, abyśmy to my poczuli się lepiej.

By określić to, jak czujemy się po wyjeździe wyjątkowo ulubionych gości, możemy użyć z kolei określenia pochodzącego z Gwinei: *awumbuk*. Goście bowiem – zdaniem plemienia Baining – tuż przed opuszczeniem nas zrzucają z siebie ciężar, by zapewnić sobie lekką podróż. Te ciężkie opary przez trzy dni unoszą się nad naszym progiem, powodując przygaszenie, zmęczenie, czasem pustkę. By temu zaradzić – Baining stawiają na progu miskę z wodą, by wchłonęła opary, a potem chlustają nimi w las. Po kolejnym długim weekendzie z rodziną – być może to metoda jak znalazł, by odnaleźć balans wewnętrzny. Zwłaszcza jeśli wcześniej przy stole odczuwaliśmy dużo *vergüenza ajena*. ©

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

fanimani.pl

REPORTAŻ

JAKOŚĆ DŹWIĘKU OCENIA SIĘ PO CICHU

Trudno oprzeć się wrażeniu, że w środku lampowego radia siedzą miniaturowi ludzie, obdarzeni doniosłym głosem i przyjemnym dla ucha tembrem.

TEKST ANDRZEJ MUSZYŃSKI
ZDJĘCIA JACEK TARAN DLA „TP”

Egzemplarz redakcyjny
Nie do rozpowszechniania!

Czasem żałuję, że to radio nie psuje mi się częściej. W zasadzie wcale nie zawodzi. Jeździłbym wtedy częściej do pana Ryszarda Dulskiego, wyciągałbym z auta pudło tak wielkie, że z trudem obejmuję je rękami, i dreptałbym uważnie pod drzwi jego mieszkania na wzgórzu powyżej Dobczyc. A potem, to co zwykle: pan Ryszard pyta, czy herbaty, a ja z trudem odbieram jego słowa, bo znów jestem w tym cieple, jakim emanuje każdy warsztat pełen odłożonych na chwilę narzędzi. Z tego spiętrzenia rzeczy, z pozornego chaosu – kabli, lamp, śrubek, antykwarycznych dokumentów ze schematami, dziesiątek rzeczy, których nazw nigdy nie poznam – wyłania się dostojna forma zabytkowych radioodbiorników na wszystkich ścianach. Stawiam swój sprzęt na stole. Pan Ryszard chwali: „Nordmende fidelio, znakomita jakość”. Ten odbiornik jest z lat 50. I działa. Lampy są oryginalne. Tylko sprzęgło odpowiedzialne za ruch gałki częstotliwości nieco szwankowało i ktoś ośmielił się zamontować współczesny kabel, co natychmiast pan Ryszard zmienił, wiedząc, z jakiego materiału był zrobiony pierwotnie. I jak tu udowodnić, że nie idzie o żywienie nostalgii?

Diagnoza dla pioniera

Zacznijmy od tego: gdy ktoś natyka się po raz pierwszy na nordmende fidelio, najpierw zwraca uwagę na jakość dźwięku, a nie estetykę. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tam w środku siedzą miniaturowi ludzie, obdarzeni doniosłym głosem i przyjemnym dla ucha tembrem. Dopiero po dłuższej chwili, po spojrzeniu w wolno rozpalające się zielone oko, a więc wskaźnik dostrojenia, bada się dłońmi jego rosłą, ale zgrabną sylwetkę. Dziś nie produkuje się już odbiorników lampowych, są zbyt duże. Radia, których zwykle słuchamy, to urządzenia tranzystorowe, co pozwala minimalizować ich rozmiar. Dźwięk jest tym czystszy, im mniej złożona droga od mikrofonu do głośnika. Tranzystory nie są prostymi elementami. Oczywiście, można dziś kupić nowoczesny sprzęt audiofilski z wysokim standardem dźwięku, może on osiągać nawet lepsze brzmienie, ale bywa znacznie droższy niż doprowadzony do porządku odbiornik lampowy. Słowem, radia lampowe dają zbliżony efekt niższym kosztem.

Lorenz 340 W. Rocznik 1939 – pan Ryszard wskazuje na kolejne, dopiero co wykończone cacko. – Przynieśli mi je w fatalnym stanie. Ale dostrzegłem w nim elegancję – stwierdza, idzie do kuchni parzyć tę herbatę, a ja po raz kolejny nie mogę się nacieszyć stylem, z jakim wypowiada zdania, od kropki do kropki, bez rozszarpywania komunikatu.

Można tylko przypuszczać, że to przekonało w latach 60. Władysława Stobieckiego. Ryszard Dulski studiował wtedy na krakowskiej AGH i zdecydował się na ruch, który większość z nas wykonuje w projekcji własnej wyobraźni, pozbawiając się niejednokroć szansy na życie swoim życiem. Odważył się pójść do prywatnego zakładu radiotechnicznego, przedstawić się jako pasjonat radiotechniki i poprosić o pracę, by mógł nauczyć się kilku rzeczy, za co on jeszcze właścicielowi zapłaci. W latach 60. w prywatnym zakładzie przy Basztowej 15, należącym do Władysława Stobieckiego, powstańca warszawskiego, na parterze budynku z siedzibą urzędu cenzury, PAP-u, Państwowej Inspekcji Radiowej, Polskiego Związku Krótkofalowców, wrzało jak w ulu. Radio wzbudzało takie emocje, jak parę lat temu internet. To złote lata radiotechniki, która zaczęła się wtedy szybko rozwijać.

Stobiecki postawił przed Ryszardem pioniera i poprosił o diagnozę, a następnie naprawę. Ryszard potrafił wtedy niewiele, ale Stobiecki przyjął go do zakładu i zaproponował na czas terminowania stawkę 5 zł na godzinę. Ryszard wyszedł z zakładu i – wiadomo, co czuje człowiek w takich chwilach.

Ojciec odcięty od Wolnej Europy

Bo wcześniej szło jakoś opornie. Najpierw było najprostsze urządzenie detektorowe, niemal ów kawałek drutu, którym mały Rysiek nasłuchiwał dźwięków w łóżku.

Radioodbiorniki pana Ryszarda Dulskiego, listopad 2018 r.

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Potem egzamin do szkoły muzycznej jego brata; matka zabrała Ryśka do towarzystwa. Komisja sprawdzała zdolności słuchowe. Jeden z egzaminatorów namówił matkę, żeby młodszy brat też się sprawdził i w ten sposób okazało się, że Rysiek włada słuchem absolutnym, z którego obficie korzystał do szóstej klasy podstawowej, kiedy to po bójce został usunięty z placówki. I może by i nawet zgrabnie pasowała do fabuły o jego losie scena, gdy sfrustrowany, w niszczycielskim szale, roztrzaskuje ukochaną sabę ojcu, który wsłuchiwał się w głos Wolnej Europy. Było jednak trochę inaczej – Ryszarda zżerała ciekawość, co jest w środku, i dlaczego jest to o tyle większe od jego radyjka. Dobrał się do bebechów pod nieobecność rodziców i saby już nikt nie potrafił ocalić. Bądźmy teraz jak ci obsesjonaci, którzy dla odnalezienia zagubionej w czasoprzestrzeni cząstki, fakciku, potrafią poświęcić miesiące, i dopatrujmy się w akcie zniszczenia saby odkupieńczego motywu, który wciągnął pana Ryszarda w ten świat. I znów – pułapka. Ciągły rozwój radiotechniki, odkrywanie praw i zależności, a więc przygoda intelektualna, to główna przyczyna pasji pana Ryszarda.

A pasję trudno wycenić. Odremontowanie jednego urządzenia trwa kilka miesięcy. Pan Ryszard, w przeciwieństwie do wielu ogłaszających się w sieci fachowców, doprowadza maszynę do stanu fabrycznego. Oznacza to że: najpierw trzeba znaleźć schemat danego modelu, a nie wszystko znajduje się w sieci, następnie zdobyć oryginalne części, a jeśli ich nie ma, to trzeba je po prostu wykonać: nawinąć cewki, założyć napęd skalowy w sytuacji, gdy już nikt nie potrafi tego zrobić. (Pan Ryszard słynie w środowisku m.in. z tego, że odkrył sposób zakładania napędu w kultowym telefunkenie D860WK z 1939 r. – w chwili wybuchu wojny najdroższym odbiorniku niemieckim). Potem: doprowadzić do porządku samą skalę, więc cyfry oznaczające częstotliwości, czasem nazwy dalekich miast, nad którymi, jak skrzydła samolotu, przesuwa się wskaźnik – a to wyzwanie. W owym telefunkenie skali nie naniesiono sitodrukiem, a wytrawiono. Pan Ryszard znalazł fachowca, który podjął się tego zadania na drugim krańcu Polski, i przy okazji nauczył się na przyszłość tej sztuki.

Na końcu trzeba odświeżyć urządzenie na zewnątrz, a więc polakierować, ale lakiery żywiczne nie wchodzą w grę, bo dawniej stosowano lakiery acetonowe ↦

↦ czy olejne. Odkrycie sposobu, jakim niegdyś zabezpieczano obudowę, tak zwanym lakierem marszczonym, zajęło panu Ryszardowi parę lat. Finałem jest rytuał odsłuchania. Jakość dźwięku ocenia się po cichu, w co nie chciał uwierzyć sprzedawca w jednym z ryczących marketów, któremu pan Ryszard, w swoim powściągliwym stylu, próbował to wyjaśnić.

Do wieży Eiffla

Kiedyś w Polsce w ogóle nie było radia. Cisza wieczorami, szczególnie na wsi, szybko zwyciężała nad ludźmi. Tylko muchy się nie poddawały. Dopiero kiedy Polska pojawiła się znów na mapach, w domach zaczęło trzeszczeć z głośników.

Najstarszym odbiornikiem, który uratował pan Ryszard, jest radiola III z 1924 r., produkcji amerykańskiej. Po dorobieniu skrzynki trzeba było wykonać okucia, osiem sztuk, a ponieważ żaden ślusarz nie podjął się zadania, pan Ryszard, przyglądając się archiwalnym fotografiom, zrobił je sam. Pewnie stało u kogoś w latach 20., ktoś może słuchał z niego komunikatu tuż po przewrocie majowym, kiedy między 12 a 23 maja 1926 r. przerwano pracę stacji: „Ze względu na powagę przeżywanych dni i doniosłość wypadków uznane zostało za właściwe zawieszenie na jakiś czas koncertów popołudniowych". Przystawiał swoje międzywojenne ucho do głośnika, szlifował jak szmatką skórkowe buty, a kto wie, może i wystawiał na widok publiczny, żeby wszyscy podziwiali.

Ponad rok wcześniej, 18 kwietnia 1925 r. o godz. 17 poszły w eter słowa spikerki Janiny Sztompkównej: „Hallo, hallo. Polskie Radio Warszawa, fala 480 m", a pierwszą radiostację na ziemiach polskich otworzył minister spraw zagranicznych Aleksander Skrzyński, co ciekawe, najpierw po francusku. To znana data w dziejach radia na ziemiach polskich. Ale o ileż bardziej intrygujące jest to, co zwykle znaczymy przedrostkiem pre-, a więc na pograniczu poznania, w czasie pozbawionym łatwych chwytów. I tak jest w tym przypadku.

Co tam: i tak sporo wiemy, głównie dzięki mrówczej pracy Macieja Józefa Kwiatkowskiego, wybitnego radiowca, historyka radia i autora monografii z 1970 r. „Narodziny Polskiego Radia", w której dokonał imponującego scalenia materiału rozproszonego, z ogromnymi stratami w czasie wojny. Tydzień po ogłoszeniu niepodległości Polski, w nocy z 18 na 19 listopada 1918 r., kilku wojskowych zajęło niemiecką radiostację wojskową marki Telefunken, zamontowaną w warszawskiej Cytadeli w 1915 r., by utrzymywać łączność z główną kwaterą w Liège. Niemcy zdążyli tylko zabrać wykresy i schematy. W ciągu dnia polscy fachowcy od łączności, przy pomocy życzliwego sierżanta niemieckiego o nazwisku Pradellok, jako pierwsi nieoficjalni przedstawiciele niepodległej nawiązali łączność ze światem: z radiostacją SAJ w Karlsborgu, poprzez którą można było przesłać pierwsze telegramy do Paryża. Po kilku dniach odezwała się stacja wojskowa z samej wieży Eiffla, której sygnał budził dreszcze u pierwszych radioamatorów. Stacja ta była jedynym źródłem komunikacji dla władz na etapie budowy zrębów państwa, telegramy czekały w kolejce parę dni.

Paderewski wiezie maszt

To wojsko dało pierwszy impuls do rozwoju techniki elektryzującej od paru lat cały Zachód: przy jego udziale utworzono pierwszy poważny zakład produkujący sprzęt radiowy – Polskie Towarzystwo Radiotechniczne (PTR), to wojsko otrzymało w prezencie z Francji pięć stacji lampowej już firmy Marconi, ono przekazywało za darmo sprzęt uczelnianym laboratoriom, których nie byłoby wtedy stać na ich zakup. Paderewski, jako premier, otrzymał we Francji kolejny dar: stację nadawczą ze 120-metrowym masztem, z którą jednak wojskowi nie potrafili sobie poradzić, co udało się władzom cywilnym, nawiązując korespondencję z kolejnymi państwami, choćby Hiszpanią czy Turcją. Sprawy toczyły się szybko. W 1923 r. zbudowano w okolicy Warszawy większą stację kosztem 2 mln dolarów, z 10 masztami po 127 m, której makietę dziś, na wystawę „Niepodległa w eterze" Muzeum Fonografii w Niepołomicach, próbuje stworzyć pan Ryszard. Jego praca przy odbiornikach wydaje się tak samo pasjonująca i tak samo mozolna jak pionierów w tamtych latach, którzy pragnęli, by dreszczy radiowego podniecenia doświadczyło więcej Polaków.

Trzeba było najpierw mieć te magiczne pudła. Wolność obudziła w Polakach przedsiębiorczość: pierwsze firmy powstały już w 1918 r. (czyli dosłownie parę tygodni po odzyskaniu niepodległości), choćby Natawis Natana Wiesenberga, rok później Farad czy Radiopol, które w 1923 r. połączyły się w PTR z udziałami angielskiego Marconiego i francuskiej Société Française Radio-Électrique, dzięki którym Polacy zyskali dostęp do opatentowanych komponentów i hamowali niemieckie zapędy w tej dziedzinie. Pierwszym polskim produktem był odbiornik detektorowy Manczarskiego, warszawskiej firmy Inter-Radio (później Polskie Zakłady Radiotechniczne), niezależny od źródeł zasilania. Wkrótce wyparł go sprzęt tańszy o połowę (33 zł, czyli mniej niż 10 kg cukru) i lepszy: odbiornik detefon, dostępny w ratach w urzędach pocztowych, którego zakup gwarantował obniżkę abonamentową. Do wybuchu wojny sprzedało się pół miliona egzemplarzy i po wojnie wyparł go z rynku pionier. Ale wtedy, w latach 20., Polskę przez brak regulacji aż do 1924 r. zalewał niemiecki, zwykle zużyty i tani sprzęt, który znudził się Niemcom.

Nie sapać!

Byliśmy nieco w tyle. Polskie pisma jeszcze przed I wojną rozpisywały się o cudownej transmisji z opery nowojorskiej w 1910 r., o audycji z koncertu światowej sławy śpiewaczki Nellie Melby, w 1920 r. zrealizowanej przez stację Marconiego, a odbieranej w paru krajach Europy. W tym roku ruszył pierwszy program radiowy w Stanach, a polscy publicyści tłumaczyli, że radio nie ma nic wspólnego z radem. Wystarczyło dotknąć tego raz i człowiek przepadł. Książka Kwiatkowskiego pełna jest wspomnień z tamtego okresu. Streśćmy jedno z nich, inżyniera Wiktora Rutkowskiego. „Panie poruczniku, melduję posłusznie, że radio gra" – tak miał powiedzieć czerwony z emocji, wyciągnięty na baczność bosmanmat w toruńskiej radiostacji Marynarki Wojennej w 1923 r. Grupka zleciała się do odbiornika firmy Lorenz, dużego, pełnego przełączników, kół, gniazdek, cewek wymiennych i kondensatorów obrotowych – czymkolwiek to jest – przypominających inżynierowi maszynki do lodów. No i, rzecz jasna, słuchawek – w tych latach słuchało się radia w ten sposób i biedą było dostroić jeszcze niedoskonały, chwiejny mechanizm. Trzeszczało w nich niemiłosiernie, sapać było nawet zakazane, ale w końcu – gdzieś z tej niezmierzonej głębi – popłynęła melodia walczyka nadawana z eksperymentalnej niemieckiej stacji. Nad Europą robiło się melodyjnie, skocznie, jakoś przyjaźnie, i któż mógł podejrzewać, że takie medium przejmą zbóje tego świata. Ale skończmy tę historyjkę: inżynier po odsłuchaniu walczyka pobiegł prosto do dowódcy, komandor natychmiast krzyknął na stangreta:

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

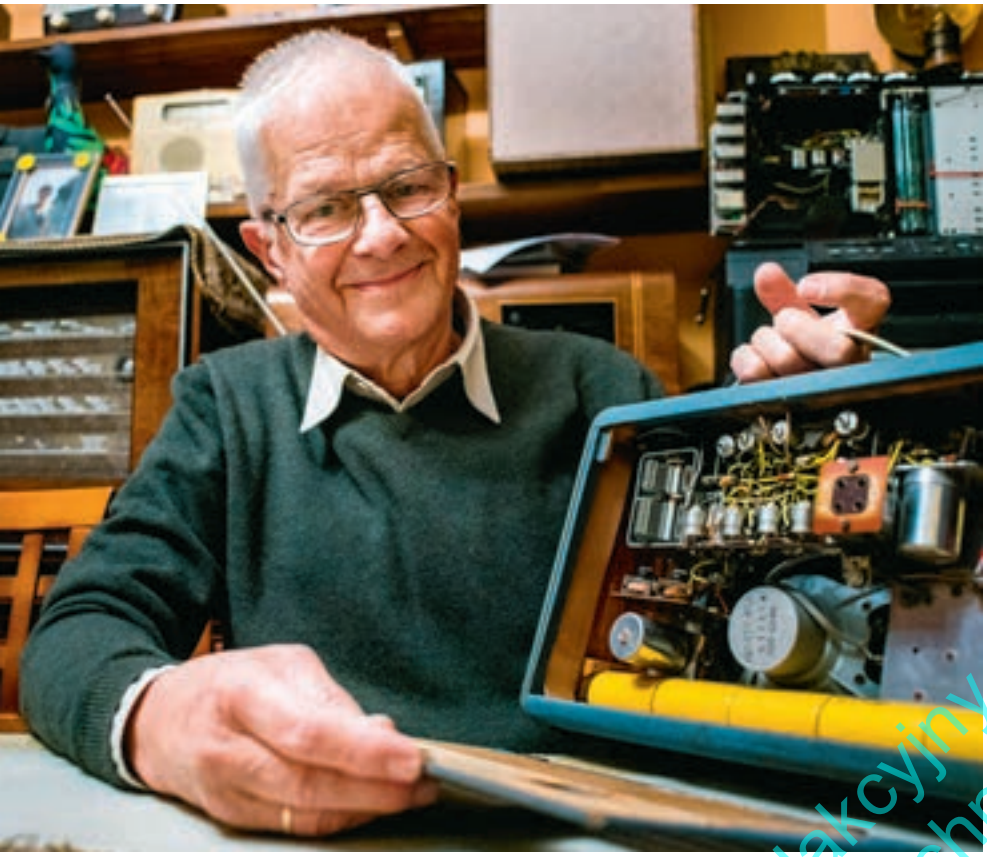

Ryszard Dulski z norweskim radiem kurer, listopad 2018 r.

„powóz!", usłyszał to na własne uszy w towarzystwie całej załogi, łącznie z kucharzem, i popędził do dowódcy okręgu, ten przybył z adiutantami, a po nim oficerowie, urzędnicy ze swoimi damami i już nie było wyjścia: trzeba było w każdą niedzielę między godz. 12 a 16 dopuszczać do urządzenia każdego chętnego.

W drugiej połowie 1924 r. wspomniany PTR poszedł o krok dalej: jego członkowie zapragnęli uruchomić pierwszą stację nadawczą na ziemiach polskich – otrzymali od państwa zainteresowanego rozwojem tej dziedziny koncesję. Robotnicy w budynku administracyjnym przy Narbutta 29 w Warszawie układali w pierwszym studiu kokosowe chodniki, rozwieszali zielone sukna, instalowali kilkukilogramowy mikrofon na hamaku z wojłoku i amortyzatorach z gumy. Późną jesienią odbyła się pierwsza próba. 1 lutego 1925 r. o godz. 18 Roman Rudniewski zainaugurował oficjalne działanie stacji, obiecując codzienne audycje między 18 a 19 z występami solistów zapowiadanych przez Halinę Wilczyńską, w której musiało się kochać wielu mężczyzn, bo Kwiatkowski przywołuje jej nieprzeciętną urodę i głos.

Wirus został rozsiany po kraju: już po paru tygodniach nadawcy doliczyli się 5 tysięcy regularnych odbiorców, a polska fala po raz pierwszy gościła na Zachód. Niestety koszt tego biznesu okazał się ogromny, a władze nie wykazywały dużej chęci wsparcia. Stacja, po pierwszych fajerwerkach, zaczęła milknąć, co nie mieściło się w głowie już tysiącom zapaleńców, którzy ruszyli z akcją ówczesnego crowdfundingu. I gdy wydawało się, że projekt runie, w sierpniu minister przemysłu i handlu podpisał pierwszą koncesję na broadcasting. 26 listopada 1925 r., po trzymiesięcznej ciszy w eterze, z głośników popłynął w polski pejzaż głos Jana Kiepury i Marii Budziszewskiej, a potem pierwsze słuchowiska, audycje literackie, pierwszy radiowy sylwester i toast. Ale po 102 pionierskich audycjach, 14 marca 1926 r. trzeba było stację zamknąć ze względu na gotową do działania konkurencyjną stację spółki Polskie Radio.

Politycy przed dziwaczną trąbą

Sześć tygodni po inauguracji programu Polskiego Radia nikt, ani władze, ani zamachowcy, nie wpadli na pomysł, by wykorzystać radio do komunikacji z obywatelami, choć zdawali sobie sprawę, jaką rolę to medium odegrało na Zachodzie, choćby w strajku generalnym w Wielkiej Brytanii, dosłownie kilka dni wcześniej. Kwiatkowski dziwi się: jak to było możliwe, skoro dwa tygodnie później odbyła się audycja z posiedzenia Zgromadzenia Narodowego?

Radio musiało poczekać na pełne uznanie do września 1939 r. Nie pomogła wiele Wesoła Lwowska Fala, Szczepcio i Tońcio. W latach 30. polskie radio mocowało się z niechęcią. Wystarczy przytoczyć wypowiedź Zenona Przesmyckiego – Miriama: „Czy mogę być szczery? Uważam, że radio usunie z powierzchni ziemi słowo drukowane". A gdy do Polski weszli Niemcy, to oprócz ziemi i Żydów, oprócz wielu rzeczy, którymi się interesowali, przeszukując domy, zwracali uwagę na radioodbiorniki, których prędko zakazali używać. Z małymi wyjątkami: firma Kosmos, spółka-córka Philipsa, w 1943 r. wprowadziła na rynek odbiornik 1-43U dla volksdeutschów pozbawiony skali radiowej, za to wyposażony w trójpozycyjny przełącznik do odbioru trzech legalnych stacji: Weichsel, Warschau i Krakau.

Po wojnie odbiorniki przedwojenne poszły się walać po piwnicach i strychach. Nie grały, ale szkoda było wyrzucić. Były tak sponiewierane jak zstępni ich dawnych właścicieli, dlatego teraz, choćby z tego powodu, należy im się chwila błysku.

Kwiatkowski pisze, że Piłsudski w Polskim Radiu przemówił aż trzy razy. Pierwszy raz pół roku po zamachu stanu z Belwederu i dwa razy w 1927 r. To mówi wiele o stosunku władz do radia. Kwiatkowski pomija jednak przemówienie Piłsudskiego w okresie preradiowym, z 5 września 1924 r., które można odsłuchać na YouTubie. Zaczyna się od słów: „Stoję przed jakąś dziwaczną trąbą...", i o dziwaczności tej trąby traktuje. Biedny Marszałek nie mógł pojąć, że świat fizyczny włada wieloma językami i z łatwością przepisuje dźwięk, a więc drgania powietrza, w zmiany natężenia prądu, a potem koduje je w fali elektromagnetycznej. I tak sobie myślę, czy zmieniłaby coś w postępowaniu polityków świadomość, że głos występujących przed mikrofonem, jak tłumaczą eksperci, będzie podróżował przez kosmos z prędkością światła do końca świata. A co będzie dalej, to już ich proszę pytać. © ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Korzystałem z książki „Narodziny Polskiego Radia" Macieja Józefa Kwiatkowskiego.

Autor jest pisarzem, autorem m.in. „Miedzy" i „Podkrzywdzia". W 2019 r. nakładem Wydawnictwa Literackiego ukaże się jego nowa książka „Bez".

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Egzemplarz redakcyjny.
Nie do rozpowszechniania!

SZALEŃCY I BESTIE

KRZYSZTOF ZANUSSI, REŻYSER:

Ciekawe, że to na ogół wierzący się wstydzą, kiedy otwarcie mówi się o dobru i złu.

MACIEJ SZCZEŚNIAK / NEXFILM

KRZYSZTOF ZANUSSI (ur. 1939) jest reżyserem i scenarzystą, przedstawicielem kina moralnego niepokoju.
Nakręcił m.in. „Życie rodzinne", „Iluminację" i „Barwy ochronne". Jego najnowszy film „Eter" będzie miał premierę w Polsce 30 listopada. Opowiada o lekarzu wojskowym, który przed wybuchem I wojny światowej przeprowadza na ludziach eksperymenty z użyciem eteru dietylowego.
NA ZDJĘCIU:
Na planie filmu „Eter", sierpień 2017 r.

MACIEJ MÜLLER: Wierzy Pan w diabła?

KRZYSZTOF ZANUSSI: A co to znaczy: wierzyć? Dopuszczać jakąś myśl? I tak lekko pan wypowiedział te słowa „w diabła" – jakby chodziło o takiego z jasełek. Tymczasem Biblia mówi o szatanie z respektem. W „Eterze" opowiadam o złu jako o dynamicznej sile dysponującej przerażającą autonomią. Ponieważ zło wywołuje lęk, próbujemy je oswoić, opowiadając o diable z pudełka.

Rozmawiamy kilkadziesiąt lat po wojnie; pana pokolenie wychowało się pod kloszem. W tych warunkach rzeczywiście mogą rodzić się bukoliczne myśli o takim urządzeniu świata, w którym zło jest jedynie brakiem dobra. Wbrew nietrafnym interpretacjom powiedzenia Hannah Arendt zło nie jest banalne. To Eichmann był banalny, a zło bywa kosmiczne. Wobec tego wszystkiego na pana pytanie odpowiem: tak, ale to nie jest diabeł z kultury ludowej.

W końcówce filmu obserwujemy jeszcze raz niektóre sceny, tym razem z wyraźnie zaznaczoną rolą, jaką odgrywał w nich diabeł. Mam wrażenie, że w rezultacie jesteśmy skłonni łatwo rozgrzeszyć głównego bohatera, Doktora. Na zasadzie: „To nie on, to diabeł".

To samowolna interpretacja... Przede wszystkim od rozgrzeszania to nie my jesteśmy, tylko Pan Bóg. A diabeł jest kimś, kto tylko proponuje. Sam z siebie nic nie robi. Pomaga tylko na wyraźną prośbę człowieka.

W chrześcijaństwie przeżywamy dojmujący konflikt sprawiedliwości z miłosierdziem. Im dalej od rozpasanego zła, tym bardziej jesteśmy skłonni wierzyć, że miłosierdzie jest w stanie je pochłonąć. W Niemczech trwa proces 94-letniego esesmana ze Stutthofu. Patrząc na zbolałego staruszka, litujemy się i chcemy zapomnieć, ilu ludzi on osobiście zamordował. Pamiętam wiele rozdzierającej ludzkiej krzywdy z lat wojny i z czasów stalinowskich – i mam problem z myśleniem o miłosierdziu, które miałoby wszystko wybaczać. Nawet wtedy, gdy człowiek nie żałuje swojej winy.

Pana bohater żałuje?

Mam nadzieję i staram się to zasugerować. Skoro na koniec się uśmiecha, patrząc widzowi w oczy, to znaczy, że odzyskuje nadzieję – a przecież podążał już w miejsce, o które lepiej nie pytać.

Zbawiło go „Ojcze nasz" odmawiane przez chorą psychicznie dziewczynę, która bezwarunkowo go kochała?

Czy ta modlitwa Doktora zbawi, to już jest sprawa Pana Boga. Ja niczego nie przesądzam. Chcę tylko się ucieszyć nadzieją, że potępienie być może ominie człowieka, który bez wątpienia na nie zasłużył.

Czyli kawał drania, który popełnił tyle zbrodni, może zostać zbawiony?

Mój maleńki optymizm opiera się na tym, że w tej sprawie może zaważyć miłosierdzie Boga i czyjaś modlitwa. Tego mnie nauczyła Ewangelia. Czasem ogarnia mnie groza na myśl, że może zbawionych będzie tylko kilku... Ten film nakręciłem trochę we własnym interesie.

Wspomniana dziewczyna jest w Pana opowieści właściwie jedną z niewielu osób naprawdę wierzących. Czy wiara to szaleństwo?

W kulturze prawosławia szaleniec to ten, który uwierzył do końca, bezwarunkowo, aż do ostatecznej konsekwencji. Ale i na Zachodzie znajdziemy takie postaci jak św. Franciszek, którego nazywano szaleńcem Bożym. Wielu ludzi wielkiej wiary postrzegano jako szaleńców, bo nie pasowali do codzienności; radykalna wiara utrudnia funkcjonowanie społeczne.

Dlaczego dopowiedział Pan wszystko do końca i podał gotową interpretację filmu? Przecież i bez tych ostatnich 10 minut widz się domyśli, że przewijający się na drugim planie mężczyzna w dwurzędowym garniturze jest faustowskim diabłem i że musiało między nim a Doktorem dojść do jakiegoś dealu.

Może się widz domyśli, ale nie będzie miał dowodów. Ja je dostarczam i pokazuję, że w innym porządku te same zdarzenia zyskują nowy sens. To było celem filmu: cała ta opowieść powstała właśnie dla ostatnich 10 minut. Mój marksistowsko wykształcony dystrybutor zagraniczny powiedział, że jeśli wytnę zakończenie, on gwarantuje kilkakrotnie większą sprzedaż. I że ostatnie padające w filmie słowa powinny brzmieć: „dlaczego Bóg na to pozwala?". Ja zdecydowałem, by było po nim zdanie twierdzące: „wszystko musi mieć jakiś sens". Dystrybutor upierał się, że to odpowiedź wyznaniowa, która podrażni widzów, ↦

Egzemplarz archiwalny.
Nie do rozpowszechniania!

↦ a pojawienie się diabła będzie już nie do zniesienia. Nie poszedłem za jego radą i wiem, że nie będę miał na rynku łatwego życia.

Można, spoglądając na świat, nie dostrzec, że pod powierzchnią zdarzeń mogą zachodzić niewidoczne na pierwszy rzut oka procesy. Diabła Goethego w cylindrze na co dzień nie spotykam, ale poczucie diabelstwa przeżyłem wielokrotnie.

Takiego osobowego?

Nie, w czyimś działaniu. Nieprzypadkowo diabelstwo ma gramatycznie formę bezosobową. W tym jest coś więcej niż tylko słabość ludzka – jest także pragnienie zła.

Wolna wola sprowadza się do słuchania diabła – albo nie?

W zasadzie tak. Albo słucham diabła, albo słucham Boga. Zło jest warunkiem i dowodem wolności: gdybym nie mógł go wybrać, byłbym zniewolony.

Ale w chwili próby tylko zło wyciąga rękę do człowieka. Kiedy Doktor leży w carskiej celi, czekając na egzekucję, przychodzi diabeł, a nie ma żadnego głosu z nieba.

Doktor jest zaprzańcem – chwilę wcześniej krzyczał: „nie chcę księdza!”. W drodze na szubienicę odtrąca chcącego z nim porozmawiać kapłana. Więc nie ma pan tu racji. On dostał wybór dobra i zła.

Doktor jest niewierzący?

Tak o sobie myśli. Tylko co to jest niewiara? Jeśli ktoś ma pewność nieistnienia jakiejkolwiek innej rzeczywistości niż ta dostępna zmysłom, to może się nazwać niewierzącym – ale ilu jest takich ludzi...

Trudno chyba nie wierzyć, skoro spotkało się diabła.

To zabawne, że wielu łatwiej uwierzyć w szatana niż w Pana Boga. Tymczasem to sprzedaż wiązana, nie da się wyabstrahować samego diabła. Dręczy mnie pytanie, jak wiele diabłu jest dozwolone, jaką ma przestrzeń do działania i czy ktoś mu ją wyznacza? Jak wygląda balans dobra i zła w świecie, czy się zmienia? I czy dzieje się to za sprawą ludzkich wyborów, czy jest to gdzieś zapisane? Stary Testament mówi, że Pan Bóg nie jest autorem zła, jedynie na nie diabłu pozwala. Podoba mi się to sformułowanie, ale nie wiem, co się za nim tak naprawdę kryje. Widzę natomiast, że

KRZYSZTOF ZANUSSI:

Dręczy mnie pytanie, jak wiele diabłu jest dozwolone, jaką ma przestrzeń do działania i czy ktoś mu ją wyznacza?

Czasem ogarnia mnie groza na myśl, że może zbawionych będzie tylko kilku... Ten film nakręciłem trochę we własnym interesie.

kiedy w kraje Azji Południowo-Wschodniej uderzyło tsunami, to w Szwecji zapełniły się kościoły. Stało się coś tak złego, że zaczęto myśleć o metafizyce w kraju bardzo na metafizykę niewrażliwym.

Pana bohater prowokuje Boga, popadając w coraz większe zło. W końcu czyni to w formie karykaturalnej, biegając w czasie burzy z wyciągniętą szablą.

Nie ma nikogo tak złego, kto by chociaż przez chwilę nie pomarzył o dobru. Doktor też nie jest od tego wolny. Dostał od diabła kilka razy po łapach za to, że chciał zrobić coś dobrego – np. kiedy ratował zagazowanego żołnierza. Bo diabeł nie pomaga po to, żeby mogło zaistnieć dobro.

Więc Doktor nie ma szans zasłużyć na odpuszczenie grzechów.

Istotnie nie ma żadnych zasług. Boję się religijności transakcyjnej. Kiedy jestem w Ameryce, słyszę co niedzielę telewizyjnych kaznodziejów, którzy uczą: jeśli zrobisz coś dobrego, dostaniesz nagrodę. Teologia protestuje przeciw takiemu stawianiu sprawy, bo to bałamutne, niechrześcijańskie i nijak z Biblii nie wynika. Mówimy wprawdzie o nagrodzie w niebie, ale na nią nie można sobie zasłużyć ani jej wypracować bez łaski. Lubię przywiezioną z Rosji anegdotkę o szarym człowieku, który dożył dni swoich, stawił się u bram raju; święty Piotr pokiwał głową i go wpuścił. Ale ten po chwili zawrócił i spytał: „Po co to wszystko właściwie było?”. A święty Piotr sprawdza i mówi: „Kiedyś byłeś w schronisku, siedziałeś przy osobnym stoliku. Dziewczyna z towarzystwa zajmującego stolik obok poprosiła, żebyś podał cukier. I podałeś. O to chodziło”. Morał: nigdy nie wiemy na pewno, do czego jesteśmy powołani i z czego zostaniemy rozliczeni.

Czym jest bestia, która, jak mówi Doktor, siedzi w człowieku i którą z pomocą nauki trzeba wyzwolić?

Bestia to natura zwierzęca, która podlega tylko prawom przyrody, a nie ducha. Zwierzęta nie mają sumienia. Człowiek wznosi się ponad swoją przyrodzoną agresję i staje się istotą uduchowioną, egzystuje w zupełnie nowy sposób. Boję się zwierzęcia w sobie, bo wiem, że ono potrafi się w krytycznych momentach nagle objawić.

Jeśli wyzwoleniem człowieka ma być uwolnienie w nim bestii, to mówimy o karykaturze zbawienia.

Postulat Doktora ma dziś duże wzięcie, zewsząd słyszymy: „jesteś tego warta”, „bądź sobą”, „rób, co chcesz”. To wezwania do wyzwolenia w człowieku wszelkich instynktów, wyzwolenia od pętającej go kultury, wyzwolenia od hamulców. Ten libertyński model życia jest morderczy dla ludzkości, a stał się niemal powszechną ideologią.

Czyli lepiej nie być wolnym, bo kiedy strząśniemy pęta kultury, to się rzucimy sobie do gardeł?

Wolność jest możliwa tylko w parze z odpowiedzialnością. Bez niej jest swawolą.

Eter, słyszymy w filmie, „pozbawia człowieka świadomości, wolnej woli, a przy tym bólu”. Dlaczego uwolnienie od bólu ma się równać ubezwłasnowolnieniu?

Eter działa znieczulająco, ale ceną za przerwanie cierpienia jest utrata świadomości. Taka jest natura tego środka. Doktor chce za jego pomocą zapanować nad innymi, np. próbuje, stosując eter, posiąść kobietę, której nie potrafił zdobyć swoim wdziękiem. To wszeteczne użycie czegoś, co powinno służyć humanitarnym celom.

Chcąc nie chcąc Doktor uczestniczy jednak w rozwoju anestezji...

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

MACIEJ SZCZEŚNIAK / NEXTFILM

Jacek Poniedziałek jako Doktor w filmie „Eter”

Nasze działania na ogół dają inne rezultaty niż te, które sobie założyliśmy. Wszyscy spiskowcy myślą, że zmienią świat – i świat rzeczywiście się zmienia, ale nigdy tak, jak spiskowcy zamierzali. To bardzo optymistyczne. Inaczej historia byłaby bardzo ponurą nauką, a nie jest.

Pana bohater nie chce leczyć, bo leczenie to tylko „przywracanie czegoś, co było”. Chce tworzyć nowe.

Chce zawłaszczyć atrybut boski, być kreatorem. To bardzo aktualne. Dzisiaj jedyna właściwie utopia na horyzoncie ludzkości to idea nadczłowieka – supermena, Übermenscha – wyposażonego we wszczepioną pamięć, którego zmodyfikowane geny sprawią, że będzie piękny i zdrowy, prawie nieśmiertelny. To wszystko dzisiaj nauka ma już na warsztacie. To jedyna wizja czegoś lepszego niż to, co mamy. Wszystko inne zostało już dawno zaprojektowane i możemy to co najwyżej poprawiać: budować zamożność społeczeństwa, bezpieczeństwo, opiekę zdrowotną. To ideały z XIX wieku.

I tu stajemy przed pytaniem, czy człowiek jest tylko stworzeniem, czy twórcą. Jeśli jest twórcą, to wolno mu ulepszać siebie i samemu się zbawiać. A jeśli stworzeniem – to samozbawienie nie wchodzi w rachubę. W takiej sytuacji człowiekowi nie wolno opuścić swojej tożsamości; nie mówię już nawet o względach społecznych, tylko ontologicznych: o porzuceniu swego bytu i staniu się innym.

Zastanawiam się, jak Franciszek Retman z „Iluminacji” patrzyłby na „Eter”. Bo w tym filmie nie ufa Pan nauce.

Nauce w ujęciu pozytywistycznym. Bo dzisiaj pozytywizm znowu nam ciąży jako siła wsteczna. Z drugiej strony – dzięki postępom w fizyce staliśmy się dużo bardziej pokorni, świadomi własnej niewiedzy; wydawało się, że Newton już niemal wszystko wyjaśnił, po czym jego osiągnięcia okazały się małym rozdziałem ogromnej księgi. Jesteśmy płaszczakami na wstędze Möbiusa i nie potrafimy sobie wyobrazić kolejnego wymiaru. Chyba że mówimy o śmierci.

Pytanie o to, co wolno, jest niezwykle emocjonujące. Bo na podobieństwo Boże jesteśmy wyposażeni w siły twórcze. Ale czy obowiązuje nas jakieś ograniczenie? Nie znam odpowiedzi. Wiem tylko, że ludzkości nigdy nic nie powstrzymało od eksperymentowania. Niepokoi mnie, że dzisiaj możemy eksperymentować na krawędzi, która wydaje się śmiertelnie niebezpieczna, której przekroczenie pociągnie za sobą utratę tożsamości. Możemy przestać być *homo sapiens*.

Umieszczając akcję w czasach jeszcze pozytywistycznych, choć to druga dekada XXI wieku, ustawia Pan sobie naukę do bicia. Sam Pan przyznał przed chwilą, że współcześni naukowcy są bardziej powściągliwi.

To dotyczy awangardy nauki, społeczeństwo jest daleko w tyle. Odkrycia Kopernika przyjęto powszechnie dopiero 400 lat później, a to, co powiedział Einstein, jeszcze do ludzi nie dotarło. Wiele natchnienia czerpię od ks. Hellera i Centrum Kopernika: oni używają instrumentarium nauki do tego, żeby spojrzeć inaczej na teologię. Teologii na zdrowie wyjdzie geometria Łobaczewskiego i logika wielowartościowa: uchwycimy dzięki nim sprawy, które gubiły się w starym instrumentarium. Chrześcijanie się skarżą, że w Ewangelii jest tyle sprzeczności – a trzeba najpierw się zastanowić, czym jest sprzeczność. Sprzecznościami można opisać rzeczy niewyrażalne trafniej aniżeli zespołem spójnych sądów, które są zawsze cząstkowe. Moi hinduscy studenci dziwią się, dlaczego uparcie trwamy przy prymitywnej logice, która ma się nijak do doświadczeń życiowych. „Kocham i nienawidzę” – to z punktu widzenia logiki horrendum, a przecież każdy wie, o co chodzi w tym zdaniu. Podobnie jak w powiedzeniu: „Jestem za, a nawet przeciw”. Rzeczywistości uczuć nie opisze się logiką dwuwartościową. Wystarczy przejść na sferę i dwie równoległe się przetną.

Tu wracamy do pozycji, z których Pana film jest krytykowany. Bo on jest właśnie dopowiedziany, zero-jedynkowy: diabeł występuje jako źródło zła i nie ma światłocieni.

Ewangelia każe mówić: „tak tak, nie nie”, a nie opowiadać o Bogu w sposób mętny. Próbuję powiedzieć o złu coś, co jest twierdzeniem. Ale to przecież kwestia dopiero ostatnich minut filmu. Szanuję laickie poglądy widza, jednak na końcu wygłaszam własne. I czy rzeczywiście wszystko jest powiedziane do końca? Jakie kryterium dyskrecji mi pan stawia? Ile powinno być niedopowiedzenia? Ciekawe, że to na ogół wierzący się wstydzą, kiedy otwarcie mówi się o dobru i złu. Uważam, że przekonania należy wyrażać w sposób stanowczy i dobitny, a nie zawoalowany. Jeśli nie mówiłbym wprost tego, co myślę i czuję, byłbym tchórzem.

Pamiętam, jak szukaliśmy pieniędzy na dokończenie „Dekalogu”. Pokazywałem pierwsze przykazanie na Katholikentagu w Niemczech. I usłyszałem: nie można mówić tak otwarcie o tym, że Bóg wkracza w ludzkie życie, trzeba użyć aluzji. A tu jest wszystko dopowiedziane do końca, przecież to urazi niewierzących, odstręczy publiczność. Nie dali ani grosza. I dzisiaj to jest opowieść o stanie umysłu niemieckich katolików, a nie o filmie Kieślowskiego, *nota bene* agnostyka.

Ale Kieślowski nie dokręcił puenty z wyjaśnieniem, kim jest postać grana przez Artura Barcisia.

To prawda. Ale mimo że Barciś niesie pewną tajemnicę, to jest tylko ornamentem tego filmu, a nie *porte-parole*. ↦

Egzemplarz jedynie do prywatnego użytku. Nie do rozpowszechniania!

↦ Natomiast ja opowiadam Fausta i nie mogę ograniczać się w mówieniu o roli diabła w życiu człowieka.

Wróćmy do krytyki nauki. Boję się jej, bo efektem może być krytyka paradygmatu naukowego. A to stąd biorą się antyszczepionkowcy, płaskoziemcy i pisarze, którzy polemizują z „historią uniwersytecką".

Nie ma rady na to, że głupota zawsze się rodzi jako odprysk rzeczy prawdziwych i słusznych. Jestem głęboko zakochany w nauce i nic tej mojej miłości nie podważyło. Problem powstaje wtedy, gdy naukę postawimy w roli, do której nie została powołana. Nauka w miejscu religii staje się scjentyzmem – zjawiskiem nagannym, wybrykiem XIX wieku, pychy ludzkiej, która uznała – jak powiedział Laplace Napoleonowi – że hipoteza Boga jest zbyteczna.

Ale czy drugą stroną medalu nie jest odejście od naukowości jako takiej? Szukanie wiedzy o początkach świata w Księdze Genesis?

Taką rozmowę proszę prowadzić raczej z prawosławnymi, bo to oni wśród chrześcijan mają skłonność, by odwracać się od racjonalności. Skoro Bóg stworzył świat racjonalnym, to mamy prawo go badać rozumem. Ale z pełną świadomością, że to tylko narzędzie – ograniczonej siły i ułomne, a nie uniwersalne, ostateczne i jedyne.

Czy istnieje jakiś limit zła, po którym albo Bóg zadziała, albo ludzkie sumienie już nie wytrzyma?

Wydaje mi się, że jest coś takiego w ludzkiej naturze, co w końcu każe dać tamę złu... A co do Boga – to odpowiedzi trzeba szukać w Starym Testamencie, gdzie regularność plag zsyłanych na Naród Wybrany świadczy o tym, że miara co chwila się przebierała. Niedawno słuchałem wykładu amerykańskiego myśliciela judaistycznego, który przyznał, że intuicja podpowiada mu, że wkrótce znowu nas spotka jakaś kara, bo zbyt się rozfiglowaliśmy na tej ziemi. Mam nadzieję, że on się jednak pomylił i że znowu nam się upiecze.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

Wiara w kulturze eventu

KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Indywidualizm jest coraz większym wyzwaniem dla Kościoła. Dobrze to czy źle? I jak mamy reagować?

Zrobiłem na Facebooku prosty eksperyment: udostępniłem artykuł pewnego duszpasterza, który przekonywał, że tzw. turystyka parafialna podejmowana w celu zaspokojenia swoich potrzeb duchowych świadczy o słabej wierze. Ciekaw byłem reakcji.

Wszyscy (bez wyjątku!) komentujący mój post akcentowali prawo katolika do zmieniania parafii (i nie chodzi tutaj o stosunek do wspólnoty, której się przecież nie zna) oraz wyboru dowolnego kościoła, w którym w daną niedzielę chce uczestniczyć w mszy.

Czy zatem przyszłość tradycyjnie rozumianej parafii terytorialnej stoi dziś pod znakiem zapytania? I jak pogodzić indywidualne potrzeby każdego katolika z kościelnym rozumieniem wiary?

Zwrot ku człowiekowi

Indywidualizacja wiary polskich katolików jest faktem. Trendy obserwowane niegdyś na Zachodzie ujawniają się i u nas: mamy do czynienia z „odkościelnieniem" religii. Rezultatem tego procesu jest – jak zauważa ks. Wojciech Sadłoń, dyrektor Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego – „osłabienie roli Kościoła (zinstytucjonalizowanej religii) oraz dystansowanie się do kościelnych ujęć wiary, reguł rytualno-kultowych i norm zachowań moralnych". Innymi słowy, wiarę coraz rzadziej konfrontujemy z *Credo* Kościoła, a religia coraz mniej spełnia rolę socjalizującą. Wiara jest dziś bardziej przeżywana osobiście niż wyznawana wspólnotowo.

Człowieka jako jednostkę stworzył renesans. Stało się to za przyczyną humanistycznego zwrotu ku człowiekowi, który – zgodnie ze słowami Protagorasa – „jest miarą wszechrzeczy". Po latach teocentryzmu, dominującego w czasie wieków średnich, przyszła kolej na antropocentryzm, myślenie autonomiczne, stopniowo uniezależniające człowieka. W konsekwencji renesans przyczynił się radykalnie do zmiany profilu wiary.

Jak zauważa Rod Dreher w głośno dyskutowanej dziś książce „Opcja Benedykta. Jak przetrwać czas neopogaństwa": „renesans wprowadził do zachodniego chrześcijaństwa większą troskę o jednostkę, o wolność i o godność człowieka właśnie ze względu na to, iż jest obrazem Boga. (...) Scholastycyzm wskazywał, że umysł i intelekt są narzędziami nawiązywania relacji z Bogiem, natomiast humanizm chrześcijański podkreślał wartość jednostki".

Reformacyjne idee Marcina Lutra padły więc na podatny grunt. Dając wiernym do ręki Biblię, Luter uniezależnił interpretację słowa Bożego od autorytetu Kościoła. Słowa Pisma wystarczą, by poznać sens wiary chrześcijańskiej, a tradycja i urząd stały się faktycznie zbędne. Andrzej Szahaj pisze w eseju „Epidemia narcyzmu", opublikowanym na łamach „Plusa–Minusa", że indywidualizm łączy się z protestantyzmem jako „wersją chrześcijaństwa, które przez swą koncentrację na samodzielności obcowania z Biblią oraz możliwości indywidualnego (bez pośrednictwa Kościoła) kontaktu z Bogiem" w pewnym sensie uniezależniło jednostkę od pośrednictwa Kościoła.

Indywidualizacja wiary nie była dla Kościoła-instytucji dobrą wiadomością. Oznaczała utratę absolutnego rządu dusz. Ale czy była złą nowiną dla samej wiary? Czy nie stawała się ona przez to dojrzalsza, bardziej uwewnętrzniona?

Poreformacyjna historia Kościoła katolickiego to nieustanne próby przywracania nadwątlonego *status quo*. Kiedy Kościoły wywodzące się z reformacji godziły się na coraz większy indywidualizm w rozumieniu wiary, Kościół katolicki wciąż przypominał, że – jak to czytamy w Konstytucji dogmatycznej o wierze katolickiej Soboru Watykańskiego I – „wiarą boską i katolicką należy wierzyć w to wszystko, co jest zawarte w słowie Bożym spisanym lub przekazanym Tradycją i przez Kościół jest poda-

Egzemplarz studencki. Nie do rozpowszechniania!

TOMASZ GOŁĄB / FOTO GOŚĆ / FORUM

Podczas rekolekcji „Jezus na Stadionie Narodowym”, Warszawa, lipiec 2015 r.

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

wane do wierzenia jako przez Boga objawione”. Warto dodać, że myśl tę podjął także współczesny nam Katechizm Kościoła Katolickiego, który podkreśla, że wiara jest cnotą, którą wierzymy w to, co Bóg powiedział i objawił, „a co Kościół Święty podaje nam do wierzenia” (KKK 1814). Punktem odniesienia dla każdego katolika winna być „wiara kościelna”, weryfikowana przez autorytet Kościoła.

Doświadczyć Boga

Jaka jest sytuacja w Polsce? Badania przeprowadzone przez Wiesława Romanowicza wśród młodzieży maturalnej południowego Podlasia pokazują, że źródeł swojej wiary młodzież poszukuje przede wszystkim w osobistych przeżyciach i własnym doświadczeniu życiowym. 45 proc. badanych uznało, że osobista relacja z Bogiem stanowi najważniejszy element życia religijnego, a tylko 28 proc. stwierdziło, że Kościół w pełni zaspokaja potrzeby religijne.

Interpretując te dane trzeba jednak wziąć pod uwagę, że badano młodzież w jednym z najbardziej tradycyjnych rejonów Polski, z dużym udziałem wyznawców prawosławia. Jak zauważa badacz, młodzież prawosławna najsilniej deklaruje swoje przywiązanie do Kościoła instytucjonalnego. Widać to choćby w wysokim stopniu identyfikacji z własną parafią oraz w dużym znaczeniu ciągłości i niezmienności tradycji. Młodzież katolicka jest dużo bardziej zdystansowana wobec parafii, instytucji, tradycji. Na zachodzie Polski widać to jeszcze bardziej.

Religijność indywidualistyczna koncentruje się na bezpośredniej relacji człowieka i Boga, a doświadczenie Boga rozumiane jest jako doznanie Jego obecności. Obejmuje przede wszystkim obszar osobistych uczuć, doświadczeń i nastrojów. Z badań socjologów religii wynika, że obecnie zmienia się rozumienie doświadczenia religijnego czy też doświadczenia Boga. Niegdyś wiązało się z postrzeganiem stałej obecności Boga w życiu codziennym. Współczesne rozumienie zmierza w kierunku kojarzenia tego z chwilowymi doznaniami o dużym ładunku emocjonalnym. Religia – jako doświadczenie osobiste i jednostkowe – domaga się intensywnego przeżywania obecności Boga.

Duchowa emigracja

Na ile to indywidualne doświadczenie znajduje kontynuację we wspólnocie Kościoła, nabiera wymiaru instytucjonalnego i jest konfrontowane ze zobiektywizowaną wiarą Kościoła? Czy wiara skoncentrowana na osobistym doświadczeniu prowadzi choćby do udziału w niedzielnej Eucharystii, identyfikacji ze wspólnotą parafialną, utożsamienia się z Kościołem? ↦

↦ W Polsce toczy się dyskusja o zjawisku tzw. pentekostalizacji: wiara i praktyki Kościoła są „filtrowane" przez optykę własnego doświadczenia albo nauczania któregoś z liderów. Interesujące byłyby badania, jak ten nowy profil wiary przekłada się choćby na liczbę powołań zakonnych i kapłańskich. Prawdopodobnie istnieje rozziew między dążeniem do indywidualizacji wiary a wymaganiami życia wspólnotowego i poddania się silniejszym niż te funkcjonujące „w świecie" wymaganiom teologicznej ortodoksji.

Na ile silne doświadczenia religijne przekładają się na zmianę postaw życiowych, czy owocują nawróceniem? Ks. Remigiusz Szauer z Uniwersytetu Szczecińskiego tak odpowiada na to pytanie: „Produkt doznań, choć posiadający wyraźne znamiona świeżości, nowości, w większości przypadków nie przekłada się na postawy wzmacniające religijność. Przyczyny tego faktu wiążą się nie tylko z dyspozycjami pokoleniowymi, takimi jak kultura natychmiastowości, respirytualizacji, głodu stymulacji i wszelkich przejawów przygodności w sferze tożsamości, ale także z (...) niewydolnością Kościoła instytucjonalnego".

Mówiąc inaczej: młodzi mający za sobą silne doznania religijne czy duchowe nie szukają ich kontynuacji w Kościele także dlatego, że ich tam nie oczekują.

Wiara wraz z jej kultycznym wyrazem przestaje być obiektywnym *ordo* (porządkiem) danym z góry, a staje się subiektywnym *menu* wybieranym *à la carte*. Skoro religijność poddaje się powszechnym trendom społecznym, trudno się temu dziwić. Człowiek identyfikuje się dzisiaj nie tyle przez przynależność i odniesienie do wspólnoty, co raczej poprzez wykreowaną przez siebie tożsamość.

Prowadzić czy towarzyszyć?

Jak sobie z tym poradzi Kościół? Nie ulega wątpliwości, że jest mu bliższa – przynajmniej dotychczas – bardziej konserwatywna wizja wiary, w której aspekt instytucjonalny odgrywa o wiele większą rolę. Widać to choćby w wizji przedstawionej we wspomnianej wcześniej książce Roda Drehera. Znamienne jest to, że autor „Opcji Benedykta" przeszedł swoistą drogę „nawrócenia": od metodyzmu przez rzymski katolicyzm po prawosławie z jego tradycją, liturgią i wspólnotowością, które są wyrazem zobiektywizowanej „wiary kościelnej". Przyszłość chrześcijaństwa widzi on w tworzeniu „chrześcijańskich wiosek", gdzie miałaby przetrwać wiara.

> Najłatwiej byłoby **indywidualistów zagonić do zagrody.** Obawiam się jednak, że zaprą się kopytami przy kościelnej bramce.

Konserwatysta wychodzi z założenia, że człowiek jest istotą społeczną wpisaną we wspólnotę, dzięki której otrzymuje określony status, a nawet tożsamość. Jego obowiązki wobec wspólnoty są tak samo ważne jak prawa, a moralność nie polega na realizacji siebie, lecz na przekraczaniu własnego partykularyzmu na rzecz wspólnoty, do której przynależy: rodziny, ziemi, narodu. Konserwatysta doskonale rozumie wagę autorytetu i porządku. Element religijny odgrywa w takim świecie rolę fundamentalną, a jego brak prowadzi do zaburzenia równowagi społecznej. Wiara postrzegana indywidualistycznie zmierza w przeciwnym kierunku. Wcale nie chce się ani socjalizować, ani utożsamiać ze wspólnotą czy odgórnie danym porządkiem. Jak ma się do niej odnieść Kościół?

Ks. Michal Kaplánek SDB z Uniwersytetu w Czeskich Budziejowicach mówił na konferencji w Szczecinie poświęconej młodzieży o istotnej zmianie w koncepcji duszpasterstwa młodzieży. Otóż w przedsynodalnym „Instrumentum laboris" młodzi ludzie napisali: Potrzebujemy „kompetentnych i ludzkich osób nam towarzyszących". Czeski badacz mówił tak: „Prowadzenie jest w mniejszym lub większym stopniu zawsze autorytatywne. Prowadzenie wymaga innych kompetencji osób prowadzących aniżeli towarzyszenie. Podczas gdy prowadzący wie sam – lepiej niż prowadzony – jaka jest właściwa droga, to osoba towarzysząca stoi raczej na drugim planie. Przy towarzyszeniu niewidomemu kierunek drogi, jak i prędkość poruszania się określane są przez osobę, której towarzyszymy, a nie przez osobę, która towarzyszy".

Nie jest to zmiana kosmetyczna. To zmiana zasadnicza. Towarzyszenie nie stawia sobie za cel wyników, lecz procesy. Chodzi nie tyle o to, jak zmieni się młody człowiek – także w perspektywie wiary – ale jakie zbierze doświadczenia w tym procesie.

Od stadionu do świątyni

I tutaj właśnie spotykamy się z papieżem Franciszkiem, dla którego towarzyszenie jest jedną z najważniejszych kategorii teologiczno-pastoralnych. Wystarczy zajrzeć do adhortacji „Amoris laetitia", aby się o tym przekonać. Czy rzeczywiście chodzi tylko o zbieranie doświadczeń, a nie prowadzenie do nawrócenia? Chyba nie.

Istotna w towarzyszeniu jest zmiana duszpasterskiego punktu wyjścia: jest nim osobista sytuacja, indywidualne doświadczenie, które domaga się wstępnej akceptacji, a następnie rozeznania, oceny i współobecności. Towarzyszenie jest zapewne trudniejsze niż prowadzenie. Domaga się innych kompetencji, ma większy współczynnik ryzyka, bardziej afirmuje wolność, a może nawet musi się zgodzić na porażkę. Towarzysząc komuś w wierze, zupełnie inaczej buduje się autorytet, niż go prowadząc. Tworzą się także inne relacje do wspólnoty Kościoła, w którym osobista tożsamość religijna nie jest już tylko i wyłącznie pochodną tożsamości kościelnej.

To proces, którego nie da się powstrzymać. Wiesław Romanowicz oblicza, że wśród młodzieży prawosławnej 65 proc. ma nastawienie konserwatywne, 20 proc. to reformatorzy, a 15 proc. – indywidualiści. Wśród katolików te proporcje kształtują się chyba z większą niekorzyścią dla stanowiska konserwatywnego. I raczej czeka nas pogłębianie się tego procesu.

Indywidualizacja wiary, którą zauważamy przede wszystkim wśród młodego pokolenia, jest jednym z największych wyzwań, przed którymi stoi Kościół w Polsce. Wiara przeżywana coraz bardziej w kategoriach kultury eventu, gdzie akcentuje się sferę doznań, doświadczeń, emocji i subiektywnych wyobrażeń o Bogu, czasami przefiltrowanych przez duchowego lidera, jest coraz bardziej popularna. „Wiara na stadionie" z trudem przekształca się w „wiarę w świątyni", a to przecież właśnie w kościele Kościół czuje się u siebie najbezpieczniej, i tam może realizować swoje sprawdzone metody w prowadzeniu dosyć jednolitej owczarni.

Czy ma metody towarzyszenia coraz bardziej zróżnicowanej i zatomizowanej społeczności, która ceni sobie swoją indywidualność w wierze, a nawet niezależność?

© KS. ANDRZEJ DRAGUŁA

Egzemplarz jedynie do rozpowszechniania.
Nie do rozpowszechniania.

TONI ANZENBERGER / FORUM

Koniec przywileju

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

Włoski Kościół ma oddać zaległe 5 mld euro podatku od nieruchomości. Tak zadecydował Trybunał Sprawiedliwości UE.

Dawid pokonał Goliata" – triumfuje szkoła podstawowa Montessori w Rzymie, która odwołała się od poprzedniego, korzystnego dla Kościoła wyroku sądu w Luksemburgu. „Zwycięstwo laicyzmu nad państwowym klerykalizmem" – oceniła decyzję Trybunału Silvia Manzi, szefowa Włoskich Radykałów. Zdaniem Kościoła nie stało się nic nadzwyczajnego.

Problem istniał od 2006 r., kiedy rządzący ówcześnie Włochami i szykujący się do następnych wyborów Silvio Berlusconi obdarzył Kościół przywilejem niepłacenia podatków. W październiku 2010 r. Komisja Europejska, w odpowiedzi na skargę włoskiej partii radykalnej, uruchomiła postępowanie w sprawie naruszenia przez państwo włoskie zasad konkurencji i stosowania przez nie bezprawnej pomocy wybranym instytucjom. Zdaniem Radykałów wyłączenie Kościoła z płacenia podatków od nieruchomości, nawet w przypadku budynków wykorzystywanych także w celach komercyjnych (np. szkół, szpitali czy hoteli), było niezgodne z prawem europejskim. Żądali, aby Komisja Europejska nakazała Kościołowi włoskiemu spłatę zaległych podatków.

W 2012 r. KE uznała jednak, że „zebranie podatków od Kościoła jest absolutnie niemożliwe z powodu trudności organizacyjnych". Tę decyzję podtrzymał cztery lata później Trybunał Unii Europejskiej (niższa instancja Trybunału Sprawiedliwości UE). Innymi słowy, obie instytucje uznały, że nie da się jednoznacznie ocenić, w którym miejscu kończy się działalność charytatywna i zaczyna komercyjna Kościoła (czy np. prowadzone przez zakony noclegownie dla pielgrzymów to hotele komercyjne?), a tym samym oszacować wysokość przychodów wynikających z tej drugiej działalności. Zwłaszcza że trzeba by było przedzierać się przez rachunki bankowe i zapisy katastralne z minionych lat (2006-11). Także Stowarzyszenie Gmin Włoskich (ANCI) – to gminy nakładają podatek na nieruchomości – oznajmiło, że wyliczenie wysokości podatku byłoby niezmiernie trudne. Szkoła Montessori, nie godząc się z tymi wyrokami, podkreślała, że polityka finansowa państwa faworyzuje szkoły religijne kosztem szkół świeckich. W 2015 r. papież Franciszek orzekł zaś, że „jeżeli jakiś klasztor funkcjonuje też jako hotel, powinien płacić podatki".

W listopadzie tego roku TSUE odrzucił werdykt Trybunału UE, uznając, że problemy organizacyjne są „zaledwie trudnościami wewnętrznymi Włoch", w żadnym razie nieusprawiedliwiającymi zwolnienia z podatku.

Na przełomie 2011 i 2012 r. ówczesny rząd Mario Montiego, zmagający się z odziedziczonym po rządzie Berlusconiego kryzysem i pragnąc uniknąć kary ze strony KE (która wtedy prowadziła postępowanie przeciw Włochom), zdecydował, że zlikwidowane zostaną wszelkie zwolnienia od podatków w przypadku instytucji nieprowadzących wyłącznie działalności charytatywnej. Jeśli chodzi o posiadłości kościelne, nie wystarczało już, że w ich obrębie znajdowała się struktura religijna. Owszem, sama świątynia nadal była zwolniona od podatku, ale już nie np. szkoła, prowadzona obok przez Kościół. Od tego czasu włoski fiskus bierze pod uwagę konkretne funkcje spełniane przez należące do Kościoła instytucje, oddzielając działalność charytatywną od komercyjnej i naliczając podatek od tej drugiej. To samo dotyczy zresztą wszystkich innych instytucji, a więc partii, związków zawodowych, stowarzyszeń czy klubów. Wyjęte z tego obowiązku są nieruchomości związane z kultem, opieką społeczną i działalnością charytatywną, czyli np. kościoły czy stołówki dla bezdomnych.

Montessori i włoscy Radykałowie uważali, że rozwiązanie przyjęte przez rząd Montiego niewystarczająco zabezpieczało interesy państwa oraz obywateli i że Kościół powinien także płacić podatki za kolejne lata, nie tylko za okres 2006-11. Ale TSUE podtrzymał decyzję o wyłączeniu z opodatkowania wszelkich nieruchomości, w których prowadzi się działalność charytatywną.

„Ten wyrok potwierdza, że Trybunał uznaje działania charytatywne Kościoła katolickiego" – skomentował bp Stefano Russo, sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Włoch, aczkolwiek nie ukrywał, że jednocześnie może on jej zaszkodzić.

Radykałowie zapowiadają, że to nie koniec walki. Teraz będą żądali, aby Kościół zapłacił zaległe podatki od 1992 r., czyli odkąd wprowadzono podatek od nieruchomości. Ich zdaniem w grę wchodzi suma 13-14 mld euro.

„To wyrok historyczny – mówi prawnik Edoardo Gambaro, jeden z autorów apelacji. – Jeżeli Włochy nie zbiorą zaległych podatków, Komisja UE rozpocznie postępowanie, które będzie drogo kosztowało obywateli". ©

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Pokusa usprawiedliwiania Boga

ARTUR SPORNIAK

Rozum nie zneutralizuje cierpienia. Może jednak sprawić, że odnajdziemy w nim sens.

Czy potrafilibyśmy precyzyjnie określić, jak powinno wyglądać nasze życie, żebyśmy mogli dostrzec w nim nasz dobrostan – idealne warunki bytowania? Najpierw zapewne pomyślelibyśmy, że w naszym życiu nie powinno być zła fizycznego, a więc bólu, cierpienia, chorób i fizycznego zagrożenia. Co rzeczywiście mogłoby z tego wyniknąć, udało się sprawdzić na zwierzętach przez zorganizowanie im namiastki raju.

Pod koniec lat 60. amerykański etolog John Calhoun stworzył przestrzeń, która mogła pomieścić blisko cztery tysiące myszy, zapewniając im nieograniczony dostęp do pożywienia i wody, materiałów do budowy gniazd, ochronę przed drapieżnikami i chorobami zakaźnymi. Eksperyment zwany „mysią utopią" zapoczątkowało osiem osobników. W szczytowym momencie populacja rozrosła się do 2200 osobników. Po początkowej fazie intensywnego rozmnażania nastąpiła stagnacja i powolna degeneracja mysiej populacji. U samców następował zanik umiejętności obrony terytorium, samice stawały się agresywne i traciły instynkt macierzyński. W końcu myszy przestały kopulować. Po czterech i pół roku zdechł ostatni osobnik.

Eksperyment Calhouna doprowadził do zaskakujących efektów i nie bez powodu przypomina o nim ks. Tadeusz Pabjan w swojej najnowszej książce „Świat najlepszy z możliwych? O dobroci Boga i pochodzeniu zła". Nasze myślenie o idealnym świecie niekoniecznie musi mieć związek z tym, czego rzeczywiście potrzebujemy do szczęśliwego życia. Okazuje się to ważne, gdy przyglądamy się historycznym i współczesnym próbom usprawiedliwienia Boga wobec istniejącego w świecie zła.

Skąd zło oraz dlaczego Bóg je toleruje – należą do kanonu pytań, z którymi od zarania zmaga się człowiek. Razem tworzą paradoks sformułowany już przez Epikura: Bóg jest dobry i wszechmocny, powinien więc zło usunąć; zło istnieje, zatem Bóg albo nie jest dobry, albo nie jest wszechmocny. Pabjan pisze: „Ci, którzy w Boga nie wierzą, nie muszą się tym pytaniem niepokoić. (...) Ci, którzy w Boga wierzą, nie mogą sobie na taki luksus pozwolić". Jego książka jest przystępnym przewodnikiem po meandrach teodycei, czyli próbach usprawiedliwienia Boga. Wartość tej publikacji polega głównie na tym, że autor nie tylko porządkuje argumenty i relacjonuje historyczne dyskusje, ale jako filozof zajmujący się naukami przyrodniczymi i zarazem teolog, uwzględnia współczesny kontekst. Przede wszystkim jednak konfrontuje moc argumentów z realnością cierpienia.

Tadeusz Pabjan
ŚWIAT NAJLEPSZY Z MOŻLIWYCH? O DOBROCI BOGA I POCHODZENIU ZŁA
Copernicus Center Press, Kraków 2018

Sama struktura paradoksu wskazuje możliwe drogi jego obchodzenia: możemy zastanowić się, jak rozumieć zło; sprawdzić, czy nasza intuicja wszechmocy Bożej nie jest zbyt uproszczona; w końcu możemy spróbować odkryć, na czym polega Boża dobroć. Wszystkimi tymi drogami kroczyli chrześcijańscy myśliciele. Zło jest brakiem dobra, samo z siebie nie istnieje, doświadczamy po prostu zepsucia bytu – przekonywał św. Augustyn, a źródło tego zepsucia widział w genetycznym związku bytu z nicością. Myśl Augustyna twórczo rozwijał św. Tomasz, dochodząc m.in. do zaskakującego stwierdzenia, że przyczyną zła jest dobro, ponieważ braki w nas powodują inne byty dążące do własnego dobra. Dlaczego jednak Bóg na to pozwala? U Akwinaty znajdziemy prekursorską ideę, że autonomia darowana bytom nie umniejsza Bożej wszechmocy, przeciwnie – ukazuje „obfitość Jego dobroci". Zło fizyczne jest wpisane w strukturę świata, świat nie może być inny – jest najlepszy z możliwych – powie Leibniz.

Współczesne nauki przyrodnicze pozwalają precyzyjnie zrozumieć ową „strukturalną konieczność" zła fizycznego. Mechanizm umożliwiający rozwój życia jest taki, że struktury bardziej złożone mogą być tworzone tylko kosztem struktur mniej złożonych. A skuteczne wyeliminowanie bólu, trudu i niebezpieczeństw może obrócić się przeciwko nam, jak sugeruje eksperyment Calhouna.

Przeprowadziwszy czytelnika po historii teodycei, Pabjan na koniec konfrontuje zebraną argumentację z biblijną Księgą Hioba. Ostatecznie pokazuje niestosowność pośpiesznych i łatwych odpowiedzi na pytania o sens cierpienia i naturę zła. Bóg nie potrzebuje usprawiedliwienia, domaga się zaufania. Problem cierpienia okazuje się teoretycznie trudny, a praktycznie często po prostu okrutny, jak okrutna jest np. dla rodziców śmierć dziecka. Wchodzimy w obszar tajemnicy. Czytelnik zyskuje świadomość, że pomogą mu nie tyle argumenty, co podprowadzenie czy inicjacja. Na pewno jednak po lekturze publikacji „Świat najlepszy z możliwych?" jest mniej naiwny.

Do sięgnięcia po książkę tak zachęca na okładce ks. Michał Heller: „Czy Leibniz miał rację, gdy twierdził, że nasz świat jest najlepszym z możliwych? W każdym razie świat bez książki Pabjana byłby odrobinę gorszy". ©℗

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

SZYMON

Hołownia:
Miecz obosieczny

Nie ma takich szumideł, które byłyby w stanie poradzić sobie z prawdą Ewangelii. Dwa tysiące lat wałkowania tego tekstu w cyklach mszalnych czytań i prywatnie, a ludzie wciąż są zaskoczeni, gdy wystrzeli jakaś afera z pogaduchami u kucharza Sowy albo wyjdzie na jaw, jak szef KNF walczy z bezrobociem wśród znajomych, szukając im zajęcia za 36 tysięcy złotych dniówki. „Wszystko, co powiedzieliście w mroku, w świetle będzie słyszane, a coście w izbie szeptali do ucha, głosić będą na dachach" (Łk 12, 3). Czyż to się nie sprawdza? Co do joty! Łącznie z tym, że na dachach, które kiedyś pełniły rolę mikrofonów i wzmacniaczy, dziś ustawia się anteny przekazujące informacje za pomocą fal radiowych.

Jeśli nawet nie podsłuchają nas kelnerzy, każdy z nas po śmierci usłyszy nie tylko podsłuch całego swojego życia, ale też zobaczy materiał z filmującej go przez lata ukrytej kamery. Nie może być skwitowania historii bez totalnego, publicznego bilansu dobra i zła, które dziś codziennie w pocie czoła wykuwamy. Co czujemy, gdy słuchamy 13. rozdziału Ewangelii Marka, w którym Pan dosłownie zapowiada wojny, trzęsienia ziemi, głód. I to, że porządni obywatele, stróże narodu i wiary (a nie jacyś wyuzdani brukselscy liberałowie) sadzać będą do więzień tych, którzy zechcą być wierni Ewangelii. I to, że z powodu Ewangelii dojdzie do rozłamu rodzin, przyjaźni. Że tzw. fejm zdobędą fałszywi prorocy i mesjasze, religijni celebryci popisujący się znakami i cudami. Ile z tego już się sprawdza? Ile to kwestia najbliższych lat czy pokoleń? Tylu chrześcijan od lat myli Jezusa z dobrą wróżką, która – za odpowiednim modlitewnym wynagrodzeniem – zapewni zdrowie, szczęście, finansową i emocjonalną pomyślność, z marszałkiem, który poprowadzi nas na ideowe krucjaty, z pieczątką, którą – jak sądzimy – mamy prawo stemplować nasze umowy i wyroki. Ciężko przychodzi nam potraktowanie Go po prostu jako najbardziej wiarygodne we Wszechświecie źródło informacji.

Które nie tylko przepowiada przyszłość (czyli naszą teraźniejszość), ale też bardzo jasno wskazuje, jak sobie w niej poradzić. Pisałem tu już chyba o tym, jaka jest moja ulubiona metoda znęcania się nad znajomymi księżmi, którzy zajęli się duszpasterstwem biznesu, ze szczególnym uwzględnieniem bankowców. Pytam ich, jak radzą sobie na rekolekcjach z ogłoszeniem podopiecznym 30. wersu 16. rozdziału Ewangelii Łukasza („Daj każdemu, kto cię prosi, a nie dopominaj się zwrotu od tego, który bierze twoje")? Czy tam jest gwiazdka odsyłająca do uwagi: „Nie dotyczy instytucji bankowych w krajach katolickich"? Ileż się trzeba napocić wyszukując stosowne cytaty z tradycji, teologów, prymasów, by rozwodnić nauczanie Mistrza tak, by dało się obronić nasze *status quo*? A z nadstawianiem drugiego policzka (wers wcześniej) jest mocno inaczej? Za chwilę – lawina wyjaśnień, dopowiedzeń, tona komentarzy, że przecież zdrowy rozsądek, że mamy święte prawo się bronić (idea „wojny sprawiedliwej"), że policzek to dar Boży, więc kto go bruka, jest bluźniercą; wybucha cała ta dialektyka, to odwracanie kota ogonem? A z uchodźcami (znów: „Byłem obcy, a przyjęliście mnie" – tam nie ma gwiazdki: „Nie dotyczy muzułmanów. Poza tym obcym najlepiej pomagać na miejscu") jest inaczej? Co mam zrobić – stwierdzić, że Jezusa retorycznie poniosło? Poza tym nie mógł znać naszych bieżących kontekstów, więc może bezpieczniej będzie uznać Go za niedościgły ideał, a na razie zdać się na głoszących (w tym zakresie) prawdy jednak prostsze do przyjęcia, na internetowych apologetów „porządku miłowania", księdza profesora lub panią minister?

Słowo Boże, mówi List do Hebrajczyków, jest jak miecz obosieczny. Ono nie przychodzi układać życia wyłącznie „tamtym", rozdziera także walczącego. Co jeszcze musi się stać – sam zadaję to pytanie również sobie – byśmy zaczęli traktować Ewangelię poważnie? Byśmy uwierzyli, że jej radykalizm to dla człowieka propozycja lepsza niż gęsta i coraz bardziej krępująca ruchy zawiesina jego własnych przekonań i sądów? Wyobrażacie sobie Państwo świat, w którym od jutra większość katolików (ograniczmy się do nich) zaczyna po prostu, bez drapania się lewą ręką za prawym uchem, jeden do jednego żyć Ewangelią, stosować się do jej sugestii i nakazów? Kto nie chciałby takiego świata? A, przepraszam, co nas przed decyzją, że tak właśnie będziemy żyć, powstrzymuje? Kto krępuje nam ręce? Kogo naprędce sobie teraz wymyślimy, by oddalić oczywistą myśl, że jedynym naszym wrogiem jesteśmy my sami, a dokładniej – nasze lęki o to, że jeśli zostawimy coś, czego dziś kurczowo się trzymamy, to może upadniemy?

I tak wracamy do początku, do Księgi Rodzaju, do korzenia wszelkiego zła – do tego, że ludzie nie uwierzyli Bogu wprost, że jest Dobrym Ojcem, że zaczęli snuć nad tą prawdą swoje bieda-metaanalizy i szukać wentyli bezpieczeństwa. To właśnie z braku zaufania (ciekawe, że Jezus nie wyrzuca swoim uczniom braku miłości, zarzuca im stale brak wiary), z upupienia Boga, zredukowania Najwyższej, autonomicznej Istoty do snującego się w nas wewnętrznego głosu, wynika skutek, jaki znamy: to nie Bóg, to my uważając go za czarodzieja, wewnętrznego doradcę, naszego ochroniarza, idealistę bujającego w chmurach, robimy z życia swojego oraz innych piekło. ©

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Podcast literacki „Tygodnika Powszechnego"

Porozmawiaj z nami o książkach w grupie dyskusyjnej Book's not dead – już ponad 3650 osób obserwuje w niej i dyskutuje ostatnie doniesienia wokół książek, ich autorek oraz autorów, wydawców, księgarzy itd. Grupę pod adresem **powszech.net/bnd** moderuje MONIKA OCHĘDOWSKA.

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj w Apple Podcasts

UNSPLASH.COM // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Egzemplarz redakcyjny.
Nie do rozpowszechniania!

IMIGRANCI W RĘKACH TRUMPA

Przed wyborami do Kongresu prezydent USA straszył latynoską „karawaną” i znów obiecywał zaostrzenie polityki imigracyjnej. Niektóre zmiany w jej zakresie wprowadza jednak po cichu.

MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII

GUILLERMO ARIAS / AFP / EAST NEWS

Mur pomiędzy Meksykiem a USA na plaży w Tijuanie, listopad 2018 r.

Ginger Jacobs, współwłaścicielka kancelarii adwokackiej w San Diego, skończyła studia na Harvardzie i specjalizuje się w prawie imigracyjnym. W ciągu 17 lat pracowała w czasach trzech prezydentów: George'a W. Busha, Baracka Obamy i obecnie Donalda Trumpa. Mówi, że nigdy nie było jej tak trudno bronić swoich klientów jak teraz. Od kiedy rządzi Trump, kancelaria pani Jacobs zwiększyła się z pięciu do ośmiu prawników. Powód to wzrost liczby klientów, piętrząca się biurokracja i trudniejsze sprawy w sądach imigracyjnych.

– Walka z nielegalną imigracją od zawsze stanowiła istotny punkt w polityce Stanów – mówi Ginger Jacobs. – Jednak dopiero za prezydentury Trumpa przybrała tak bezwzględny charakter. Jeszcze dwa lata temu wiedziałam, że jeśli mój klient nie popełnił poważnych wykroczeń, to mam szansę na wygraną w sądzie. Za administracji Obamy nakaz deportacji otrzymywali głównie przebywający nielegalnie imigranci, którzy popełnili przestępstwo o charakterze kryminalnym, byli członkami gangów lub handlowali narkotykami. Teraz coraz częściej zdarza się, że po rozprawie wracam do biura, a mój klient czeka na deportację...

Agenci przyszli po latach

Obecnie adwokatka prowadzi sprawę Meksykanki, która przebywa w USA nielegalnie. Kobieta 10 lat temu naruszyła procedury imigracyjne i anulowano jej wizę na granicy. Kilka miesięcy temu wpadła w ręce funkcjonariuszy służby imigracyjno-celnej (ICE) – po tym, jak odgrzebali jej sprawę sprzed lat i namierzyli ją pod aktualnym adresem zamieszkania.

– To bardzo nietypowe, że agenci ICE przypomnieli sobie o mojej klientce po tylu latach – mówi Ginger Jacobs. Dotąd przebywający nielegalnie imigranci wpadali w ich ręce w przypadku kontroli dokumentów w autobusie czy na ulicy, a na celowniku tzw. sprofilowanych akcji poszukiwawczych byli głównie przestępcy.

Jeszcze do niedawna, broniąc swojej klientki, adwokatka zwróciłaby się do sędziego imigracyjnego o tzw. „administracyjne zamknięcie" sprawy. Zgodnie ze strategią wprowadzoną w 2011 r. przez Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego, rozwiązanie to stosowane było w przypadku spraw o tzw. niskiej szkodliwości. Chodziło o imigrantów bez przeszłości kryminalnej, którzy mieli szansę na zalegalizowanie pobytu przez członków rodziny ubiegających się np. o zieloną kartę.

Aby sprawa uzyskała status niskiego stopnia szkodliwości, brano również pod uwagę, czy imigrant jest zintegrowany ze społeczeństwem, jak długo tu mieszka i czy ma członków rodziny posiadających obywatelstwo USA. Choć cudzoziemiec, którego sprawa została „zamknięta administracyjnie", nadal przebywał w Stanach nielegalnie, to nie musiał obawiać się deportacji. Jak wynika ze statystyk Departamentu Sprawiedliwości, od października 2011 r. do września 2017 r. zamknięto w ten sposób ponad 215 tys. spraw, toczących się w sądach imigracyjnych.

Sędziowie pod presją

Po tym, jak w Białym Domu zasiadł Donald Trump, walkę z powszechnie stosowanym wcześniej „administracyjnym zamykaniem" wytoczył nowy prokurator generalny i szef Departamentu Sprawiedliwości Jeff Sessions (obecnie już były: dzień po niedawnych wyborach do Kongresu, pod presją Trumpa złożył rezygnację).

W maju tego roku Sessions ograniczył uprawnienia sędziów do wydawania takich decyzji. Zapowiedział też, że sprawy, które zostały już „zamknięte administracyjnie", na wniosek Departamentu Sprawiedliwości mogą wrócić na wokandę. Decyzja Sessionsa objęła ok. 350 sędziów imigracyjnych, których praca według amerykańskiego prawa podlega bezpośrednio pod Departament Sprawiedliwości.

Jeff Sessions wydał swoje oświadczenie w reakcji na sprawę deportacyjną Gwatemalczyka Reynalda Castro-Tuma, który jako nastolatek przekroczył nielegalnie granicę USA. Imigrant wielokrotnie nie pojawiał się na rozprawach. Prowadzący sprawę sędzia z Filadelfii, Steven A. Morley, zdecydował się zamknąć ją administracyjnie do czasu, aż Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego ustali, czy wezwania sądowe były wysyłane pod właściwy adres. Wtedy prokurator generalny odsunął Morleya i przydzielił sprawę innemu sędziemu.

Ten sam scenariusz powtórzył się w przypadku ponad 80 spraw, które sędzia ↦

Egzemplarz jednorazowy. Nie do rozpowszechniania!

↦ z Filadelfii „zamknął administracyjnie". Odsunięcie Morleya wywołało oburzenie wśród członków Narodowego Stowarzyszenia Sędziów Imigracyjnych. Jego przewodniczący Ashley Tabaddor mówił w wywiadzie dla CNN, że prokurator generalny podważył zasadę niezawisłości sędziów.

Ograniczenie ich uprawnień w zakresie „administracyjnego zamykania" spraw jest celowym wykorzystaniem sądów imigracyjnych do realizacji priorytetów administracji Trumpa.

Deportacja w godzinę

– Decyzja Jeffa Sessionsa przekreśliła szansę na praktykowaną przez lata współpracę między adwokatem imigranta a prawnikiem reprezentującym ICE – tłumaczy Ginger Jacobs. – Jeśli miałam silne argumenty przemawiające za tym, aby imigrant został w USA, mogłam przekonać prawnika służby imigracyjno-celnej, żeby poparł wniosek o „administracyjne zamknięcie" sprawy.

Adwokatka zaznacza, że obecnie częstszym scenariuszem jest walka nie o uniknięcie deportacji, lecz tylko o jej odroczenie. Tak było w przypadku Meksykanina sprzątającego w hotelu w San Diego. Kilka lat temu padł tam ofiarą „nalotu" agentów ICE. Wówczas otrzymał nakaz deportacji, ale sędzia imigracyjny przychylił się do wstrzymania jego wykonania. Powód: nielegalny imigrant ma dwójkę dzieci, które urodziły się w Stanach i posiadają amerykańskie obywatelstwo, a do tego jedna z córek jest niepełnosprawna i potrzebuje szczególnej opieki.

Ginger Jacobs: – Jedynym warunkiem dalszego pobytu mężczyzny w USA było stawianie się na coroczną kontrolę ICE. Funkcjonariusze sprawdzają wówczas, czy imigrant nie popełnił żadnego wykroczenia. Mój klient przechodził pomyślnie tę kontrolę przez sześć lat. W tym roku się nie udało. Choć przestrzegał prawa, został aresztowany, a jego sprawa znów trafiła do sądu imigracyjnego. Dostał nakaz deportacji i po kilku godzinach odesłano go do Meksyku.

Kalifornia broni nielegalnych

Z raportu waszyngtońskiego Instytutu Polityki Migracyjnej wynika, że w 2017 r. liczba aresztowań przebywających nielegalnie imigrantów, którzy nie popełnili przestępstwa o charakterze kryminalnym, wzrosła o 147 proc. w porównaniu

MARTA ZDZIEBORSKA

GINGER JACOBS, PRAWNICZKA Z SAN DIEGO:

Walka z nielegalną imigracją od zawsze stanowiła istotny punkt w polityce USA. Ale dopiero za prezydentury Trumpa przybrała tak bezwzględny charakter.

do roku 2016. W przypadku osób, które mają na koncie wyrok, odnotowano przyrost zaledwie o 7 proc. Wzrosła też liczba deportacji: od stycznia do września 2017 r. odnotowano tu 37-procentowy przyrost.

Statystyki te odbiegają jednak od rekordowych lat w okresie pierwszej kadencji Obamy. W latach 2010-11 deportowano 300 tys. osób rocznie, czyli dwa razy więcej niż w 2017 r. Jak wskazują autorzy raportu Instytutu Polityki Migracyjnej, związane jest to m.in. z rosnącym oporem lokalnych służb przed współpracą z ICE. Szczególnie widoczne jest to w Kalifornii oraz miastach takich jak Nowy Jork czy Chicago.

Kalifornia zasłynęła z antytrumpowskiego kursu, wprowadzając w styczniu tego roku ustawę zabraniającą policji sprawdzania statusu imigracyjnego aresztowanej osoby oraz przekazywania jej w ręce funkcjonariuszy ICE. Wyjątkiem są przypadki, w których został wydany nakaz sądowy, albo gdy aresztowany imigrant popełnił przestępstwo o charakterze kryminalnym.

Na przeciwległym biegunie legislacji jest zaskarżone przez wiele teksańskich miast prawo, które nakazuje posterunkom i aresztom federalnym przekazywać służbom ICE osadzonych, którzy są podejrzani, iż przebywają w USA nielegalnie.

Areszt w szkole

Strach przed deportacją narasta także wśród imigrantów mieszkających w Kalifornii.

W San Diego pod koniec 2017 r. sieć organizacji pozarządowych San Diego Rapid Response Network uruchomiła infolinię dla osób zagrożonych deportacją. Jak mówi „Tygodnikowi" koordynatorka projektu Sandra Alvarado, najczęściej dzwonią imigranci mieszkający w bardziej konserwatywnych miastach na terenie hrabstwa San Diego, takich jak El Cajon czy Escondido. To tam dochodzi niekiedy do przypadków łamania kalifornijskiego prawa, ograniczającego współpracę policji z ICE.

– Często dzwonią do nas osoby, które z wyprzedzeniem chcą poznać swoje prawa w razie aresztowania przez służbę imigracyjno-celną – mówi Alvarado. – Imigranci szczególnie obawiają się zatrzymania przez funkcjonariuszy ICE w miejscach takich jak szkoły, szpitale czy kościoły. Choć od czasów Obamy są to obszary chronione przed deportacją, niekiedy dochodzi tam do nadużyć.

Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich (ACLU) alarmuje, że w ostatnich latach niepokojące stało się też zjawisko aresztowań w sądach cywilnych i karnych. Z danych ACLU wynika, że w samym stanie Nowy Jork liczba aresztowań nielegalnych imigrantów w 2017 r. wzrosła aż o 1200 proc. w porównaniu do 2016 r.

Jeden z nagłośnionych przypadków dotyczył przebywającego nielegalnie imigranta z Meksyku, który w marcu 2017 r. został zatrzymany w sądzie rodzinnym w stanie Michigan. Mężczyzna przyszedł na rozprawę, bo starał się o prawo do opieki nad córkami. Amerykańskimi mediami wstrząsnęła też historia nielegalnej imigrantki, która została aresztowana w sądzie w Teksasie po tym, jak złożyła zeznania przeciw stosującemu wobec niej przemoc chłopakowi.

Zapomnij o azylu

Symbolem antyimigracyjnego kursu Trumpa stała się polityka „zera tolerancji". Kilka miesięcy temu świat obiegły zdjęcia imigrantów z krajów Ameryki Środkowej, których straż graniczna USA zatrzymywała pod zarzutem nielegalnego przekroczenia granicy z Meksykiem. Szczególnie dramatyczna była sytuacja rozdziela-

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

nych rodzin: dorośli trafiali wówczas do tzw. centrów detencyjnych, a ich dzieci do rządowych ośrodków. Pod wpływem nacisków ze strony obrońców praw człowieka, Partii Demokratycznej i społeczności międzynarodowej, w czerwcu Donald Trump podpisał dekret kończący praktykę rozdzielania rodzin.

Uwadze mediów umknęło wówczas inne wydarzenie: kilka dni wcześniej Jeff Sessions wydał memorandum dotyczące interpretacji prawa azylowego. Na jego mocy na otrzymanie ochrony w USA nie mają szans osoby, które w swoich krajach pochodzenia doświadczyły przemocy domowej lub uciekają przed prześladowaniami ze strony gangów. Decyzja ta uderzyła bezpośrednio w szturmujących amerykańską granicę imigrantów, którzy chcąc złożyć wniosek o azyl, powoływali się na takie prześladowania. Sessions twierdził, że reforma ma „zapobiec nadużyciom procedury azylowej, w której przewodnikami dla cudzoziemców są prawnicy imigracyjni".

W obywateli krajów Ameryki Środkowej wymierzona była też tegoroczna decyzja administracji Trumpa o ograniczeniu tzw. programu ochrony tymczasowej (Temporary Protected Status, TPS), która to ochrona przysługuje obywatelom krajów ogarniętych wojną lub dotkniętych przez katastrofę humanitarną. W jej wyniku o przedłużenie pobytu w ramach programu nie będą się już mogli starać imigranci z Salwadoru, Haiti, Sudanu i Nikaragui. Zagrożonych deportacją jest ok. 400 tys. osób, które przebywały w Stanach nawet od 30 lat.

Szczególnie niepokojąca jest sytuacja obywateli Hondurasu. Choć otrzymali ochronę w USA ze względu na potężny huragan „Mitch", który nawiedził ich kraj w 1998 r., nadal nie mogą czuć się tam bezpiecznie. W związku z niestabilną sytuacją polityczną i wciąż wysokim odsetkiem zabójstw (42,8 morderstw na 100 tys. ludzi), Honduras uznawany jest za jedno z najbardziej niebezpiecznych państw na świecie.

Beneficjenci programu TPS jak na razie mogą być spokojni: w październiku decyzja o jego zakończeniu została tymczasowo zablokowana przez sędziego federalnego w Kalifornii. Orzekł on, że administracja ma obowiązek przedłużenia dokumentów pobytowych osób posiadających TPS do czasu rozstrzygnięcia sprawy w sądzie.

Z „karawaną" w tle

Gdy Ameryka szykowała się do listopadowych wyborów do kongresu, świat obiegła informacja o zmierzającej do granicy USA „karawanie" kilku tysięcy latynoskich imigrantów. Temat szybko stał się narzędziem do mobilizacji elektoratu Partii Republikańskiej. Trump grzmiał na Twitterze, że w „karawanie" jest „wielu członków gangów i przestępców". Zapowiadał też zaostrzenie prawa azylowego.

Obietnicę zrealizował kilka dni po wyborach. W podpisanej 9 listopada proklamacji dotyczącej sytuacji na granicy z Meksykiem Trump ustanowił, że wnioski o azyl będą przyjmowane jedynie od tych osób, które złożą je na przejściu granicznym. W ramach obowiązującej przez 90 dni regulacji wniosków takich nie będą mogły składać natomiast w ogóle osoby, które na teren USA przedostaną się nielegalnie.

Jeszcze tego samego dnia Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich wraz z innymi organizacjami praw człowieka złożyła pozew w sądzie federalnym w San Francisco przeciw decyzji Trumpa. Pozywający twierdzą, że to zaostrzenie prawa azylowego jest pogwałceniem ustawy o imigracji i obywatelstwie z 1965 r. (stanowi ona, że każdy cudzoziemiec, nawet jeśli przekroczy granicę USA nielegalnie, poza przejściem granicznym, ma prawo starać się o azyl).

Działacze alarmują też, że na niektórych przejściach granicznych na złożenie wniosku o status uchodźcy imigranci czekają nawet półtora miesiąca. Aby uniknąć tygodni „w zawieszeniu", niektórzy wolą więc przekraczać granicę nielegalnie.

Tymczasem w chwili oddawania tego tekstu do druku pierwsza grupa około 1750 członków „karawany" dotarła do meksykańskiego miasta Tijuana na granicy z USA. Kolejne grupy, których łączną liczebność szacowano na 5 tys. ludzi, były w drodze. © MARTA ZDZIEBORSKA

Egzemplarz redakcyjny - Nie do rozpowszechniania!

JOHN LOCHER / AP / EAST NEWS

Paradise, Kalifornia, 13 listopada 2018 r.

Kalifornia w ogniu

Spalone domy, ewakuowane całe miasteczka, kilkuset zaginionych: tak wygląda tragiczny bilans pożarów, które objęły Kalifornię. Paradise, miasto dziś prawie całkiem spalone, słynęło z powstających jak grzyby po deszczu osiedli dla emerytów. Jednym z nich był liczący 97 domów kompleks Ridgewood Mobile Park, który spłonął 8 listopada. Dach nad głową straciła m.in. 64-letnia Sheila Schriber Cox: uciekając, zdążyła zabrać jedynie psa i Biblię. Mniej szczęścia mieli inni mieszkańcy kompleksu, którzy figurują na liście ponad 630 zaginionych. „New York Times" pisze, że wielu emerytów poruszało się o balkoniku, nie miało aut i nie używało komórek. „Gdy nasz zespół zaczął informować mieszkańców o ewakuacji, niektórzy nie wiedzieli, że zbliża się pożar" – mówił „NYT" właściciel Ridgewood Mobile Park.

Do minionego piątku ustalono, że w wyniku pożaru „Camp" i dwóch innych pożarów w południowej Kalifornii zginęło prawie 70 osób. W hrabstwie Butte, na terenie którego znajdowało się miasto Paradise, spłonęło 7 tys. budynków, ewakuowano 52 tys. osób. W rejonie ogarniętym pożarem „Woolsey" spłonęło co najmniej 435 budynków, a 57 tys. jest zagrożonych. Nakaz ewakuacji otrzymało tam ćwierć miliona ludzi. Ogień dotarł też do zamieszkanych przez celebrytów Malibu i Calabasas. ©

MARTA ZDZIEBORSKA z San Diego

Szpieg po wiedeńsku

ANNA ŁABUSZEWSKA

Austriacki rząd nie może wyjść z szoku. Skandal szpiegowski – jego bohater, cichy pułkownik, przez kilka dekad pracował dla Rosjan – podważa forsowaną przez prawicowo-populistyczną koalicję politykę zbliżenia z Moskwą.

BIURO PRASOWE KREMLA

Prezydent Putin na weselu Karin Kneissl, minister spraw zagranicznych Austrii. Sierpień 2018 r.

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Austria od lat realizowała wobec Rosji koncepcję ocieplania klimatu politycznego. Wiedeń miękko reagował na kolejne kolizje na linii Europa–Kreml, w nadziei na uzyskanie mocnej pozycji na rynku gazowym – dzięki korzystnym dostawom surowca z Rosji. Nawet w warunkach sankcji i izolacji Moskwy – po aneksji Krymu i rozpętaniu wojny w Donbasie – Wiedeń podtrzymywał kontakty na najwyższym szczeblu. Kierunek ten uległ jeszcze wzmocnieniu, gdy po wyborach w 2017 r. austriaccy konserwatyści zawarli koalicję z populistyczną i prorosyjską Partią Wolnościową.

Teraz ten kurs może się zmienić – po ujawnieniu rosyjskiego agenta, uplasowanego w sztabie armii austriackiej, entuzjazm Wiednia do zbliżenia z Kremlem przygasł. Austria zapowiada ścisłe współdziałanie z europejskimi partnerami.

Nowy Redl szpieguje

Wiedeń wciąż przeżywa nie lada szok: oto odkryto, że pewien austriacki pułkownik przez 20 lat (a wedle innej wersji nawet 28) pracował dla rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU. Zatrzymany już oficer przekazywał informacje o austriackim lotnictwie i artylerii, o współpracy w ramach NATO, a w ostatnich latach skupiał się też na zagadnieniach społecznych i politycznych: kryzysie migracyjnym (według telewizji ÖRF szczególnie to interesowało rosyjskiego zleceniodawcę), działaniach rządu i nastrojach społeczeństwa.

Austriacka prasa zdążyła już nazwać agenta „nowym Redlem" – nawiązując do znanej historii z ostatnich lat monarchii austro-węgierskiej. Alfred Redl, także pułkownik (i specjalista od... kontrwywiadu w Sztabie Generalnym ck armii), przez dekadę pracował dla carskiej Rosji, przekazując masę ważnych informacji. Gdy w 1913 r. został zdemaskowany, pozwolono mu popełnić samobójstwo (monarchia chciała uniknąć procesu i publicznego skandalu).

„Nowy Redl" (dziś już będący w stanie spoczynku), którego nazwiska opinia publiczna na razie nie poznała, podobno nie przekazywał Rosjanom nadzwyczajnych tajemnic. Ale dostarczane regularnie raporty, w tym dane wrażliwe (np. charakterystyki oficerów), nie powinny były wyciec poza Ministerstwo Obrony. Podobno w 2006 r. szpieg chciał wycofać się ze współpracy z Rosją, ale widocznie przedstawiono mu mocne argumenty, bo pracował dalej.

Według wstępnych ustaleń co dwa tygodnie szpieg spotykał się ze swoimi oficerami prowadzącymi. Przez wiele lat jego patronem był niejaki „Jurij", który przekazywał mu zadania zlecane przez centralę w Moskwie. Zdobyte informacje pułkownik szyfrował. Za usługi otrzymał łącznie 300 tys. euro. Teraz składa zeznania, przyznał się do zarzutu szpiegostwa.

Prasa austriacka twierdzi też, że informację o pułkowniku przekazały Austrii „służby zaprzyjaźnionego kraju" (Niemiec lub Wielkiej Brytanii). Sam delikwent od pewnego czasu spodziewał się, że zostanie zdekonspirowany (ponoć został ostrzeżony przez centralę w Moskwie) i starał się zniszczyć kompromitujące go materiały. Nie zdążył: w ręce austriackich służb trafiły jego laptop i inny sprzęt.

Wiedeńska elita tańczy

Po ujawnieniu agenta w stolicy Austrii zapanowały minorowe nastroje: skandal podważa budowane od lat, w duchu wzajemnej sympatii, zręby polityki zbliżenia na linii Wiedeń–Moskwa.

Tymczasem jeszcze niedawno austriackie elity polityczne świetnie bawiły się wraz z prezydentem Putinem na weselu minister spraw zagranicznych Karin

Kneissl. Film, na którym rosyjski gość tańczy z panną młodą, robił furorę w mediach. Atakowana za fraternizację z obłożonym sankcjami rosyjskim przywódcą, Kneissl bąkała, że pomysł zaproszenia Putina na wesele rzuciła mimochodem, grzecznościowo, i że nie sądziła, iż zostanie on potraktowany poważnie. Niezależnie od tego, jakie były jej motywy, przyjazd Putina z chórem Kozaków stał się celem kpin europejskich mediów i polityków opozycji.

Niezrażona krytyką, Kneissl zamierzała na początku grudnia złożyć wizytę w Moskwie i jeszcze bardziej ocieplić relacje dwustronne. Od kilku miesięcy resorty dyplomacji Rosji i Austrii pracowały nad stworzeniem nowej platformy stosunków, zwanej „Dialogiem z Soczi". Po ujawnieniu agenta wizytę jednak odwołała.

Dobre relacje budowano nie tylko przy miłych okazjach towarzyskich. Austria była jedynym państwem Unii, które nie wydaliło rosyjskich dyplomatów w ramach akcji solidarnościowej z Wielką Brytanią po otruciu Siergieja i Julii Skripalów. Wiedeń nie odżegnywał się też od kontaktów na najwyższym szczeblu po aneksji Krymu w 2014 r. i nałożeniu unijnych sankcji na Rosję.

Kanclerz Sebastian Kurz przyjął w czerwcu tego roku Putina, uścisnął mu dłoń i zapowiedział, że Austria nadal chce kupować rosyjski gaz. Dodał, że co do sankcji, to może należałoby pomyśleć o ich stopniowym łagodzeniu. A ponieważ wszelkie kontakty Putina z europejskimi politykami są skwapliwie wykorzystywane przez rosyjską propagandę do lansowania tezy, że o izolacji Rosji nie ma mowy, kanclerz Kurz miał tam wyjątkowo dobrą prasę.

Zyskał jeszcze w październiku, gdy wybrał się do Petersburga, aby spotkać się z Putinem, otworzyć wraz z nim wystawę w Ermitażu i przypieczętować swoją obecnością ważny kontrakt firm gazowych: rosyjskiego Gazpromu i austriackiego OMV.

Przy okazji z przyjemnością odnotowano, że w 2018 r. dostawy gazu z Rosji do Austrii wzrosły aż o 80 proc. w porównaniu do roku 2017. Ponadto, jeśli wszystko pójdzie dobrze, OMV będzie mógł nabyć udziały w urengojskim złożu gazu, a Gazprom – w złożach zarządzanych przez OMV na Morzu Północnym. Austriacy napomknęli też ponownie, że nie widzą nic zdrożnego w budowie Nord Stream 2. W Petersburgu było naprawdę ciepło i zanosiło się na dalsze ocieplanie.

Rosja traktowała Austrię jak sojusznika, wysyłającego krzepiące sygnały ze środka oceanu europejskiej nieprzyjaźni, a politycy w Wiedniu zdawali się z takiej roli zadowoleni. Aż tu nagle taki despekt: austriacki pułkownik na służbie rosyjskiego pułkownika...

Mołotow kontratakuje

Po ujawnieniu szpiega, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej kanclerz Kurz nie krył szoku. Oburzał się, że ktoś śmiał uprawiać szpiegostwo przeciw neutralnemu państwu. Najwyraźniej był nieprzyjemnie zaskoczony tym, że Rosja, wobec której Austria wykonała tyle przyjaznych gestów, rewanżuje się tak nieprzyjaźnie. Od razu też zapowiedział, że zadba o bezpieczeństwo Austrii (w tym bezpieczeństwo cybernetyczne) we współpracy z europejskimi partnerami.

Rosja zareagowała w stylu sowieckiego ministra spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa. Na plac Smoleński w Moskwie, do siedziby MSZ, wezwano ambasadora Austrii i zadano mu pytanie: dlaczegóż to austriaccy partnerzy nie próbowali wyjaśnić sprawy dyskretnie, przez kanały dyplomatyczne, tylko od razu podano rzecz do publicznej wiadomości i nadano jej rozgłos? „Taka metoda jest nie do przyjęcia!" – grzmiał następca Mołotowa w gmachu na placu Smoleńskim, Siergiej Ławrow.

I śmiesznie, i strasznie. Austria łapie rosyjskiego szpiega, a Rosja ma jej za złe, że o tym głośno mówi. Rosyjskiej dyplomacji nie jest przykro, że szpiegowano państwo neutralne i przyjazne, lecz z tego powodu, że szpiega przyłapano.

Nie jest to zresztą pierwsza afera szpiegowska na linii Moskwa–Wiedeń. Ostatnia na podobną skalę miała miejsce w 2007 r., gdy austriacki kontrwywiad zdemaskował dwóch agentów podejrzanych o szpiegostwo na rzecz Rosji. Wtedy miał to być sygnał niezadowolenia Austrii „z intensyfikacji działań rosyjskich służb specjalnych", jak to ujmowała ostrożna prasa.

Po tamtej aferze szybko posprzątano. Teraz też rozległy się głosy (m.in. prezydenta Austrii), że nie należy przeceniać znaczenia złapanego szpiega, że przecież jeszcze nie wiadomo, jak wielkie uczynił on szkody itd., itp.

Ale zaraz potem pojawiły się doniesienia, że „nowy Redl" nie jest jedynym ujawnionym ostatnio rosyjskim szpionem: także w Urzędzie Ochrony Konstytucji i Walki z Terroryzmem (BVT, to austriacki kontrwywiad) zatrzymano podejrzanego o działalność szpiegowską na rzecz Moskwy.

Europa się budzi

Jeśli potwierdzą się informacje, że cenną wiedzę o szpiegach przekazały Austriakom zaprzyjaźnione europejskie służby, może to oznaczać, iż Rosji coraz trudniej będzie uprawiać szpiegostwo w państwach Unii. To kolejny ostatnio sygnał: „Rosjo, widzimy cię i reagujemy. A twoje zakusy, by rozbić europejską solidarność w sprawie sankcji i nie tylko, spełzną na niczym".

Bo też rozpatrując aferę szpiegowską w Austrii, nie wolno zapominać o szerszym kontekście: ostatnich spektakularnych wpadkach rosyjskiego wywiadu w Europie. Wielka Brytania ostro zareagowała na otrucie Skripalów, personalia podejrzanych o to funkcjonariuszy GRU zostały podane do publicznej wiadomości (to wielka kompromitacja dla rosyjskich służb i ich najwyższych zwierzchników). Przyszpileni zostali też funkcjonariusze tajnych służb, którzy próbowali zhakować dane z serwera Organizacji ds. Zakazu Broni Chemicznej, a także zakraść się do laboratorium chemicznego analizującego trucizny (m.in. takie, których użyto do otrucia Skripalów). Na marginesie: prasa spekuluje, że zdemaskowany austriacki pułkownik został rozpracowany właśnie dzięki współpracy Siergieja Skripala z brytyjskimi służbami.

Być może to jeszcze nie koniec wiadomości o dobrze uplasowanych szpiegach Kremla w austriackiej stolicy – i gdzie indziej. Tak czy inaczej, miodowy miesiąc w relacji z Moskwą po ślubie pani minister skończył się niechlubną aferą. Przynajmniej na jakiś czas temperatura uczuć odczuwalnie spadnie. No i tańców z Putinem raczej już nie będzie. ©

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

ANNA ŁABUSZEWSKA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 21 listopada o godz. 16.20.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Sedes Stalina i inne cuda

DARIUSZ KAŁAN Z TBILISI I GORI

„Jeśli ktoś o nim słyszał, to słyszał też o naszym kraju. To dopieszcza narodowe ego wielu ludzi" – tak Szalwa Dzidziguri próbuje tłumaczyć sobie sentyment, którym wielu Gruzinów wciąż otacza postać ich najsłynniejszego rodaka.

Lewan Gigineiszwili ma już dość Józefa Stalina. Żeby pokazać, że nic go nie łączy z sowieckim dyktatorem, a zarazem najbardziej znanym Gruzinem, Gigineiszwili opowiada taką historię: – Kiedyś pokłóciłem się o Stalina z przyjacielem ojca. Usłyszałem od niego anegdotę. Oto młody inżynier został wezwany na Kreml. Strasznie się bał, ale w końcu pojechał i spotkał się z wodzem. Ten zapytał go, gdzie w Gruzji można wybudować fabrykę metalurgiczną. „Nigdzie – odpowiedział inżynier – bo ucierpi nasza przyroda". Stalin wzywał go jeszcze dwa razy i zawsze słyszał to samo. W czasie ostatniej rozmowy nakazał: „Wybuduj fabrykę w Rustawi. To może nie jest dobre dla przyrody, ale dobre dla naszej Gruzji".

– Dla przyjaciela mojego ojca był to dowód na wielki patriotyzm Stalina – kontynuuje Gigineiszwili, historyk z Uniwersytetu im. Ilii Czawczawadze w Tbilisi. – A ja mu powiedziałem: „Wiesz, na co zwróciłem uwagę? Że ten inżynier zamiast się cieszyć, że został zauważony przez przywódcę, bał się, czy wróci do domu. Wyobrażasz to sobie w Ameryce?". Na tym polega różnica w myśleniu o Stalinie między starą generacją a młodą.

Długie trwanie potrójnego mitu

Tę intuicję częściowo potwierdzają badania. Sześć lat temu amerykański think tank Carnegie Endowment przygotował ankietę z ośmioma pytaniami o Stalina i rozesłał ją do Rosji oraz trzech państw Kaukazu Południowego: Gruzji, Armenii i Azerbejdżanu.

W Gruzji 45 proc. badanych – najwięcej z tych czterech krajów – określiło swój stosunek do sowieckiego wodza jako pozytywny. Najcieplej Stalina wspominały osoby powyżej 60. roku życia (72 proc.). Jeśli jednak chodzi o młodych, w wieku 18-30 lat, prawie połowa miała doń albo stosunek obojętny (22 proc.), albo nie wiedziała, co odpowiedzieć (16 proc.), albo w ogóle nie kojarzyła tej postaci (10 proc.).

– To rezultat fatalnej edukacji, bo o Stalinie prawie nie uczy się w szkołach – objaśnia Gigineiszwili. – Natomiast starsi często oskarżają demokrację i gospodarkę rynkową o pogorszenie swojej sytuacji życiowej. Stalin kojarzy się im ze stabilnością, spokojem, silnym państwem, z latami młodości. Ale gdyby dopytać, to okaże się, że oni też nic o nim nie wiedzą. W Gruzji Stalin funkcjonuje na poziomie sloganów i mitów, nie faktów.

W stołecznym Tbilisi miejscem, w którym gromadzą się wszystkie mity, jest tłoczny bazar ze starociami przy Suchym Moście. Wyprzedaje się na nim nie tylko własny dobytek – składają się nań pamiątki rodzinne, czyli np. książki z myślami wodza, albo jego fotografie i portrety, które wisiały w centralnych miejscach domu – ale także współczesne suweniry: plastikowe figurki, ręczniki i koszulki z jego wizerunkiem, matrioszki. Za 10 lari [równowartość 14 zł – red.] kupuję pocztówkę ze Stalinem w stroju Dziadka Mroza.

Stalin stał się marką. Dlaczego? Jedną z przyczyn jego pośmiertnego triumfu jest zapewne to, że – jak pisał amerykański historyk Alfred J. Rieber – udało mu się stworzyć potrójną tożsamość: proletariusza bez narodowości, Gruzina i Rosjanina.

Dlatego 65 lat po jego śmierci i niemal trzy dekady po upadku komunizmu i Związku Sowieckiego, dzieła jego życia, na Stalina powołują się tak różne grupy jak twardogłowi komuniści, gruzińscy nacjonaliści i rosyjskie elity państwowe.

Rodak, który zrobił karierę

W Rosji Władimira Putina – który w 2005 r. na forum połączonych izb rosyjskiego parlamentu podzielił się przemyśleniem, że upadek Związku Sowieckiego był „największą katastrofą geopolityczną" XX w. – w umacnianie pamięci o Stalinie, a zwłaszcza w mitologizację jego udziału w II wojnie światowej, zaangażowane są państwowa propaganda oraz szkolnictwo. Kreml przyzwala też na budowę wielu pomników. Tymczasem w Gruzji nostalgia ma charakter bardziej prywatny. Jest niezależna od państwa, a nawet realizowana wbrew niemu.

Historyk Gigineiszwili przypomina, że za czasów prezydenta Micheila Saakaszwilego (rządził w latach 2004-13) prowadzono energiczną politykę destalinizacji, polegającą na usuwaniu symboli sowieckich z przestrzeni publicznej i otwieraniu nowych instytucji, jak Muzeum Okupacji Sowieckiej w Tbilisi.

Egzemplarz archiwalny. Nie do rozpowszechniania!

JUSTYNA MIELNIKIEWICZ / POLARIS / EAST NEWS

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Baliashvili Nodari z tatuażem przedstawiającym Stalina. Ojciec Stalina przygarnął ongiś jego dziadka i dał mu pracę w swoim zakładzie szewskim.

– Szkoda, że to wszystko miało cel polityczny i propagandowy, a nie edukacyjny. W efekcie poziom wiedzy na temat Stalina jest taki jak wcześniej, czyli niski. Nawet wśród historyków brakuje specjalistów – podkreśla Gigineiszwili.

Podstawowa różnica w podejściu Rosjan i Gruzinów do Stalina jest taka, że ci pierwsi utożsamiają postać wodza z okresem potęgi Związku Sowieckiego – stąd tak silna obecność w rosyjskiej świadomości mitu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej z okresu 1941-45 (do jakiego sprowadzają II wojnę światową).

Natomiast dla Gruzinów Stalin jest ważny sam w sobie. Może trudno go nazwać uosobieniem gruzińskiego charakteru, bo impulsywność i otwartość zostały u niego zastąpione przez chłodną kalkulację i skrytość. Jednak, jak komentuje Szalwa Dzidziguri, analityk z Tbilisi, „jak by na to nie patrzeć, Stalin to prosty Gruzin, syn szewca, który zrobił kolosalną karierę międzynarodową".

– Możesz nie znać chaczapuri, ale jeśli słyszałeś o Stalinie, to słyszałeś też o Gruzji. Chcemy tego czy nie, on zawsze będzie częścią naszej historii. To dopieszcza narodowe ego wielu Gruzinów – mówi Dzidziguri.

Bezwzględny zwłaszcza dla Gruzinów

Smutny paradoks polega na tym, że Stalin – a właściwie Iosif Dżugaszwili („Stalin" był początkowo jednym z jego licznych partyjnych pseudonimów), urodzony w 1878 r. w Gori – swoich rodaków wcale nie faworyzował.

Wręcz przeciwnie. Zależało mu, żeby traktowano go jak Rosjanina, stąd zmiana nazwiska z Dżugaszwili na Stalin, człowiek ze stali. I żeby nikt nie miał wątpliwości, że nie sprzyja Gruzinom, ustawiał ich na pierwszych liniach ognia. – Był wobec nich bardziej bezwzględny niż wobec innych narodów – uważa Szalwa Dzidziguri.

Na początku lat 20. XX w. to Stalin – przy oporze miejscowej ludności i wątpliwościach Lenina – zarządził siłowe włączenie niepodległej Gruzji do Związku Sowieckiego [o historii ówczesnej gruzińskiej niepodległości patrz „TP" nr 23 oraz na powszech.net/gruzja – red.]. To on stał za czystkami, brutalną kolektywizacją i przesunięciem granic, które okroiły jego ojczyznę o jedną trzecią terytorium. W czasie II wojny światowej młodzi Gruzini byli przymusowo wcielani do Armii Czerwonej, co kosztowało życie ok. 12,5 proc. populacji. Sporo jak na państwo, na którego ziemiach nie toczyły się wtedy żadne walki.

We wspomnianym Muzeum Okupacji Sowieckiej podliczono ofiary władzy bolszewickiej i potem sowieckiej z lat 1921-91. Tych udokumentowanych jest podobno 880 tys.: zostali zabici w czasie II wojny światowej (400 tys.) albo w wyniku deportacji (400 tys.) oraz egzekucji (80 tys.); jedne i drugie prowadzono zarówno przed, jak też po II wojnie światowej. To oznacza, że prawie każdy mieszkaniec blisko czteromilionowego dziś kraju może mieć w swojej rodzinie lub w kręgu przyjaciół kogoś, kto naraził się Stalinowi i poniósł za to najwyższą karę.

A jednak w Gruzji wspomina się go z sentymentem, chociaż bez zainteresowania szczegółami (starsi), nie wspomina się wcale (młodsi) albo traktuje jak suwenir (cała reszta). Jak wytłumaczyć ten paradoks? Słabą edukacją? Przywiązaniem do mitów? Cichym szacunkiem do rodaka, któremu udało się zaistnieć? Pewnie wszystkim po trochu.

Ale nigdzie pamięć o Stalinie nie zbliża się do religijnej adoracji bardziej niż w miejscu, w którym się urodził.

Gori, czyli Stalingrad

Za czasów Stalina była to duża wieś, licząca 6 tys. mieszkańców. Dziś Gori to regionalne centrum kulturowe i przemysłowe, ↦

↦ z trzema muzeami, stadionem, teatrem, uniwersytetem, dworcem kolejowym i autobusowym oraz bazą wojskową.

Pierwsza rzecz, jaka rzuca się w oczy po wyjściu z marszrutki na końcu – a jakże – alei Stalina, to ogromna twarz wodza, lekko uśmiechnięta, z sokolimi oczami zawieszonymi na bliżej nieokreślonym horyzoncie. Zajmuje połowę witryny nad sklepem spożywczym. I tylko znajdujący się tuż obok niej napis „Do wynajęcia" psuje atmosferę podniosłości.

Szeroką aleję przecina wysepka z półkolistym deptakiem, na którego szczycie znajduje się park pamięci. Bo Muzeum Stalina to cały kompleks: nie tylko olbrzymie jak katedra muzeum, ale także pomnik wodza, przeniesiony w tajemnicy przed mieszkańcami sprzed urzędu miasta. A także drewniana, okolona pseudoklasycystycznymi kolumnami dwupokojowa chatka, w której się urodził. Oraz oryginalny wagon, którym podróżował.

W tym wagonie zainteresowanie zawsze wzbudzają łazienka i sedes z drewnianą klapą. Turyści przede mną powątpiewają, że należał do dyktatora. – Jeśli się zachował taki lśniący, to musi być cud i znak, że nad Stalinem czuwa łaska boska – słyszę.

Jeszcze więcej cudów czeka w muzeum. Jest tam miejsce na wszystko: zegarek Stalina, jego fotel, fajkę, biurko, cygara, młodzieńcze wiersze, osobistą walizkę, świadectwa szkolne, kieliszki, w których pijał wódkę. Jest lampka od marszałka Żukowa. Są liczne portrety i popiersia onadary od „bratnich" narodów. Jest Stalin-dobry gospodarz, Stalin-mąż stanu, Stalin-człowiek z ludu, Stalin-intelektualista. Brakuje tylko tego jednego...

DARIUSZ KAŁAN

Przed Muzeum Stalina w Gori, jesień 2018 r.

– Od lat mówi się, żeby do ekspozycji włączyć negatywną stronę sowieckiej historii – zdradza pani Olga, przewodniczka. – W Tbilisi pracuje komisja i co ustali, to przyjmiemy – deklaruje.

Uważne oko wychwyci małą prezentację „Ofiary reżimu sowieckiego", o wielkiej czystce z lat 30. Została przedstawiona tak, jakby była przykrym, acz koniecznym skutkiem ubocznym konsolidacji władzy. O osobistej odpowiedzialności Stalina nie ma oczywiście ani słowa. Ani też o Katyniu, Gułagu czy Hołodomorze (wielkim głodzie) na Ukrainie.

Kwestia przyzwyczajenia

Pani Olga (nie chce podać nazwiska) długo opiera się przed rozmową.

– Przyjeżdżają do nas dziennikarze z gotowymi tezami i zadają pytania, na które nie znamy odpowiedzi – tłumaczy i odsyła do ministerstwa kultury. Zestresowana, siedzi na krańcu fotela jak na egzaminie. Na twarzy wyskakują jej czerwone plamki.

– Pracuję tu od 35 lat – wypala w końcu, kiedy po raz kolejny zapewniam, że nie mam żadnej gotowej tezy. – I co ja myślę o Stalinie? Myślę bez emocji. Przyzwyczaiłam się do niego. Po tych wszystkich latach Stalin stał się częścią mojego życia.

Twierdzi, że w 2017 r. muzeum odwiedziło 133 tys. osób, czyli ponad dwa razy więcej niż trzy lata temu. – Trudno powiedzieć, żeby zainteresowanie turystów odbijało się na sytuacji gospodarczej miasta. Muzeum podlega ministerstwu i chyba ono na tym korzysta – spekuluje.

Ale do Gori przyjeżdża się nie tylko, żeby zobaczyć, jak wygląda kult Stalina. Przed dekadą, w czasie inwazji rosyjskiej w sierpniu 2008 r., Gori było miastem frontowym. Georgi, mój gospodarz, pokazał mi blok przy ulicy Czawczawadze 47, gdzie w czasie rosyjskiego ataku przebywał jego syn. – Obudził się rano, a z sufitu zwisał pocisk – wspominał.

Dwa kroki dalej stoi budynek telewizji, który również został ostrzelany. Na ścianie, na której nadal widnieją ślady po kulach, wymalowano mural: kontury Gruzji ze zrzucającym bomby samolotem i napisem „Cena niepodległości".

Dlaczego zatem, mimo chłodnych relacji z północnym sąsiadem, Gruzja – a Gori w szczególności – wspomina z takim sentymentem człowieka, który w Rosji uchodzi (jak wynika z sondażu Centrum Lewady) za najwybitniejszą postać w historii?

– Nie mamy nic do Rosjan – ucina pani Olga, a ja już wiem, że zostanę z kolejnym paradoksem trudnym do zrozumienia. – Człowiek jest zawsze człowiek.

© DARIUSZ KAŁAN

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy

Ś. † P.

prof. Jerzego Wyrozumskiego

Wielkiego Uczonego.
Od roku 1958 związanego z Polskim Słownikiem Biograficznym,
a od roku 1993 członka jego Rady Naukowej i Komitetu Redakcyjnego.
Naszego wypróbowanego i niezawodnego Przyjaciela.

Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy szczerego współczucia.

Zespół Redakcji Polskiego Słownika Biograficznego

STO LAT Z ROCZNICĄ

Sporne w chwili jego ustanawiania, Święto Niepodległości szybko stało się lustrem, w którym odbijały się kolejne etapy minionego polskiego stulecia.

ANDRZEJ ZAWISTOWSKI

12 LISTOPADA 1918 R. WARSZAWSKA prasa donosiła, że dzień wcześniej Józef Piłsudski objął „naczelną komendę nad siłą zbrojną Polski". Nie znajdziemy w niej śladu przekonania, że to pierwszy dzień wolności. Bo też to najważniejsze dziś polskie święto nie upamiętnia jakiegoś przełomowego wydarzenia. Zostało stworzone jako produkt polityki historycznej sanacji, która w centrum zasług dla niepodległości widziała miejsce dla jednego tylko człowieka: Piłsudskiego. Później jednak, w kolejnych dekadach XX stulecia, data zaczęła żyć własnym życiem.

Na szarym końcu?

Spójrzmy na kalendarz roku 1918, w którym odnotowywano momenty proklamowania niepodległości przez kolejne państwa. Już w końcu 1917 r. niepodległość ogłosiła Finlandia. Bolszewicy, którzy właśnie zdobyli władzę, uznali ją już na początku 1918 r. (choć był to krok taktyczny, a kraj czekała wkrótce wojna). Później poszło lawinowo: Ukraina uczyniła to w styczniu, Litwa i Estonia w lutym, Białoruś w marcu, Gruzja w maju. W październiku Czesi i Słowacy stworzyli wspólne państwo. Podobnie uczynili Słoweńcy, Chorwaci i Serbowie (w 1929 r. ich państwo przyjmie nazwę Jugosławii). ↦

Odsłonięcie kamienia w parku imienia Stefana Żeromskiego, upamiętniającego 15-lecie odzyskania niepodległości. Warszawa, 19 listopada 1933 r.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

↦ W końcu października Węgry zerwały unię z Austrią.

W tym łańcuchu Polska, gdyby za moment odzyskania niepodległości przyjąć 11 listopada, znalazłaby się na szarym końcu – w naszej części Europy po nas ogłosiła ją jeszcze tylko Łotwa.

Ale polski 11 listopada nie wziął się z próżni. Wiodło do niego wiele wydarzeń, stopniowo budujących państwowość [patrz też dodatek w „TP" 46/2018 oraz na powszech.net/dodatek-niepodleglosc – red.]. W listopadzie Piłsudski nie stworzył władzy – on ją przejął. Do dyspozycji miał już aparat urzędniczy i zalążek wojska. Niepodległość było na czym budować także dzięki zaborcom: 5 listopada 1916 r. Niemcy i Austriacy utworzyli Królestwo Polskie. Organizm zależny, który zaczął jednak tworzyć własną administrację, a sprawująca w nim władzę od końca 1917 r. Rada Regencyjna podporządkowywała sobie kolejne obszary życia publicznego.

Daty do wyboru

„Polacy! Obecnie już losy nasze w znacznej mierze w naszych spoczywają rękach. Okażmy się godni tych potężnych nadziei, które z górą przez wiek żywili wśród ucisku i niedoli ojcowie nasi. Niech zamilknie wszystko, co nas wzajemnie dzielić może, a niech zabrzmi jeden wielki głos: Polska Zjednoczona Niepodległa" – tak kończyła się odezwa, wydana przez Radę Regencyjną 7 października 1918 r. Tym samym Królestwo Polskie ogłosiło niepodległość.

Odnotujmy w tym miejscu szczegół mało znany: w Archiwum Akt Nowych zachowały się listy i telegramy, które po tej proklamacji przesłały do Rady Regencyjnej liczne miasta i miasteczka Galicji (formalnie wciąż prowincji Austrii!): deklarowały w nich, że podporządkowują się Radzie i też chcą należeć do odrodzonego państwa. Gdy czyta się te dokumenty – często poruszające i emocjonalne – widać, że w świadomości burmistrzów i radnych miejskich, którzy się pod nimi podpisali, państwo polskie stało się już faktem.

13 października Rada Regencyjna przyjęła przysięgę od Polnische Wehrmacht (Polskiej Siły Zbrojnej), wcześniej podległej Niemcom. Właśnie to wojsko, a następnie całą władzę złożono w ręce Piłsudskiego. Stało się to 11 i 14 listopada.

Ale były też inne daty i miejsca. W październiku w Galicji powstały ośrodki lokalnej władzy, m.in. w Cieszynie i Krakowie. We Lwowie, którego rada miejska już 20 października głosowała za przyłączeniem do Polski, od 1 listopada trwała walka z Ukraińcami. 7 listopada pod przewodnictwem Ignacego Daszyńskiego powstał w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej.

Data 11 listopada łączy dziś Piłsudskiego i Dmowskiego, Paderewskiego i Daszyńskiego, Witosa i Korfantego. Pewnie by się zdziwili, że to ich wspólne święto.

To nie koniec dat, do których mogło odwołać się Święto Niepodległości. 15 listopada pojawiła się nazwa Republika Polska, która zastąpiła Królestwo Polskie. Dzień później Piłsudski wysłał w świat depeszę, oznajmiającą powstanie państwa. 22 listopada jego dekretem powstały nowe władze. W styczniu 1919 r. wybory wyłoniły Sejm Ustawodawczy. Dzień jego pierwszego posiedzenia, 10 lutego, stał się pierwszym – choć jednorazowym – świętem odrodzonego państwa. Piłsudski ustanowił je, jako wolne od pracy, raptem trzy dni wcześniej.

Potem trzeba było kolejnych dat, by państwo okrzepło. Dopiero w 1922 r. włączono Wileńszczyznę i Górny Śląsk. Wcześniej – Wielkopolskę (1919 r.) i Pomorze (1920 r.). Kluczową rolę w korzystnych zapisach traktatu wersalskiego, określającego ład w Europie po I wojnie światowej, odegrali Roman Dmowski i Ignacy Paderewski – i dla wielu Polaków to właśnie ten traktat, podpisany w czerwcu 1919 r. we Francji, pieczętował niepodległość.

Klucz terytorialny

Rozciągnięty w czasie i przestrzeni proces spowodował, że brakowało tej jednej daty, symbolicznej dla całego kraju. A skoro jej nie było, trzeba było ją wyznaczyć.

W 1920 r. niepodległość w Warszawie świętowano 14 listopada, ale we Lwowie cztery dni wcześniej. 11 listopada świętowano w Częstochowie, wspominając rocznicę lokalnego wystąpienia zbrojnego przeciw Niemcom. Szczególną oprawę miały wtedy uroczystości w stolicy: Piłsudskiemu wręczono buławę marszałkowską.

W kolejnych latach uroczystości rozciągały się w całym kraju na kilkanaście jesiennych dni. 11 listopada świętowano głównie w miastach, gdzie rozbrojono wtedy Niemców. „Wielkość rocznicy Wyzwolenia Warszawy tkwi w serdecznej pamięci narodu" – pisał w 1921 r. „Kurier Poranny". Świętowanie różnicował klucz terytorialny, ale też – coraz wyraźniej – polityczne sympatie i antypatie.

Sytuację diametralnie zmienił zamach majowy 1926 r. Piłsudski wrócił – już nie jako głowa państwa, lecz przywódca narodu. Aby umocnić tę nieformalną pozycję, jego zwolennicy postanowili uczynić z niego centralną postać polskiej niepodległości. Okazją były najbliższe uroczystości listopadowe. Tradycyjnie przygotowywały je różne ugrupowania. Ale na kilka dni przed datą organizację ich przejęło państwo. Piłsudski, wtedy premier, podpisał okólnik o ustanowieniu 11 listopada dniem wolnym w administracji i szkolnictwie. Na placu Saskim (wkrótce później nazwanym placem Piłsudskiego) odbyła się defilada. Oficjalnie było to wciąż upamiętnienie wyzwolenia Warszawy, ale ranga 11 listopada rosła. W końcu lat 20. tego dnia świętowano już odzyskanie niepodległości – choć wciąż poniekąd nieformalnie (i nie wszędzie).

Polityczna polaryzacja

Wskazanie 11 listopada jako święta nie było przypadkowe: w ten sposób włączono Piłsudskiego do obozu, który zwyciężył w I wojnie światowej. Dla ówczesnego świata zachodniego dzień podpisania rozejmu w Compiègne w 1918 r. był jedną z najważniejszych dat. Szczególnie czczono ją we Francji, która była wtedy najważniejszym sojusznikiem Polski. Szukano więc w biografii Marszałka wydarzenia, które można by wpisać w historię powszechną. W efekcie wydarzenie ważne, ale przecież nie przesądzające – jakim było przyjęcie dowództwa nad wojskiem – stało się historycznym dogmatem.

Polaryzacja polityczna sprawiła, że wrogie sanacji siły polityczne zaczęły szukać własnych symboli. I tak, Polska Partia Socjalistyczna akcentowała powstanie rządu Daszyńskiego i świętowała 7 listopada. Byli też zwolennicy czczenia 7 października, a nawet 5 listopada 1916 r. Dla obozu narodowego świętowanie „sanacyjnego" 11 listopada było nie do przyjęcia. Piłsudski był wszak wieloletnim przeciwnikiem Dmowskiego, a obóz narodowy utracił

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

NAC

Sadzenie pamiątkowych drzewek na terenie koszar 6. Pułku Artylerii Lekkiej z okazji 15-lecia odzyskania niepodległości. Kraków, 5 listopada 1933 r.

władzę właśnie dzięki temu pierwszemu. Dla radykałów z ONR, którą to organizację sanacja zdelegalizowała w 1934 r. po trzech ledwie miesiącach jej działalności, świętowanie 11 listopada w ogóle nie wchodziło już w rachubę.

Ukoronowaniem polityki historycznej sanacji było ustanowienie 11 listopada Świętem Niepodległości. Stało się to dwa lata po śmierci Piłsudskiego. Ustawa z 1937 r. głosiła: „Dzień 11 listopada, jako rocznica odzyskania przez Naród Polski niepodległego bytu państwowego i jako dzień po wsze czasy związany z wielkim imieniem Józefa Piłsudskiego, zwycięskiego wodza narodu w walkach o wolność Ojczyzny – jest uroczystym Świętem Niepodległości".

Niemal rok później nienaruszalność pozycji Marszałka stała się prawem. Ustawa o ochronie jego imienia stanowiła: „Pamięć czynu i zasługi Józefa Piłsudskiego – Wskrzesiciela Niepodległości Ojczyzny i Wychowawcy Narodu – po wsze czasy należy do skarbnicy ducha narodowego i pozostaje pod szczególną ochroną prawną. (...) Kto uwłacza Imieniu Józefa Piłsudskiego, podlega karze więzienia do lat 5".

Skreślone i zamazywane

Przed 1939 r. Święto Niepodległości obchodzono tylko dwukrotnie. W czasie II wojny światowej data utrzymała swą symbolikę, nawet wśród części wrogów sanacji. Ale dla zwycięskich po przełomie 1944/45 komunistów była nie do przyjęcia: skreślono ją z kalendarza świąt już w 1945 r. i zastąpiono Świętem Odrodzenia Polski, obchodzonym 22 lipca (tego dnia w 1944 r. podległy Stalinowi Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego wydał swój manifest).

W następnych dekadach władze PRL zamazywały 11 listopada, eksponując inne rocznice. Niepodległość wywodzono z rewolucji bolszewickiej, a do grona „bohaterów wolności" włączono Juliana Marchlewskiego i Feliksa Dzierżyńskiego (w 1920 r. to oni mieli objąć władzę nad pokonaną przez bolszewików Polską). Dla Piłsudskiego miejsca nie było. W latach 60. komuniści próbowali zaadaptować do swej tradycji Daszyńskiego, wskazując na 7 listopada jako na datę odzyskania niepodległości – wciąż jednak przedstawiając to jako wydarzenie, któremu impet mieli nadać bolszewicy.

Nieco inaczej było już w 1978 r.: w rozciągniętych na kilka dni uroczystościach pojawił się 11 listopada, przypadającą na ten dzień sobotę uczyniono niepracującą (soboty były wtedy dniami roboczymi). Ale Piłsudski wciąż był na cenzurowanym.

W końcu lat 70. o rocznicy zaczęła przypominać rodząca się opozycja. Demonstracja 11 listopada 1979 r. dla jej organizatorów zakończyła się przed sądem. Sędzia warszawskiego Sądu Rejonowego Andrzej Kryże uznał, że oskarżony „demonstracyjnie okazywał lekceważenie dla Narodu Polskiego przez to, że w miejscu szczególnego kultu Polaków, jakim jest Grób Nieznanego Żołnierza – symbol poległych w walce o odzyskanie niepodległości – w swoim wystąpieniu odnosił się bez szacunku i pogardliwie wobec Narodu Polskiego, podnosząc mu m.in., że nie jest narodem wolnym i niepodległym". Wyrok na Bronisława Komorowskiego, bo m.in. o nim mowa, skasował dopiero Sąd Najwyższy w 2016 r.

Powrót

Marszałek został „zrehabilitowany" dopiero w 1988 r., w 70. rocznicę: cenzura zwolniła nadzór i prasę zalały jego portrety. Po raz pierwszy od 60 lat trafił on też na znaczek pocztowy: wśród ośmiu „ojców niepodległości" (Piłsudski, Paderewski, Daszyński, Witos, Narutowicz, Wojciechowski, Korfanty) znalazło się tu nadal miejsce dla... Marchlewskiego. Dzierżyńskiego władze PRL wolały już nie przypominać, ale wciąż brakowało Dmowskiego. 11 listopada 1988 r. przewodniczący Rady Państwa i pierwszy sekretarz KC PZPR Wojciech Jaruzelski przewodził uroczystościom na ówczesnym placu Zwycięstwa (dawniej i dziś – placu Piłsudskiego).

Owocem zachłyśnięcia atmosferą obchodów było przywrócenie rocznicy do kalendarza świąt państwowych. Dokonał tego jeszcze ostatni sejm PRL: 15 lutego 1989 r. ustanowił Narodowe Święto Niepodległości („Dla upamiętnienia rocznicy odzyskania przez Naród Polski niepodległego bytu państwowego oraz walk pokoleń Polaków o wolność i niepodległość"). Ale posłanka-sprawozdawca wciąż zaklinała rzeczywistość: „Łącznie ze Świętem Odrodzenia 22 lipca – Narodowe Święto Niepodległości stanowić będzie całościową formę upamiętniania rocznic najważniejszych w dziejach państwa polskiego". W ten sposób rok 1989 był jedynym, gdy świętowano państwowo i 22 lipca, i 11 listopada. Rok później komunistyczne święto zniesiono.

W wolnej już Polsce 11 listopada stał się – wbrew ideologicznym sporom dwudziestolecia międzywojennego – jedną z dat najbardziej integrujących Polaków. Datą, w której łączą się Piłsudski i Dmowski, Paderewski i Daszyński, Witos i Korfanty oraz wielu, wielu innych – socjalistów i piłsudczyków, endeków i ludowców.

Inna sprawa, że chciałbym zobaczyć ich zdziwienie, gdyby dowiedzieli się, że jest to ich wspólne święto. ©

DR HAB. ANDRZEJ ZAWISTOWSKI *jest adiunktem Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej SGH. W latach 2012-16 dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN.*

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania.

Wszystkie unie Europy

ROBERT I. FROST, HISTORYK:

W każdej unii rozdzielenie kompetencji władzy centralnej i lokalnej jest trudne. Unia Europejska staje dziś przed podobnymi problemami jak kiedyś Rzeczpospolita Obojga Narodów.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Skąd u szkockiego historyka zainteresowanie dawną Polską?

ROBERT I. FROST: Nie chciałem pracować w sklepie meblowym ojca w Edynburgu. Po trzecim roku studiów zamarzyły mi się wakacje i zobaczyłem na uniwersytecie plakat szkoły letniej w Krakowie. Profesor, który opiniował mój wniosek, był ekspertem od XVI-wiecznej Hiszpanii i bardzo zachęcał mnie, abym zainteresował się Polską.

Jak się Panu podobała pierwsza wizyta?

Na szkole letniej w Krakowie bawiłem się świetnie. To był 1979 r., czasy schyłkowego Gierka. Zacząłem się uczyć polskiego i niedługo później, po skończeniu studiów, wróciłem do Krakowa na kurs językowy w Instytucie Badań Polonijnych. Mój polski był wtedy na poziomie „poproszę piwo", ale szybko nadrabiałem. Potem wróciłem do Londynu, gdzie zacząłem badania pod kierownictwem prof. Normana Daviesa, aby w 1981 r. znów na rok trafić do Polski.

Szkot zajmujący się Rzecząpospolitą szlachecką w czasie stanu wojennego?

Zaskakujące, ale nie napotkałem na żadne problemy, przynajmniej w zakresie badań. Natomiast warunki życia codziennego były... ciekawe. Miałem swobodny dostęp do materiałów, gdyż zajmowałem się odległą przeszłością. Zresztą wydaje mi się, że polscy historycy w tamtych czasach lepiej zachowali etos naszego fachu niż gdziekolwiek indziej w bloku wschodnim. Mimo ograniczonego dostępu do literatury zachodniej, poziom ich prac był wysoki – biorąc pod uwagę warunki, w których musieli pracować.

Historia unii polsko-litewskiej ma dla Brytyjczyków jakieś znaczenie?

Nieszczególnie. Sam zacząłem od doktoratu o potopie szwedzkim i rządach Jana Kazimierza. Ale zawsze interesowałem się uniami. Sam jestem obywatelem jednej z nich, a w 1979 r. po raz pierwszy brałem udział w referendum dotyczącym szkockiego parlamentu. Czytając prace o Rzeczypospolitej Obojga Narodów uświadomiłem sobie, że zarówno Polacy, jak i Litwini piszą o niej wyłącznie ze swojej dzisiejszej narodowej perspektywy. Dlatego gdy w latach 90. redaktor wydawnictwa Oxford University Press zaproponował, abym napisał historię nowożytnej Polski, odmówiłem. Rzeczpospolita była unią i z tej perspektywy należy o niej pisać.

REBIS / MATERIAŁY PRASOWE

ROBERT I. FROST (ur. 1960) jest Szkotem. Ukończył Uniwersytet w St Andrews, doktorat obronił na UJ. Kieruje katedrą historii na Uniwersytecie w Aberdeen. Bada nowożytną historię Europy Wschodniej i Północnej, a także dzieje Rzeczypospolitej szlacheckiej. Niedawno nakładem Rebisu ukazał się po polsku pierwszy tom jego monografii „Oksfordzka historia unii polsko-litewskiej", w której opisuje losy Polski i Litwy od unii w Krewie w 1385 r. do unii lubelskiej w 1569 r.

W swojej książce pisze Pan o niej bardzo pochlebnie.

Unia polsko-litewska była nie tylko niezwykle ciekawym, ale też bardzo udanym projektem. Nigdy się nie rozpadła, zakończyły ją dopiero rozbiory. Nie było żadnego referendum ani litexitu. Akt unii lubelskiej z 1569 r. był genialny: łączył dwa państwa w jedną Rzeczpospolitą, prawdziwą wspólnotę obywatelską. Ten system oczywiście nie był demokratyczny, tylko konsensualny, na bazie samorządu. Niemniej Litwini i Rusini od połowy XVI w. mieli swoje sejmiki i sądy elekcyjne. Natomiast system ten na ziemiach wschodnich stworzył katolicką elitę mówiącą po polsku. Historycy na Litwie mówią dziś o polonizacji, z czym się nie do końca zgadzam. Bo co by to miało oznaczać? Dominację języka polskiego? Mówię po angielsku, choć nie jestem Anglikiem. Ale w XIX w. coraz trudniej było zachować podwójną tożsamość.

Pisarka Kristina Sabaliauskaitė – Litwinka polskiego pochodzenia, autorka powieści o Rzeczypospolitej w XVII i XVIII w. – mówiła, że na Litwie okres unii traktowany jest jako czas upadku. Chętniej mówi się o Litwie pogańskiej albo XIX-wiecznej.

Historycy na Litwie coraz częściej przyznają jednak, że okres Rzeczypospolitej był dla ich państwa ważny. Śmiem nawet twierdzić, że bez unii lubelskiej nie zaistniałaby nowoczesna Litwa. Pod koniec XIV w. wybór był jasny. Wszyscy starsi synowie Olgierda byli prawosławni i mówili po rusku – to był język pisany, więc coraz chętniej stosowany wśród ówczesnych litewskich elit. Dymitr Doński, wielki książę moskiewski, namawiał Jagiełłę na prawosławie. Ale ten zdawał sobie sprawę, że w dłuższej perspektywie to będzie koniec Litwy. Unia z Polską [zawarta w 1385 r. w Krewie, początkowo jako unia personalna obu państw – red.] była jedyną drogą.

Unia z Koroną pomogła uratować litewskość?

Dokładnie tak, bo Rzeczpospolita nie była imperium, jak twierdzą niektórzy, ale, powtórzę, systemem konsensualnym. Litwini dobrowolnie podpisali wszystkie unijne dokumenty, a sam akt unii był w dużej mierze zwycięstwem litewskiej koncepcji, w której oba państwa formal-

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

nie i prawnie pozostawały odrębne. Litwa nigdy nie stała się częścią Polski. Często mówi się o aneksji Ukrainy przez Zygmunta Augusta w efekcie unii lubelskiej, ale z tym też się nie zgadzam, bo Podlasie i województwa ukraińskie dobrowolnie podpisały swoje własne traktaty unijne z Polską. Zarówno Litwini, jak i Rusini chcieli być w unii z Polską.

Czemu nie powstała zatem Rzeczpospolita Trojga Narodów?

Religia okazała się dużą przeszkodą. Kościół w Polsce do pewnego momentu był tolerancyjny, ale wraz z kontrreformacją wiele się zmieniło. Unia brzeska z 1596 r., mająca połączyć katolicyzm z prawosławiem, była świetnym pomysłem, ale spóźnionym. Dążyli do niej już Jagiełło i Witold – gdyby faktycznie została zatwierdzona w czasie soboru we Florencji w połowie XV w., historia tej części świata potoczyłaby się zupełnie inaczej.

A gdyby w późnym średniowieczu Korona Polska zrezygnowała w ogóle z ekspansji na wschód? Może bylibyśmy w korzystniejszym układzie geopolitycznym?

Ciekawsze wydaje mi się pytanie, co by było, gdyby Rzeczpospolita nie upadła i przetrwała do XIX w. Może wtedy nie doszłoby do największych tragedii wieku XX? Zresztą: jeśli nie na wschód, to gdzie? Po wojnach z zakonem krzyżackim zachodnia granica Polski była najstabilniejsza w całej ówczesnej Europie. Walka z Niemcami nie miała sensu. Dla szlachty w XVI w. było tylko ważne, by Niemiec nie został królem.

Czego się bali?

Zdominowania przez kulturę niemiecką. Prawo niemieckie obowiązywało w miastach i w Prusach Królewskich. Widzieli też postępującą germanizację w Czechach i na Węgrzech.

Czy ten model samorządności niecentralnej, który w Polsce nazywamy demokracją szlachecką, był w skali Europy na tyle unikalny, jak lubimy sobie wyobrażać?

Zdecydowanie był wyjątkowy. Współczesna Unia Europejska staje dziś przed podobnymi problemami jak wtedy Rzeczpospolita. W każdej unii rozstrzygnięcie, co powinno zależeć od centrum, a co ma być załatwiane na szczeblu lokalnym, jest trudne. Np. zwolennicy brexitu nie rozumieją systemu federacyjnego, uważają go za kontrolę sprawowaną z centrum. Być może dlatego, że angielski system był scentralizowany już od XI w., od czasów Wilhelma Zdobywcy.

Jest więcej podobieństw między tymi dwiema uniami?

W Radzie Unii Europejskiej też funkcjonuje zasada *liberum veto*. To nie był taki zły pomysł, jak się często sądzi. Istniała w Rzeczypospolitej pokusa, by wprowadzić głosowanie większościowe, ale Litwini się sprzeciwiali, bojąc się polskiej dominacji. Jednomyślność bywa źle rozumiana – jej brak to przecież zaproszenie do długiej rozmowy. Proces docierania się przez dyskusję jest niezbędny. Tak funkcjonuje Unia Europejska. A brexit uważam za szaleństwo.

Zaczęło się też niestety mówić o polexicie...

Akurat Polacy powinni znać się na uniach: ta polsko-litewska była jedną z najdłuższych w historii i z punktu widzenia jej obywateli naprawdę udaną. Historycy w Polsce mówią o trójkącie król-szlachta-magnateria. Tymczasem w rzeczywistości istniały różne frakcje. Szlachta zasadniczo popierała króla, gdyż ten chronił ją przed magnatami. Królowie zaś byli silniejsi, niż się pisze w podręcznikach. Do połowy XVII w. Rzeczpospolita funkcjonowała sprawnie. Tymczasem często jest niesłusznie oceniana z perspektywy późniejszych rozbiorów.

Spór o rozbiory jest w Polsce wciąż tematem dyskusji.

Ludzie żyjący w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie wiedzieli, że nastąpią rozbiory. Oni widzieli sprawne państwo, w którym oczywiście nie wszystko funkcjonowało idealnie. Ale kryzys jest w demokratycznym czy konsensualnym państwie elementem stałym. W XVIII w. Rzeczpospolita już nie funkcjonowała dobrze, ale pod koniec jej istnienia nastąpiły wielkie reformy. Paradoksalnie, bez nich prawdopodobnie nie doszłoby do rozbiorów. Prusom zależało, by Rzeczpospolita nie urosła w siłę. Majowa konstytucja z 1791 r. niebezpiecznie przypominała rewolucję francuską, dlatego trzeba było ją zadusić w zarodku.

W przedmowie do polskiego wydania Pana książki znalazłem cytat: „Historia to nie to, co myślałeś, ale to, co z niej pamiętasz". Co Polacy pamiętają ze swej historii?

Głównie bohaterów i wielkie bitwy, jak Wiedeń czy Chocim. Nie zapominają też o zdrajcach, np. Januszu i Bogusławie Radziwiłłach, choć tu wiele pomógł Sienkiewicz. Każdy naród tworzy podobne legendy o przeszłości.

A o czym zapomnieli?

O licznych dobrych stronach Rzeczypospolitej szlacheckiej. Bo skoro nastąpiły rozbiory, to uznano, że wcześniej był tylko chaos. A to nieprawda. Zapominają niestety też o wielu ciemniejszych stronach tamtego państwa, np. sposobie traktowania chłopów czy rosnącej nietolerancji religijnej wynikającej z kontrreformacji. Protestanci i prawosławni stali się obywatelami drugiej kategorii. Dlaczego Bohdan Chmielnicki się zbuntował? Bo sądził, że jako prawosławny nie może liczyć na sprawiedliwy proces w sądzie, gdzie wszyscy sędziowie byli rzymskimi katolikami. Prawosławni szlachcice na Ukrainie byli stopniowo wykluczani ze wspólnoty obywatelskiej. Samorząd także może mieć swoją mroczną stronę.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim w sprawie I Ns 221/18 toczy się postępowanie z wniosku Anny Bożeny Gosik o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Kazimierzu Stępniu, s. Wacława i Feliksy, ur. 22 stycznia 1939 r. w Sporniaku, zm. 27 marca 2017 r. w Poniatowej, ostatnio stale zamieszkałym w Palikijach Pierwszych, po którym pozostał spadek, w skład którego wchodzi gospodarstwo rolne położone w Palikijach Pierwszych.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców po Teresie Jóźwik, c. Marii i Krzysztofie Jóźwiku, s. Marii, do zgłoszenia się i udowodnienia nabycia spadku w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

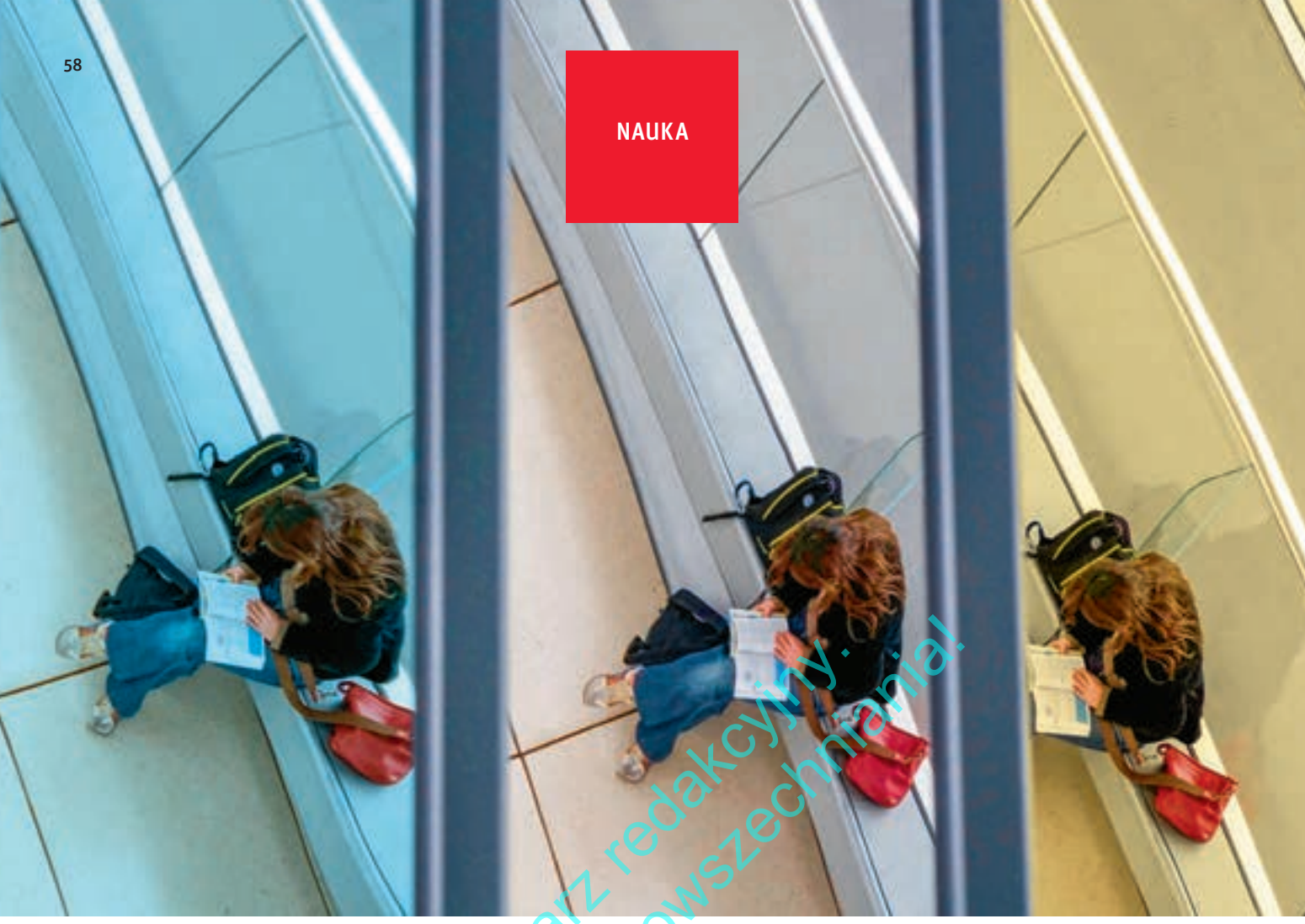

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

CZYTAJĄCY W MYŚLACH

Badania Johna-Dylana Haynesa mogą wprawiać w osłupienie najbardziej awangardowych filozofów i zawstydzić nawet najbardziej kreatywnych futurystów.

ŁUKASZ KWIATEK

Kognitywiści muszą z pewnym rozbawieniem posługiwać się terminem „czytanie w myślach" (ang. *mind reading*). Nie chodzi im w końcu o żadne telepatyczne zdolności, którymi można się chwalić na magicznych pokazach. Dla naukowców „czytanie w myślach" to wnioskowanie lub odczuwanie (toczy się wielka debata, które z tych słów jest właściwe) na podstawie obserwacji zachowania drugiej osoby, na czym skupia ona uwagę, jakie przeżywa emocje lub jakie są jej zamiary. Nie muszę zatem odgadnąć na oczach podekscytowanej publiczności, o jakim kolorze albo przedmiocie pomyślała przypadkowa (lub, idąc na łatwiznę – podstawiona) osoba, by zgodnie z naukowym żargonem czytać w jej myślach. Wystarczy, że nacisnę przycisk otwierający drzwi tramwaju, gdy zobaczę, jak ktoś pędzi na złamanie karku w kierunku przystanku.

Czytanie w myślach jest ważnym obszarem badawczym, obleganym przez przedstawicieli różnych gałęzi nauki. Bada się m.in. procesy psychologiczne, które się na nie składają (np. automatyczne i nieświadome naśladowanie cudzej mimiki), neuronalne mechanizmy leżące u ich podłoża (np. słynne neurony lustrzane) czy zaburzenia, które czytanie w myślach utrudniają (autyzm). Sprawdza się także, kiedy ta umiejętność się rozwija u dzieci i czy potrafią się nią posługiwać inne zwierzęta (małpy człowiekowate – owszem).

Neurobiolog John-Dylan Haynes, dyrektor Berlińskiego Centrum Zaawansowanego Neuroobrazowania, też używa w swoich publikacjach pojęcia „czytanie

w myślach". Ale jako jeden z nielicznych robi to w sensie znacznie bliższym temu, co widzimy podczas magicznych pokazów albo w filmach *science fiction*.

Pomyśl o samochodzie

W najprostszym eksperymencie zespół Haynesa wyświetla osobom leżącym w skanerze do neuroobrazowania sekwencję obrazków przedstawiających np. ludzką twarz, parę butów, owczarka niemieckiego, bukiet róż itd. Przetwarzając takie sygnały wzrokowe, mózg przyjmuje charakterystyczne wzorce aktywności – widok każdego z obrazków aktywuje różne sieci neuronów. Nie tylko w korze wzrokowej w tylnej części mózgu – także np. w korze ruchowej (zwłaszcza gdy obserwujemy sceny ruchu) w płacie czołowym, albo w zakręcie wrzecionowatym w korze skroniowej, gdy obserwujemy twarze. Niemal każdy obrazek wywołuje zresztą rozległe aktywacje wielu sieci neuronów rozproszonych po całym mózgu. Dzięki skanerowi jesteśmy w stanie te wzorce aktywności identyfikować i przypisywać poszczególnym ilustracjom.

Następna część zadania polega na „nakarmieniu" algorytmu komputerowego zestawem danych złożonych z obrazka i odpowiadającego mu wzorca aktywności mózgu. Potem, gdy programowi podsuniemy same skany, będzie w stanie przyporządkować do nich odpowiednie obrazki – czyli rozpoznać, na co patrzyła osoba, której mózg przeskanowano. Na razie nie brzmi to może zbyt spektakularnie – ale magia zacznie się zaraz.

Zespół Haynesa wykazał bowiem, że odpowiednio przyuczony komputer potrafi odtworzyć schemat płynnej animacji lub filmu, które wyświetlano osobom badanym, jedynie na podstawie wyniku skanu pracy ich mózgu przeprowadzonego w czasie oglądania animacji. Zrekonstruowane animacje nie mają ogromnej rozdzielczości – na razie to raczej kolorowe plamy i schematyczne wzory, ale i tak frapująco podobne do tego, co pierwotnie obserwowali badani. Nie ma wątpliwości, że wraz z rozwojem technik neuroobrazowania – gdy za pomocą nieinwazyjnych skanerów będziemy mogli odczytywać aktywność niewielkich skupisk neuronów (lub nawet pojedynczych komórek), uda się znacznie precyzyjniej rekonstruować oglądane animacje.

Zespołowi Haynesa udało się także udowodnić, że podobne wzorce aktywności wywołuje zarówno oglądanie obrazka z jakimś przedmiotem albo sceną, jak i wyobrażanie sobie takiego samego przedmiotu czy sceny. Program komputerowy wyposażony w zestaw danych pochodzących z pierwszego eksperymentu (gdy badani oglądali obrazki) potrafi zatem rozpoznawać na podstawie analizy wzorców aktywności mózgu, z niemal stuprocentową skutecznością, o czym dana osoba myślała (co sobie wyobrażała), gdy leżała w skanerze. Co istotne, uczestnik eksperymentu nie musiał być specjalnie instruowany przez badaczy. Po prostu poproszono go, by pomyślał o jakimś przedmiocie czy scenie – dowolnych.

Na herbatce u babci

Haynes lubi porównywać swoją pracę do działalności kryptologów. Przy czym maszyna szyfrująca, której kod trzeba złamać, w tym przypadku nie składa się jak niemiecka Enigma z wirników, kół zębatych, bębnów i kabli, ani nawet z lamp elektronowych czy tranzystorów – ale ze skomplikowanych sieci ok. 86 mld neuronów.

Każda nasza myśl, każdy stan mentalny, charakteryzuje się specyficznym wzorcem aktywności neuronów. Czy jesteśmy zadowoleni z efektów naszej pracy, rozbawieni sceną w skeczu Monty Pythona, zrelaksowani na plaży, przerażeni trudnością zadania na maturze z matematyki, oburzeni hipokryzją wpływowego polityka; czy oglądamy mecz swojej ulubionej (albo znienawidzonej) drużyny, która właśnie strzela lub traci bramkę; czy obgadujemy sąsiada albo sąsiadkę, czy kłócimy się z żoną albo przekomarzamy z byłym mężem – tym wszystkim stanom mentalnym towarzyszą odmienne wzorce aktywności mózgu. Haynes powtarza, że jego celem jest rozszyfrowanie, co nimi wszystkimi rządzi i jaka zasada sprawia, że dany wzorzec aktywności neuronów oznacza: „jem jabłko i oglądam konkurs skoków narciarskich, licząc na dobry występ Kamila Stocha", a inny „już mnie rozbolał brzuch, ale sięgnę po jeszcze jedno ciastko, babci się przecież nie odmawia".

Na pierwszy rzut oka to zadanie beznadziejnie trudne, ale pierwsze kroki, a może raczej kroczki, już zostały wykonane. Zespół Haynesa wykazał bowiem, że wzorce aktywacji neuronów nie są całkowicie przypadkowe, a mózg faktycznie ma pewien system kodowania pojęć i reprezentowania myśli. Podobne sceny czy przedmioty wywołują podobne aktywacje, a jedne aktywacje można w jakimś zakresie uogólniać na inne. W swoich wykładach Haynes obrazuje to zjawisko następującym przykładem: pewien wzorzec aktywności wiąże się z wyobrażaniem sobie samochodu, inny – roweru. Gdy udostępnimy komputerowi te dane, a następnie zapytamy go, co może oznaczać trzeci wzorzec – trochę przypominający wzorzec aktywności typowy dla roweru, a trochę ten odpowiadający samochodowi, komputer z dużym prawdopodobieństwem będzie potrafił poprawnie odpowiedzieć, że chodzi o motocykl. Mimo że nigdy wcześniej nie widział wzorca aktywności mózgu towarzyszącego wyobrażaniu sobie motocyklu.

Nic dziwnego więc, że rzesza filozofów – a pewnie również szefów wywiadu, prawników czy marketingowców – uważnie śledzi postępy dokonywane w tej dziedzinie. W przyszłości ludzkość może dysponować narzędziami, które zmienią reguły gry; obedrą z prywatności to, co najbardziej intymne: nasze własne myśli. Ale droga do tego jest bardzo długa.

To wcale nie moja decyzja

Trudno jednak powstrzymać ludzką ciekawość i ujarzmić spekulacje, zwłaszcza że badania zespołu Haynesa i innych uczonych ujawniły już wiele fascynujących cech naszych mózgów. Na przykład to, że występują znaczne różnice między wzorcami aktywności poszczególnych ludzi, nawet jeśli wywołamy u nich podobne stany mentalne. Jeśli dany wzorzec towarzyszy wyobrażaniu sobie przeze mnie butelki wody mineralnej, nie oznacza to wcale, że jeśli ty pomyślisz o wodzie mineralnej, twój mózg wykaże podobny wzorzec aktywności. Jak można się spodziewać, nasze indywidualne doświadczenia, przeżycia, wiedza, otoczenie kulturowe – krótko mówiąc, cała historia naszego życia wpływa na to, jak nasz mózg konstruuje konkretne myśli (stąd również wzorce aktywności towarzyszące konkretnym myślom zmieniają się w czasie). Pewnie dlatego – jak zauważył w jednym z publicznych wykładów Haynes – często tak trudno nam się dogadać. Filozofowie mogą machać rękami, że wiedzą to wszystko od dawna, ale powinni zarazem przyznać, że ustalenie mózgowego komponentu naszych różnic w myśleniu dodaje tej wiedzy dodatkowego uzasadnienia. Oczywiście te różnice sprawiają, że wszyscy drżący o nieautoryzowany wyciek własnych myśli mogą ↦

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

MACIEJ FIGIEL / ALAMY STOCK / BEW

↦ nieco odetchnąć – budowa uniwersalnego urządzenia do czytania w głowie będzie w praktyce piekielnie trudna, o ile w ogóle wykonalna.

Niejako przy okazji Haynes narobił zamieszania również w dyskusjach dotyczących istnienia wolnej woli. Od lat 80. XX w., od czasów słynnych eksperymentów Benjamina Libeta, wiadomo było, że moment uświadomienia sobie podjęcia bardzo prostej decyzji (o naciśnięciu przycisku) poprzedzony jest specyficzną aktywnością mózgu (w korze przedmotorycznej), którą można zmierzyć przy pomocy elektroencefalografu (EEG). Oglądając zapis tej aktywności, można z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć, że za ułamek sekundy wykonany zostanie dany ruch – i to jeszcze przed tym, zanim wykonawca tego ruchu uświadomi sobie swój własny zamiar. W tradycyjnych interpretacjach uświadomienie sobie zamiaru wykonania jakiejś czynności utożsamiano z momentem podjęcia wolnej decyzji. Ale jeśli decyzja faktycznie ma być wolna, to czemu można ją przewidzieć, obserwując wcześniejszą aktywność mózgu? Ustalenia Libeta nie przekonały wszystkich, że wolna wola nie istnieje (że jesteśmy tylko świadkami decyzji podejmowanych automatycznie przez nasze mózgi), ale zmusiły filozofów do poważnego przemyślenia, jak w ogóle powinniśmy rozumieć to pojęcie.

Haynes, korzystając z nowocześniejszych metod neuroobrazowania niż Libet (m.in. fMRI), chciał zbadać, jak takie stany mentalne, intencje, są kodowane w mózgu. Ku jego zdziwieniu wyniki pokazały, że pewien wzorzec aktywności mózgu pozwala przewidywać zachowania aż do 5-10 sekund, zanim człowiek uświadomi sobie, że zamierza coś zrobić. Z milisekundami, o których mówił Liebet, można jeszcze jakoś żyć. Ale 5-10 sekund? Ja często nie planuję przyszłości z takim wyprzedzeniem!

Co więcej, w eksperymentach Haynesa ludzie podejmowali bardziej złożone decyzje niż ta o naciśnięciu przycisku w dowolnym momencie. To mogły być nawet decyzje dotyczące abstrakcyjnych czynności, takich jak dodawanie albo odejmowanie. Zespół Haynesa, obserwując wzorce aktywności mojego mózgu, i tak byłby w stanie z kilkusekundowym wyprzedzeniem – i z dużą, choć ograniczoną skutecznością – przewidzieć, które z tych działań wykonam. Oczywiście codziennie podejmujemy mnóstwo znacznie bardziej skomplikowanych decyzji, a z wieloma zmagamy się przez wiele dni (wybór pracy, kierunku studiów, partnera, sposobu leczenia itd.). Zawsze można się jednak zastanawiać, czy wyników badań Haynesa nie da się na takie sytuacje ekstrapolować. Może, pomimo naszego przekonania o byciu panami swojego losu, o wszystkim i tak decydują zachodzące w naszych mózgach procesy, których nie jesteśmy świadomi?

YOUTUBE

U góry: film wyświetlany badanym. Na dole: film zrekonstruowany na podstawie analizy wzorców aktywności ich mózgów.

Pojedynek z mózgiem

Benjamin Libet argumentował za istnieniem wolnej woli, wskazując, że człowiek w czasie tych kilkuset milisekund, dzielących „przygotowawczą" aktywność mózgu od uświadomienia sobie decyzji o wykonaniu ruchu, ma niewielkie „okienko" na anulowanie swojego zamiaru – zaniechanie planowanego ruchu. Wolna wola – stwierdził Libet – przypomina możliwość postawienia weta. Haynes postanowił przetestować tę zdolność stawiania weta eksperymentalnie – projektując pomysłową „grę w pojedynek".

Badani podłączeni byli do urządzenia do neuroobrazowania (w tym przypadku posługiwano się techniką elektroencefalografii – EEG), a ich zadanie było proste – naciśnięcie nogą przycisku znajdującego się na podłodze. W tym czasie badani obserwowali lampkę: jeżeli nacisnęli przycisk w momencie, gdy lampka była zgaszona, otrzymywali punkt. Jeżeli zrobili to wtedy, gdy lampka się świeciła – tracili punkt. Na razie zadanie brzmi prosto – ale to oczywiście nie wszystko. Aparaturę do EEG podłączono bowiem do komputera, który analizował w czasie rzeczywistym wzorce aktywności mózgu osób badanych. Gdy komputer wychwycił specyficzny wzorzec poprzedzający wykonanie ruchu, zapalał lampkę. Chodziło więc o sprawdzenie, czy osoby badane potrafią wymanewrować komputer – nacisnąć przycisk, gdy ten nie będzie się tego spodziewał. Wyniki – zgodnie z przewidywaniami Libeta – pokazały, że do pewnego stopnia to faktycznie możliwe. Prawo weta może zadziałać, choć i tak istnieje „moment, od którego nie ma już odwrotu" – dlatego komputer, gdy zapalał lampkę odpowiednio późno, znacznie częściej zdobywał punkty.

Choć aż prosi się o dalsze spekulacje, na tym etapie skorzystać trzeba chyba z możliwości weta i posłuchać sprawcy zamieszania. Powtarza on jak mantrę: pozwólcie nam na dwie dekady badań, potem zbierzemy wyniki i zaprosimy wszystkich do dyskusji. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP

„Tygodnik Powszechny" zaprasza na spotkanie z Johnem-Dylanem Haynesem

W CZWARTEK 22 LISTOPADA O GODZ. 18.30 profesor wygłosi wykład zatytułowany „O odczytywaniu myśli i wolnej woli" w auli głównej budynku WPiA UJ przy ul. Krupniczej 33A. Na wykład obowiązują bezpłatne wejściówki (szczegóły na Facebooku Centrum Kopernika). Wykład będzie tłumaczony symultanicznie.

Transmisja z wykładu na **wielkiepytania.pl/transmisja** oraz kanale **youtube.com/copernicuscenter**. Prof. JOHN-DYLAN HAYNES jest gościem specjalnym trzeciej edycji „Wielkich Pytań w Krakowie", organizowanych przez Fundację Centrum Kopernika i Uniwersytet Jagielloński. Projekt jest współfinansowany ze środków Miasta Kraków.

WOJCIECH

Bonowicz: *Pomnik*

Idea stawiania pomników jest mi generalnie obca. Najwięksi szczęściarze pomników nie mają; w najlepszym razie pamięć o nich zapisuje się w nazwach ulic lub szkół, czasem wmurowuje się tablice w miejscach, w których mieszkali lub pracowali. Podoba mi się idea rzeźb-ławeczek, pod warunkiem, że sławne postaci na nich przedstawione nie są skarykaturowane – a, niestety, często są. Celem ławeczki nie jest olśniewanie przechodniów czyjąś wielkością, przeciwnie – chodzi o to, żeby wielkość zeszła między ludzi, tam zresztą, gdzie jej miejsce. Wielkość można wtedy pogłaskać lub zrobić jej Benny Hilla, usiąść na kolanach lub objąć ramionami. Można też w upojeniu alkoholowym przytulić się do niej i zasnąć.

Bardzo lubię na Plantach ławeczkę z figurami Stefana Banacha i Ottona Nikodyma pogrążonych w dyskusji o całkach. Ze zwróconymi ku sobie matematykami nie da się właściwie sfotografować, zawsze będzie się wyglądało jak przypadkowy słuchacz, który daremnie usiłuje dołączyć do ich sporu. Jest to zatem ławka w najgłębszym sensie tego słowa edukacyjna: ludziom naprawdę wielkim nie zależy na tym, by było ich widać i żeby było o nich głośno. Ludziom naprawdę wielkim – ilu jest takich? może wcale nie tak mało? – jest to doskonale obojętne.

Niemniej przy całej mojej niechęci do pomnikomanii muszę przyznać, że przez lata chodziła za mną idea pewnego pomnika – a teraz, gdy zmarł profesor Jerzy Wyrozumski, mogę o niej publicznie powiedzieć. Są takie obrazy, które wpływają na całe życie człowieka. W sytuacjach, w których masz wątpliwości, jak się zachować, w co wierzyć, czego się trzymać, pamięć podsuwa stosowny obraz i rozwiewa twoje niepokoje.

W 1988 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim trwał strajk studentów. Do rządzących ówczesną Polską docierało powoli, że kres ich rządów jest bliski, niemniej od czasu do czasu – może z desperacji, może z wyrachowania, a może z przyzwyczajenia – sięgali jeszcze po przemoc. Przeciwko nam, studentom, wysłano oddziały ZOMO. Młodsze czytelniczki i czytelników, którzy uczyć się będą historii z nowych podręczników, informuję, że ZOMO to nie było to samo co KOD; uzbrojeni w pały, tarcze oraz gaz łzawiący funkcjonariusze mieli wejść do budynków uniwersyteckich i wyciągnąć z nich protestujących.

I wtedy do stojących przed Collegium Novum zomowców wyszedł profesor Wyrozumski, wówczas będący prorektorem. Maleńki jak rosomak, zaczął tłumaczyć, że teren uniwersytetu jest autonomiczny i nie można nań wkraczać bez zgody jego władz. A zgody nie ma. Strajk trwa, ale nic złego się nie dzieje, niczyje życie nie jest zagrożone. Wejście ZOMO byłoby pogwałceniem prawa i mogłoby doprowadzić do rozlewu krwi. Profesor tłumaczył, dowódcy słuchali, ktoś zrobił zdjęcie.

Zdjęcie to w setkach odbitek obiegło potem całą uczelnię. Żałuję, że zawieruszyło mi się gdzieś w papierach. Maleńki jak rosomak profesor stoi pomiędzy czterema byczkami w mundurach i spokojnie wykłada im swoje racje. Pod spodem ktoś umieścił napis: „*Plus ratio quam vis*" (Raczej rozumem niż siłą). Dewizę uniwersytetu.

Przez lata marzyłem, żeby sytuację uwiecznioną na zdjęciu przedstawiono w formie pomnika, dołączając wspomniany podpis. Niechby nawet stanął w miejscu, w którym się to rozegrało... Od zgłoszenia tego pomysłu powstrzymywała mnie obawa przed dyskusją, którą zapewne by wywołał. Dla jednych byłoby to przecież niedopuszczalne upamiętnienie ZOMO, inni z kolei domagaliby się, żeby scenę przedstawić mniej realistycznie: niech profesor będzie duży, a zomowcy mali. Albo niech sam profesor stoi i tłumaczy, a wokół niego niech będą jedynie cienie przeszłości. Nie chciałem tego przeżywać, więc siedziałem cicho.

A tak naprawdę siedziałem cicho, bo nie pozwalała mi przemówić wielka skromność Profesora. Czy raczej – skromna wielkość. Ten pomnik nie powstanie, bo wiem, że by go uraził. Ale scenę utrwaloną na zdjęciu zachowuję pod powiekami.

Przydaje mi się, jak mało która. ©

Egzemplarz redakcyjny
Nie do rozpowszechniania!

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

„CHŁOPI" W MIKOŁOWIE

W **piątek 23 listopada** RYSZARD KOZIOŁEK spotka się z uczniami I LO im. Karola Miarki w Mikołowie, żeby wspólnie przeczytać i porozmawiać o fragmentach „Chłopów" Władysława Reymonta.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

Uniwersytet ŁÓDZKI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego po raz kolejny odmówiło nam finansowego wsparcia „Lekcji czytania". Osoby, które chciałyby wesprzeć naszą akcję społeczną, zapraszamy do kontaktu z Fundacją: fundacja@tygodnik.com.pl

Mladen Martić i Olga Tokarczuk

Księgi ponadnarodowe

MLADEN MARTIĆ:

Lubię tłumaczyć pisarzy przesiąkniętych polskością. Ich książki interesują mnie bardziej niż te, które mogłyby powstać w dowolnym miejscu w Europie.

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

ALEKSANDRA WOJTASZEK: Niedawno ukazał się Pana chorwacki przekład „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk. To powieść totalna, i nie chodzi tylko o rozmiar.

MLADEN MARTIĆ: Tłumacze z tak zwanych mniejszych języków, również polskiego, rzadko otrzymują zlecenia. Są bardziej ambasadorami, a nawet komiwojażerami – sami muszą przekonywać wydawców do różnych pomysłów. W przypadku Olgi Tokarczuk było jednak inaczej. Wcześniej z wielką satysfakcją przełożyłem „Prowadź swój pług przez kości umarłych". Bardzo lubię kryminały, a to jest wybitne dzieło, nasycone wieloma treściami wychodzącymi poza ramy gatunku. Wciąż trwają negocjacje prawne, ale już zacząłem tłumaczyć „Biegunów". Paradoksalnie to chyba książka jeszcze bardziej wymagająca dla tłumacza niż „Księgi Jakubowe".

Dlaczego?

To powieść najlepiej opisująca naszą płynną nowoczesność. Narracja nieustannie się w niej zmienia, nie ma rytmu, za którym można podążać. Historia każdej postaci to zupełnie inny styl, pełen najróżniejszych aluzji literackich. Trzeba bardzo uważać na ujednolicenia, które mogłyby zniszczyć to, co najważniejsze.

Booker dał „Biegunom" drugie życie.

Ta książka z każdy rokiem zyskuje na aktualności. Kiedy znalazła się na długiej liście nominowanych do Bookera, powiedziałem mojemu wydawcy, żeby jak najszybciej kupił do niej prawa. Byłem pewien, że Tokarczuk wygra. Jednak Nobla chyba nie dostanie – dwie Polki w ciągu ćwierćwiecza to mało prawdopodobne. A szkoda, bo na niego zasłużyła. A raczej Nobel zasłużył na pisarkę pokroju Tokarczuk.

Udało się Panu zachować w przekładzie niezwykły język, ale też klimat „Ksiąg".

Koledzy z polonistyki, którzy chwalili tłumaczenie, przyznawali też, że język momentami ich zaskakiwał. Świadomie pozwoliłem sobie na ryzykowne czasem gry. „Księgi" napisane są w większości językiem współczesnym, tylko miejscami delikatnie zabarwionym XVIII wiekiem. Dlatego ja także nie dodawałem na siłę patyny dzisiejszemu chorwackiemu. Wykorzystywałem jednak bogactwo naszego języka – smutne, że wielu purystów językowych chętnie z niego rezygnuje. Dobrym przykładem są turcyzmy – wielu redaktorów nie zgodziłoby się na ich użycie, choć funkcjonują normalnie w języku. A bardzo mi pasowały do powieści rozgrywającej się blisko tureckiej granicy. Zawsze staram się jak najwierniej oddać to, co pisarz chciał przekazać swoim dziełem.

Wątki związane z polską historią są czytelne dla Chorwatów?

Lubię tłumaczyć pisarzy przesiąkniętych polskością. Znacznie mniej interesują mnie dzieła, które mogłyby powstać w dowolnym miejscu Europy. Wbrew pozorom Polaków i Chorwatów sporo łączy. Polska XVIII wieku była wielokulturowa, zamieszkana przez rozmaite narodowości – w Chorwacji przez wieki było podobnie. Ten ferment miał kluczowy wpływ na kształtowanie się naszych bogatych kultur. Teraz zostaliśmy tej wielokulturowości pozbawieni. Ale oba nasze narody wciąż lubią myśleć o sobie jako o centrum, wokół którego powinien kręcić się świat.

A słowiańskość? Czy to również może być wspólny element naszej tożsamości?

Powiedziałem kiedyś w wywiadzie, że Polacy i Chorwaci są braćmi, co wywołało lawinę krytyki. Słowiańskość nie jest w mojej ojczyźnie zbyt popularna, podobnie jak bycie bratem komukolwiek. Tymczasem, na dobre i na złe, nasze języki i kultury są sobie bliskie.

Wiele procesów historycznych zachodziło u nas podobnie, dzięki czemu również współczesne podziały w chorwackim i polskim społeczeństwie są analogiczne. Istnieje część konserwatywna, zapatrzona w przeszłość, i ta druga, bardziej otwarta na zmiany. No i oczywiście przemożny w obu przypadkach wpływ katolicyzmu.

ARCHIWUM PRYWATNE

Tokarczuk powiedziała kiedyś, że ma alergię na monokulturową figurę Polaka-katolika. W Chorwacji taka figura również zajmuje centralne miejsce.

Obydwa nasze narody mocno zubaża brak mniejszości. W Chorwacji ten stan utrzymuje się dopiero od dwudziestu lat, ale już widzę jego negatywny wpływ na literaturę i sztukę. W takich sytuacjach przewodnikiem po kulturze był dla mnie zawsze Witold Gombrowicz.

Otrzymał Pan nagrodę dla najlepszego tłumacza właśnie za przekład „Trans-Atlantyku".

To tłumaczenie było wyjątkowo wymagające. Tekst Gombrowicza jest stylizowany na barok, który w Chorwacji nigdy nie zaistniał w takim kształcie jak w Polsce. Ponadto wybitny tłumacz i polonista Zdravko Malić, mój profesor, jeden z pierwszych specjalistów od Gombrowicza, przetłumaczył w latach 70. kilkanaście stron „Trans-Atlantyku". Chciałem go uhonorować i swoim przekładem kontynuować jego dzieło, ale od tego czasu język chorwacki bardzo się zmienił. W przekładzie Malicia pojawiają się barokowe archaizmy, które po rozpadzie Jugosławii zostały ponownie, często bezkrytycznie, włączone do współczesnego chorwackiego standardu. Szczególnie w latach 90. kluczowy wpływ na język miała polityka – chciano odpodobnić chorwacki od serbskiego.

Jaką drogę Pan wybrał?

Malić przede wszystkim nie był purystą językowym, był poetą. Z bogactwa istniejących na tych terenach języków i dialektów wybierał słowa, które najlepiej odpowiadały jego językowej wrażliwości. Poszedłem w jego ślady. Barok w Chorwacji istniał w dwóch zupełnie odmiennych wariantach, również językowo – postanowiłem je połączyć. Udało mi się w ten sposób oddać gombrowiczowską zabawę z językiem, bohaterami i samym sobą. Przekład został bardzo dobrze przyjęty i jako pierwszy slawista od wielu lat otrzymałem wspomnianą nagrodę.

Powiedział Pan wtedy, że Gombrowicz jest w Chorwacji wciąż żywym autorem.

Gombrowicz jest odtrutką na współczesny chorwacki nacjonalizm. Stosunek Gombrowicza do narodu, ale też jego humor i ironia są nam bardzo bliskie. Gombrowicz podejmował też wiele kwestii, które z perspektywy współczesnego Chorwata są wciąż istotne – chociażby jego refleksje o Europie i zajmowanym w niej miejscu. Moje tłumaczenie „Autobiografii pośmiertnej" – wyboru tekstów Gombrowicza dokonanego przez Włodzimierza Boleckiego także spotkało się w Chorwacji ze sporym zainteresowaniem.

Gombrowicz czy Tokarczuk to już klasycy, ale w Chorwacji wydano też sporo autorów literatury popularnej, chociażby kryminały Zygmunta Miłoszewskiego i Marka Krajewskiego.

Trochę liczyłem na modę na polskie kryminały, ale jak na złość rynek zdominowali Skandynawowie. Polacy mają tu jednak małą, lecz wierną grupkę fanów. Ostatnio czerpię sporo radości z tłumaczenia Andrzeja Sapkowskiego. Nigdy nie przepadałem za *fantasy*, ale okazało się, że Sapkowski to świetny pisarz – uniwersalny, a przy tym bardzo polski.

Jak z perspektywy Chorwata wygląda polski rynek książki?

Nasze problemy wynikają z tego, że mamy mały rynek wydawniczy. Wasze z tego, że macie duży, dlatego redaktorskie nożyczki i logika sprzedaży zbyt często dyktują pisarzom warunki. Często zakochuję się w pierwszych książkach danego autora lub autorki, a potem widzę, jak w kolejnych traci swoją niezależność i autentyczność. Niewielu, jak Tokarczuk, udaje się przez cały czas pozostać sobą.

© Rozmawiała w Zagrzebiu
ALEKSANDRA WOJTASZEK

MLADEN MARTIĆ (ur. 1949) jest chorwackim tłumaczem, dramaturgiem, krytykiem teatralnym i dziennikarzem. Przetłumaczył ponad 40 dramatów i sztuk teatralnych (m.in. Mrożka, Różewicza, Herberta, Grochowiaka i Głowackiego), publicystykę Kapuścińskiego, Baumana i Obirka, a także kilkanaście powieści współczesnych polskich autorów, m.in. Lema, Herlinga-Grudzińskiego, Bator, Tokarczuk, Myśliwskiego. Za przekład „Trans-Atlantyku" Gombrowicza otrzymał w 2009 r. Nagrodę im. Iso Velikanovicia.

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

REKLAMA

Nagroda Prezydenta Miasta Gdańska za Twórczość Translatorską im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego premiuje tłumaczy literatury na język polski. Przyznawana w dwóch kategoriach, za przekład dzieła i za całokształt twórczości translatorskiej, służy podniesieniu zarówno prestiżu tłumacza, jak i rangi przekładu literackiego. Oprócz statuetki, laureaci otrzymują również nagrodę pieniężną: 30 000 zł w kategorii *przekład dzieła* i 50 000 zł w kategorii *całokształt twórczości translatorskiej*.

Wydawnictwa, literaturoznawców, tłumaczy, krytyków literackich zapraszamy do zgłaszania kandydatów do Nagrody w obu kategoriach.

Zgłoszenia są przyjmowane do 30 listopada 2018 roku. Laureatów poznamy podczas Gdańskich Spotkań Literackich „Odnalezione w tłumaczeniu", które odbędą się 1-13 kwietnia 2019 roku. Najbliższej edycji Spotkań będzie towarzyszyć hasło „Podróż na Wschód".

Szczegóły i regulamin:
www.odnalezionewtlumaczeniu.pl

Fundatorem Nagrody jest Miasto Gdańsk, jej partnerem i organizatorem towarzyszącego festiwalu literackiego jest Instytut Kultury Miejskiej.

instytut kultury miejskiej GDAŃSK ODNALEZIONE W TŁUMACZENIU

WIĘCEJ NIŻ ZŁOTO

„Wiedźmin" stał się pierwszym polskim superproduktem kulturowym z prawdziwego zdarzenia – franczyzą taką jak „Gwiezdne wojny". Walka o wiedźmińskie prawa toczy się więc na poziomie dotychczas u nas nieznanym.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Piwa – rzekł nieznajomy. Głos miał nieprzyjemny. Wytarłem ręce o płócienny fartuch i napełniłem gliniany kufel. Nieznajomy nie był stary, ale włosy miał prawie zupełnie białe. Nosił krótko przystrzyżony wąs, okulary w cienkich drucianych oprawkach i charakterystyczną kamizelkę. Jak gdyby właśnie wrócił z połowów sumia. Pomyślałem wtedy, że w tej całej sprawie będzie jeszcze jakiś haczyk.

Miałem rację.

Tamci młodzi siedzieli naprzeciwko i opowiadali mu o swoim pomyśle na grę. Mówili z zapałem, ale też z wyraźnym podziwem dla człowieka, co wymyślił świat, w którym spędzili tyle niezwykłych godzin. Wymyślanie światów to w końcu poważna sprawa.

Nieznajomy wysłuchał ich spokojnie, kiwając głową w udanym skupieniu i zadał kilka zupełnie nieistotnych pytań. Widać było, że na grach komputerowych zna się jak ork na systemie podatkowym. Słyszałem zresztą potem na własne uszy, jak chełpił się, że nie zna nikogo, kto by w nie grywał, bo obraca się wśród ludzi inteligentnych. A zresztą może wcale nie słyszałem? Może tylko mi opowiadali?

Pamiętam natomiast doskonale, że zażądał wtedy 35 tysięcy.

„Dajcie mi moje pieniądze z góry! – wołał. – Co do szeląga! A potem róbcie sobie, co chcecie".

Tamci pokiwali głowami, powiercili się na ławach i widać było, że są zdziwieni. Ale ostatecznie chyba doszli do porozumienia, bo z karczmy wszyscy wychodzili zadowoleni. I tylko ↦

MATERIAŁY PRASOWE CD PROJEKT

Egzemplarz redakcyjny.
Nie do rozpowszechniania!

↦ ja zostałem z poczuciem, że z tych całych targów będą jeszcze kłopoty.

Opowiem wam zresztą wszystko po kolei. Siądźcie wygodnie i zamówcie po kuflu piwa, bo to materiał na dłuższą historię. Opowieść nie o jednej transakcji czy nawet jednym człowieku, ale o nowych formach wojny starej. Walki, która toczy się nie tylko o złoto, ale także o waluty znacznie od tego kruszcu cenniejsze: o szacunek i władzę nad wyobraźnią. Posłuchajcie!

Człowiek, który nadszedł z północy

„Później mówiono, że człowiek ten nadszedł od północy, od Bramy Powroźniczej." Nigdy tych słów nie zapomnę. Nie tylko zresztą ja. Kiedy Amerykanie z Netfliksa kupili prawa do serialu, na swojej stronie umieścili właśnie to jedno zdanie. Tyle wystarczyło. Ale po kolei.

Aż trudno uwierzyć, że od wydrukowania tych słów, otwierających pierwsze opowiadanie Andrzeja Sapkowskiego o wiedźminie, mijają właśnie 32 lata. Od tego czasu dojrzał i zmienił się ich bohater – Geralt z Rivii, ale przede wszystkim zmienił się świat, w którym każdy z nas stacza codzienne boje z potworami. Po gościńcach grasują dziś inne monstra niż przed trzema dekadami, inne są na nie sposoby i inne stawki. I tylko ludzie się nie zmienili. Wciąż pragną złota i szacunku.

Zaczęło się więc od krótkiego opowiadania napisanego na konkurs „Fantastyki". Jego bohaterem był tytułowy wiedźmin – specjalista od zabijania potworów, który przyjmuje zlecenie na odczarowanie przemienionej w strzygę księżniczki. Ot, kawałek zgrabnie uszytej prozy, na który wtedy nikt nie zwrócił baczniejszej uwagi. Tekst Sapkowskiego zajął w konkursie dopiero trzecie miejsce. Ale to było ziarno, z którego wykiełkowała legenda.

Początkowo Geralt grasował właśnie na kartach opowiadań, które miały zwykle formę zmyślnych parafraz znanych wszystkim baśni. Oto, na przykład, wiedźmin napotykał królewnę Śnieżkę stojącą na czele bandy siedmiu bezwzględnych gnomów, cwanego szewca czyhającego na życie szlachetnego smoka albo małą syrenkę, która namawia księcia, by – jeżeli ją kocha – okazał trochę poświęcenia, przemienił się w trytona i zamieszkał na dnie morza. Wspólnym motywem było igranie z oczekiwaniami czytelnika i budowa świata, w którym ludzie i potwory

Wiedźmińskie uniwersum dla milionów fanów na całym świecie to dziś przede wszystkim trzy części niezwykle popularnej gry komputerowej.

nie zawsze są tym, czym się na pierwszy rzut oka wydawali. Szybko się okazało, że opowiadania są dla Geralta zbyt ciasne, a wiedźmiński świat rozwija się w pięciotomową epicką sagę, która w latach 90., a więc w pełnym magii okresie transformacji, ustanowiła dla wielu Polaków nowy kanon wyobraźni.

Później, podobnie jak wiele innych przedsięwzięć rycersko-rozbójniczej epoki polskiego kapitalizmu, wiedźmin przeżywa trudniejsze chwile. Nowe stulecie nie jest dla Geralta łaskawe. Ekranizacja w reżyserii Marka Brodzkiego nie spełnia oczekiwań widzów, którym marzyła się produkcja na poziomie „Władcy pierścieni" Petera Jacksona. Zamiast tego dostali dzieło pełne dobrych chęci, z uroczymi kreacjami Michała Żebrowskiego (Geralt) i Zbigniewa Zamachowskiego (Jaskier), a także animowanego komputerowo złotego smoka, którego wszyscy chcielibyśmy czym prędzej zapomnieć. Ot, bolesne przypomnienie, że tu jednak nie jest Hollywood, a budżet ma znaczenie.

Trudno się zatem dziwić Andrzejowi Sapkowskiemu, który – jak można wnioskować z wywiadów i ludowych podań – prawa do gry sprzedał nie za udział w zyskach, lecz za niewielką, wypłaconą z góry kwotę. Lepszy wróbel w garści niż harpia na dachu, jak to mawiają. Wszak świeże było jeszcze bolesne wspomnienie złotego smoka, a do słynnego pisarza zgłosiła się drużyna pełna zapału, ale z minimalnym doświadczeniem. Kto mógł wtedy przewidzieć, że odniosą tak spektakularny sukces? Że reguły gry znów się zmieniły i w Polsce można stworzyć produkcję, która zadziwi Amerykę. Dziś dla milionów fanów na całym świecie wiedźmińskie uniwersum to przede wszystkim trzy części niezwykle popularnej gry komputerowej.

Ale i to wkrótce może się zmienić. Od dnia, gdy na Facebooku Netfliksa ukazały się słynne słowa o Bramie Powroźniczej, fani w napięciu czekają na serial z prawdziwego zdarzenia. Z budżetem i efektami specjalnymi, na jakie zasługuje świat Sapkowskiego. W rolę Geralta wcieli się znany z roli supermana Henry Cavill, jego przybraną córkę Ciri zagra Freya Allan, która wprawdzie nie ma wielkiego doświadczenia, lecz w oczach wielu fanów ma tę zaletę, że jest biała, o czym więcej zaraz.

Powieści, gry, serial Netfliksa, ale też komiksy, koszulki, figurki, gry planszowe i karciane, a przede wszystkim rzesza oddanych fanów. „Wiedźmin" stał się pierwszym polskim superproduktem kulturowym z prawdziwego zdarzenia – franczyzą taką jak (zachowując wszystkie proporcje) „Gwiezdne wojny" czy Marvelowskie uniwersum superbohaterów. Walkę o wiedźmińskie prawa przenosi to na zupełnie nowy poziom, dotychczas u nas nieznany.

Prawa autorskie

35 tysięcy złotych. Tyle twórca „Wiedźmina" rzekomo wziął za sprzedaż praw kilkanaście lat temu. To faktycznie niewiele w porównaniu z krociowymi zyskami, jakie kolejne części gry komputerowej przynoszą dziś firmie CD Projekt Red.

Ale Sapkowski niedawno podpisał umowę z Netfliksem, więc to raczej nie skrajna bieda i burczenie w żołądku popchnęły go do wysłania do CD Projektu przedziwnego listu. Dokument zawiera żądanie wpłaty na konto autora niebagatelnej sumy 60 milionów złotych, a sformułowany jest tak, jak gdyby pisali go raczej krasnoludzcy kompani Geralta po kilku piwach w karczmie niż prawnicy reprezentujący poważnego literata. Oto mała próbka:

„I my i Państwo zdajemy sobie wszak doskonale sprawę, że samo tylko ujawnienie roszczeń w odniesieniu do praw własności intelektualnej może mieć negatywny wpływ na renomę Grupy, jak również na jej dalszy rozwój. Co dopiero, gdyby dotyczyło to istoty działalności i najważniejszego produktu (...) Możemy sobie jedynie wyobrazić, że negatywne konsekwencje wynikające tylko z tego faktu, że Pan Andrzej Sapkowski nie otrzymał należnego wynagrodzenia, tym bardziej gdyby były połączone z kwestionowaniem ważności umów prawno-autorskich, byłyby tak duże, że same potencjalne straty wartości przewyższałyby zapewne żądania wyartykułowane w niniejszym piśmie".

Egzemplarz redakcyjny. Nie do powielania!

Nie wiem, czy dokument został starannie wyklejony literami wyciętymi z czasopism, jak to ma zwykle miejsce w filmach kryminalnych, ale treść nie pozostawia złudzeń. Co do gatunku, jest to klasyczny list szantażysty. Licząc na szybkie załatwienie sprawy, jego autorzy nieco się przeliczyli. CD Projekt, jako spółka notowana na giełdzie, nie miał bowiem innego wyjścia, jak tylko niezwłocznie upublicznić żądania, których zatajanie mogłoby zostać uznane za wprowadzanie w błąd inwestorów. Spór stał się więc publiczny.

Twórcy gry wciąż wypowiadają się o Sapkowskim z największym szacunkiem, licząc na polubowne załatwienie sprawy. „Od zawsze staraliśmy się być w jak najlepszych relacjach z panem Sapkowskim – mówił niedawno Adam Kiciński, prezes CD Projektu. – Nadal nam na tym zależy, bo działamy w ramach tego samego, wiedźmińskiego świata. Oczywistym jest, że z takich ludzkich względów należy dążyć do zgody".

Sam Sapkowski uzasadnia swoje roszczenia zapisem w ustawie o prawach autorskich i prawie pokrewnym, której art. 44 mówi, że w razie „rażącej dysproporcji między wynagrodzeniem twórcy a korzyściami nabywcy autorskich praw majątkowych lub licencjobiorcy, twórca może żądać stosownego podwyższenia wynagrodzenia przez sąd". Problem polega tylko na tym, na ile w zasadzie Sapkowskiego uznać można za twórcę „Wiedźmina" rozumianego już nie jako cykl powieści, lecz jako franczyza kulturowa.

Współczesne wielkie franczyzy kulturowe nie są już bowiem dziełem jednego człowieka. Choć wiedźmin Geralt i cały jego świat narodzili się w głowie Sapkowskiego, to dawno utracił on wyłączne panowanie nad stworzonym przez siebie światem na rzecz podmiotów dysponujących prawami do franczyzy.

Podobnie jak George Lucas, który nie tylko nie tworzy wszystkich dzieł osadzonych w uniwersum „Gwiezdnych wojen", ale też od lat nie śledzi już pewnie znacznej większości z lawinowo przyrastających produkcji rozgrywających się w galaktyce, którą powołał do życia. Lucas jest dziś zaledwie ojcem założycielem „Gwiezdnych wojen", grając rolę wyłącznie symboliczną. Nie jest już nawet strażnikiem dziedzictwa Skywalkerów, tę godność bowiem od momentu wykupienia praw sprawują spece od marketingu z koncernu Disneya.

BOGUSŁAW POLCH / FANTASTYKA

Pierwszy portret wiedźmina, opublikowany w „Fantastyce" nr 12/1991. Maciej Parowski, zapowiadając tu przyszły komiks, pisał: „[Geralt] nie może być stary; przecież mieczem wywija (...) poczyna sobie jako mędrzec, więc nie pasuje doń maska kulturysty Conana-Schwarzeneggera...".

Pierwszy z serii komiksów o wiedźminie, autorstwa Andrzeja Sapkowskiego i Macieja Parowskiego z grafikami Bogusława Polcha. Prószyński i S-ka, 1993 r.

FACEBOOK.COM / PLTHEWITCHER

Szkice Przemysława Truścińskiego „Trusta" do niezrealizowanego komiksu promującego pierwszą grę CD Projekt; jego autorstwa jest wizualizacja postaci wiedźmina w tej grze.

MATERIAŁY PRASOWE CD PROJEKT

Pierwsza gra CD Projekt, 2007 r. Na poprzedniej stronie: „Wiedźmin 3", 2015 r.

Czy Andrzej Sapkowski pogodziłby się kiedykolwiek z taką funkcją? Możliwe, że nie, bo oprócz praw autorskich w grę wchodzi jeszcze prawo do uznania, wyceniane w walucie szlachetniejszej niż złoto. W szacunku.

Prawo do uznania

Sapkowski jest nie tylko twórcą wiedźmina, ale także kimś, kogo można by nazwać prawodawcą polskiego *fantasy*. Swego czasu poświęcił wiele stron nie tylko na opisywanie przygód elfów, krasnoludów i specjalistów od eksterminowania potworów, ale także na refleksję teoretyczną nad ramami gatunku. Gatunku, który – co tu dużo mówić – borykał się i wciąż boryka z opinią literatury gorszego sortu.

Fantastyka spod znaku magii i miecza od lat doskonale się w Polsce sprzedaje. Jej czytanie (o pisaniu nie wspominając) wciąż jednak należy do zajęć wstydliwych, a wiedźmini, czarodziejki i inkwizytorzy nadal nie doczekali się społecznej nobilitacji, jaka dziś jest udziałem chociażby inspektorów, śledczych czy profilerek (kimkolwiek są).

Już w 1993 r. Sapkowski opublikował na łamach „Nowej Fantastyki" manifest „Piróg albo nie ma złota w Szarych Górach", w którym nie tylko bezlitośnie szydził z konkurentów i ich manii na słowiańszczyznę, ale też podejmował próbę zdefiniowania tożsamości gatunku. Później przez lata prowadził na tych samych łamach rubrykę „AS z rękawa", by wreszcie wydać „Świat króla Artura" (1995) i „Rękopis znaleziony w smoczej jaskini" (2001) – dzieła, w których nie tylko tworzy autorski leksykon *fantasy*, ale też wskazuje (czy wymyśla) jej dumny rodowód w postaci legend arturiańskich.

Z wypisanym przez Sapkowskiego glejtem szlachectwa, *fantasy* staje się nieco mniej wstydliwe, mniej zakompleksione, zwłaszcza na tle starszej, bardziej uznanej siostry, którą jest w Polsce *science fiction*. Autor staje się tym samym w oczach wielu Stanisławem Lemem polskiego *fantasy* – nie tylko patriarchą, lecz także tym, kto podejmuje się na zewnątrz roli rzecznika i ambasadora. Jego pozycja w fandomie (bardzo zresztą specyficznym) nie ma sobie równych. Wydawałoby się, że autor wiedźmińskiej sagi powinien być wrażliwy ↦

Egzemplarz reklamowy. Nie do rozpowszechniania!

↦ na krzywdę tych, którym odmawia się prawa do uznania – społeczności wyszydzanej, stereotypizowanej, traktowanej niepoważnie.

Może więc dziwić, że Sapkowski w dokładnie taki pogardliwy sposób wypowiada się od lat o grach komputerowych. Twórca wiedźmina wielokrotnie dawał do zrozumienia, że gry uważa za rozrywkę niskich lotów – zabawę dla ludzi pozbawionych inteligencji i ambicji.

Oczywiście nietrudno dopatrzeć się tu prostego mechanizmu psychologicznego. Oto autor przeświadczony o własnej wielkości, który o tę wielkość latami walczył, czuje się nagle okradziony ze sławy przez młodych twórców gry. Wygląda bowiem na to, że Sapkowskiego szczególnie bolą sytuacje, w których zarzuca mu się korzystanie na popularności gier. Za historią o jednostkowych ułomnościach i ambicjach warto jednak dojrzeć bardziej uniwersalną przypowieść o poszukiwaniu szacunku, przemianie pokoleń i walce o uznanie, którą od dekad toczą kolejne gatunki i formy kultury popularnej.

Co ciekawe, panowanie gier nad wyobraźnią zbiorową umacniają nowe technologie. Żeby funkcjonować w internecie – na niezliczonych portalach, w mediach społecznościowych, a nawet w serwisach plotkarskich – Geralt potrzebuje twarzy. Wszystkim artykułom o prozie Sapkowskiego, nawet tym poświęconym jej wyższości nad komputerową rozrywką, towarzyszą więc obrazy z gry. To się nazywa ironia.

Prawo do reprezentacji, prawo do wyobraźni

Ostatni akt tej barwnej opowieści związany jest już nie tylko z grami, lecz także z rozpalającym oczekiwania serialem Netfliksa. Sejsmografy w całej Polsce odnotowały ostatnio potężne drgania, gdy siecią wstrząsnęła informacja, że Ciri, jedna z najważniejszych bohaterek książki, w amerykańskiej ekranizacji może być... ciemnoskóra. „Dyktatura politycznej poprawności!", „Niezgodność z historycznymi (!) realiami!", „Przecież akcja »Wiedźmina« dzieje się w słowiańskim świecie!" – to tylko najłagodniejsze wypowiedzi padające w tym kontekście. Za przykład tych bardziej dosadnych (lecz wciąż wyrażanych cenzuralnym językiem) niech posłuży komentarz anonimowego internauty spod niedawnego artykułu Michała R. Wiśniewskiego z „Gazety Wyborczej": „Zaczekajmy jeszcze lat kilka – najazd SJW [*social justice warrior* – MN] niebawem sprawi, że w grach zapanuje parytet płciowy, orientacyjny seksualny, rasowy i religijny. Zatem bohaterką »Wiedźminny 5« będzie transpłciowa Geraltina, którą czar przemienił w kobietę z Geralta, przy okazji przyciemniając karnację. Geraltina będzie wyznawać judeomuzułmanim (!), a jako że są to religie pełne miłości, wrogów pokonywać będzie białymi różami i dobrym słowem. Seks będzie uprawiać z facetami i kobietami, żeby nie było dyskryminacji. No a ponieważ jest trans, więc będzie miała jak...".

Sejsmografy w Polsce odnotowały ostatnio potężne drgania.

Siecią wstrząsnęła informacja, że Ciri, jedna z najważniejszych bohaterek książki, w amerykańskiej ekranizacji może być... ciemnoskóra.

Wizja ciemnoskórej Ciri wzbudziła spore zamieszanie. Ale wbrew temu, co można przeczytać w wielu mediach, nie jest to ani problem nowy, ani polski. Tych, którzy w reakcji na castingowe decyzje Netfliksa chcieliby upatrywać jakiejś eksplozji „polskiej zaściankowości", odsyłam do debaty, która trzy lata temu rozgorzała w amerykańskiej prasie branżowej.

Zaczęło się od tego, że survivalowa gra komputerowa „Rust" wprowadziła obowiązkowe rasy postaci, których nie dało się wybrać ani zmienić. Tak jak w prawdziwym życiu – tłumaczyli twórcy – jesteś tym, kim jesteś, nie masz na to wpływu. Tysiące graczy nadaremnie wyszukiwało więc w internecie sposobu „jak zmienić kolor skóry w »Rust«?".

Pod wpływem tej kampanii na nowo rozgorzał (poruszany już wcześniej wielokrotnie) problem prawa do reprezentacji różnych mniejszości w głównym nurcie popkultury. Kiedy białych graczy, pisali komentatorzy, zmuszamy do gry czarnymi postaciami – chwytają za widły i pochodnie, ogłaszając ludowe powstanie. Ale kiedy gracze reprezentujący mniejszości etniczne muszą wcielać się w białą postać – wszystko jest ok. Bo to przecież tylko gra.

Problem dotyczył też wiedźmina. Taurią Moosa, dziennikarz gamingowy, opublikował na łamach „Polygon" artykuł, w którym ubolewał, że w trzeciej części gry nie ma żadnej ciemnoskórej postaci. „Tylko nie mówcie mi, że to kwestia historii – przekonywał. – Przecież to zmyślony świat, w którym występują smoki i potwory". „Ale to świat inspirowany mitologią słowiańską!" – oponowali polemiści (którzy najwyraźniej nie czytali wspomnianego tu „Piroga...", gdzie Sapkowski szyderczo odcina się od mody na słowiańszczyznę).

I choć serialowa Ciri okazała się właśnie biała jak śnieg, spór będzie zapewne powracał przy okazji innych postaci czy kolejnych odsłon gry. W tej kwestii warto oddać ostatnie słowo Lauren Schmidt Hissrich – autorce odpowiedzialnej za serial Netfliksa. W niedawnym wywiadzie dla „Hollywood Reporter" Hissrich w ten sposób odpowiadała na pytanie o rasowe zamieszanie wokół „Wiedźmina": „Dlaczego zareagowali tak gwałtownie? Sądzę, że fani naprawdę mają w wyobraźni obrazy tych postaci i nie winię ich za to. Rozumiem problem. To oczywiste, że kiedy czytam moje ukochane książki, wyobrażam sobie postaci w określony sposób. W książce jest kilka linijek opisu Ciri, a ludzie zakochali się w swoich wyobrażeniach na jej temat. Sądzę, że kiedy przychodzę jako autorka i mówię, iż moja wizja różni się od waszej, mogę wystraszyć fanów. Ale wcale nie musi tak być".

Ostatecznie bowiem najważniejszym prawem franczyzy okazuje się prawo wyobraźni. A monopolu na wyobraźnię utrzymać nie może ani autor, ani ci, którym za duże pieniądze udzieli on oficjalnego błogosławieństwa. Wiedźmin Geralt już dawno stał się własnością milionów fanów na całym świecie. Niektórzy z nich są zapalonymi czytelnikami, inni – graczami komputerowymi. Jedni nie widzą potrzeby mieszania rzeczywistych problemów rasowych do świata, gdzie dyskryminuje się elfy i krasnoludy, inni pragnęliby w swych ukochanych krainach dostrzec postaci takie jak oni, a zdarzają się pewnie i tacy, którzy bagaż rzeczywistych uprzedzeń zabierają ze sobą także do wymyślonych światów. Ale naprawdę fantastyczne wydaje mi się to, że te wymyślone światy potrafią to wszystko pomieścić.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Życie jest plotką

MICHAŁ SOWIŃSKI

Intelektualistom z dużych miast udało się ustalić, że ich politycznej katastrofie w Ameryce winna jest prowincja, szczególnie ta biała. Elizabeth Strout portretuje ją w swoich powieściach.

Gdy Lucy Barton, tytułowa bohaterka powieści „Mam na imię Lucy" (przeł. Bohdan Maliborski), leży długie tygodnie w szpitalu, wspomina swoje dzieciństwo. Dorastając w biednej rodzinie w małym, prowincjonalnym miasteczku dziewczynka często zostawała w szkole po lekcjach. Jej rodzina mieszkała w nędznej, przypominającej garaż szopie, więc Lucy wolała zostać w ogrzanej klasie i czytać książki. „Dzięki nim czułam się mniej samotna. Właśnie o to chodzi. Pomyślałam: będę pisać i ludzie nie będą się czuli tacy samotni!" – mówi Lucy, *porte-parole* swojej twórczyni, Elizabeth Strout, amerykańskiej pisarki z Nowej Anglii.

Purytański stand-up

Strout nie dorastała co prawda w biedzie – urodziła się w żyjącej skromnie inteligenckiej rodzinie z klasy średniej. Niemniej ze wszystkimi swoimi bohaterami dzieli doświadczenie dorastania w surowym, purytańskim środowisku. Jej rodzice mieli bardzo szczególny stosunek do wszelkich przyjemności. Nie czytali gazet, nie posiadali też telewizora – w jednym z wywiadów Strout przyznała, że zanim poszła na studia, widziała w swoim życiu dwa filmy: „101 dalmatyńczyków" i „Cudotwórczynię".

I choć pisarka wspomina, że jej dom znajdował się „jeszcze spory kawałek za końcem świata", swoje dzieciństwo uważa ↦

Elizabeth Strout podczas 9. Międzynarodowego Festiwalu Literatury w Rzymie, czerwiec 2010 r.

ALESSIA PARADISI / PAP

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

↦ za bardzo szczęśliwe. Pozbawione rozrywek otoczenie sprzyjało nie tylko lekturze, ale też pierwszym próbom literackim. Matka Elizabeth, którą w dedykacji do „Olive Kitteridge" (przeł. Ewa Horodyska) pisarka nazwała „mistrzynią opowieści", od pierwszych lat uczyła córkę bezcennej sztuki obserwacji. Kazała jej opisywać w notesie napotkane osoby – rekonstruować lub wymyślać ich przeszłość, ale też zaplecze emocjonalne, jak również skomplikowaną siatkę relacji, w której na co dzień funkcjonują. Bez wątpienia to właśnie temu ćwiczeniu Strout zawdzięcza wnikliwość w analizowaniu ludzkiej duszy – znak rozpoznawczy swojej prozy.

Urodzona w 1958 r. Elizabeth Strout, podobnie jak Lucy Barton, od zawsze sekretnie myślała o sobie jako o pisarce. Zadebiutowała jednak późno, bo dopiero w 1998 r. powieścią „Amy i Isabelle" (przeł. Agnieszka Wyszogrodzka-Gaik). Choć pisała przez całe życie, do tego przełomowego momentu myślała o swojej karierze inaczej. W 1982 r. skończyła prawo na uniwersytecie w Syracuse, ale w zawodzie przepracowała jedynie pół roku. Zderzenie z bezwzględnymi realiami tej branży szybko pozbawiło ją złudzeń. Język prawa okazał się niewystarczający dla jej potrzeb – zbyt suchy i odklejony od ludzkich potrzeb oraz emocji. „W ten sposób trudno komuś naprawdę pomóc" – mówiła po latach.

Po studiach szybko wylądowała w Nowym Jorku, gdzie przez wiele lat pracowała jako kelnerka. Próbowała także, i to z dużym powodzeniem, swoich sił w stand-upie. Ku uciesze nowojorskiej publiczności najchętniej wcielała się w surową purytankę z Nowej Anglii. Konfrontacja z kształtującą ją przez lata tradycją z pewnością była ważnym doświadczeniem dla jej pisarstwa, którego jedną z ważniejszych cech jest zdrowy, ironiczny dystans – zarówno do świata, jak i do samej siebie.

Kronikarka prowincji

Strout w swoich książkach nieustannie powraca w rodzinne strony. Cztery pierwsze jej powieści rozgrywają się w miasteczku Shirley Falls – mimo że wymyślone przez pisarkę, to jednak idealnie wkomponowuje się w krajobraz stanu Maine. Chłodna i wietrzna miejscowość, zagubiona gdzieś w przepastnych lasach i między skalistymi zatokami Atlantyku, jest odmalowana przez Strout z pietyzmem – wszak to scena, na której rozegrana zostanie niezliczona ilość ludzkich dramatów.

Nowa Anglia jest kolebką amerykańskości, miejscem narodzin najważniejszych narodowych mitów, które od ponad 200 lat oddziałują na cały kontynent.

Nowa Anglia jest tu ważna nie tylko ze względu na pochodzenie pisarki. To przede wszystkim kolebka amerykańskości – miejsce narodzin najważniejszych narodowych mitów, które od ponad 200 lat oddziałują na cały kontynent. Tak jak krajobrazy naszej wyobraźni wciąż wypełniają płaczące wierzby i szlacheckie dworki z drewna (lecz podmurowane), podobnie amerykański pejzaż patriotyczny skomponowany jest z żółknących lasów Nowej Anglii i bielejących na ich tle drewnianych wieżyczek kościołów. Czyli dokładnie jak w Shirley Falls. I choć amerykańskie centra kulturowe i gospodarcze już dobre sto lat temu przeniosły się w zupełnie inne części kontynentu, to północno-wschodnia prowincja wciąż pozostaje symbolicznym punktem odniesienia.

Strout jest jak najdalsza od idealizacji Nowej Anglii. Wręcz przeciwnie – prowadzi skrupulatną kronikę tego regionu, pokazując jego bolączki i problemy. Od czasu zwycięstwa Trumpa wśród liberalnych intelektualistów w USA trwa gorączkowe poszukiwanie przyczyn porażki. Wielu intelektualistów z dużych miast przypomniało sobie wtedy, że nie wszyscy Amerykanie żyją w metropoliach na jednym albo drugim wybrzeżu. Udało się też ustalić, że politycznej katastrofie winna jest prowincja, szczególnie ta biała, przez lata niedowartościowywana i pozostawiona z licznymi problemami sama sobie.

Dokładnie ta, którą Strout od dwóch dekad portretuje w swoich powieściach. Świat, który opisuje Strout, lata świetności ma już dawno za sobą, a w jego mieszkańcach, odstawionych na boczny tor, narasta gorycz i poczucie osamotnienia. Każdy, kto może, wyjeżdża do metropolii, np. Nowego Jorku, jak obaj tytułowi bracia Burgess („Bracia Burgess", przeł. Małgorzata Maruszkin) – w Maine zostaje tylko ich siostra, rozwiedziona, samotna matka, której życie nie poszło zgodnie z planem.

Do tego dochodzi jeszcze jeden problem – społeczności, które z takim oddaniem i czułością opisuje, w gwałtownym tempie wyludniają się i starzeją. „Już w dzieciństwie otaczali mnie niemalże wyłącznie starsi ludzie – ze swoimi opowieściami, wrażliwością, ale i problemami. To było powietrze, którym oddychałam" – mówiła autorka w jednym z wywiadów. Być może dlatego równolegle ze studiami prawniczymi uzyskała także dyplom z gerontologii.

Postaci

Dla Strout prowincja to jednak przede wszystkim źródło dramatów, których tragizm staje się lepiej widoczny na odpowiednio ascetycznym tle – dla niewprawnego oka być może banalnym i nudnym, jednak z pewnością nie dla kogoś z takim zmysłem obserwacji i darem empatii jak Strout. W jej powieściach sama fabuła nie ma szczególnego znaczenia. To raczej zmontowane pobieżnie dekoracje, które nie powinny odwracać naszej uwagi od tego, co najważniejsze – od postaci.

Bo w kreowaniu bohaterów – złożonych, niebanalnych, których nie można znieść, ale jednocześnie nie da się im nie współczuć – Strout jest absolutną mistrzynią. Przykłady można mnożyć, zaczynając od debiutanckiej powieści i tytułowej pary, czyli Isabelle i jej córki Amy. Samotna matka trzyma w tajemnicy przed dorastającą córką mroczny sekret związany z jej poczęciem, ta z kolei wdaje się w romans z nauczycielem matematyki, przez co szybko trafia na sam szczyt plotkarskiej agendy miasteczka. Jednak kluczowe dla powieści jest napięcie między dwiema kobietami, które narasta przez całe upalne lato, aby w końcu doprowadzić do oczyszczającej eksplozji. Wszystko, co skandaliczne, mamy od początku podane na talerzu – emocjonująca jest walka matki i córki o wynalezienie na nowo języka dla komunikowania swoich uczuć.

Podobnie w kolejnej, nieco mroczniejszej powieści „Trwaj przy mnie" (przeł. Ewa Westwalewicz-Mogilska), w której Tyler Caskey, pastor niewielkiej parafii, próbuje przezwyciężyć religijny i egzystencjalny kryzys wywołany śmiercią ukochanej żony. Wcześniej powszechnie szanowany i uwielbiany przez lokalną

Egzemplarz recenzyjny. Nie do rozpowszechniania!

wspólnotę wiernych, w obliczu kryzysu dostrzega prawdziwe, bezlitosne oblicze bliskich mu niegdyś ludzi. Osobista tragedia, która wywraca świat mężczyzny stawianego za wzór cnót, wzbudza w mieszkańcach miasteczka dziwną, mroczną energię. Strout pokazuje niemalże w naturalistyczny sposób mechanizm, który zamienia trochę nierozgarniętych, ale poczciwych i uśmiechniętych sąsiadów w emocjonalnych sadystów. Plotki o kolejnych upadkach duchownego roznoszą się niczym zapach krwi, przyciągając drapieżników.

Pastor, dawniej wrażliwy i troskliwy opiekun rodziny i wspólnoty, popada w depresję, która zamienia go w cynika. Wybawienie przychodzi w ostatniej chwili, ale, jak to bywa u Strout, nie ma metafizycznej proweniencji – surowa rzeczywistość jej powieści jest pozbawiona tego wymiaru.

Przed ostateczną rozpaczą ratuje afirmacja zwykłego, banalnego życia. Bohaterowie Strout zazwyczaj gigantycznym wysiłkiem zataczają w swoim życiu koło, aby odkryć, że ratunek z zewnątrz nigdy nie nadejdzie. Dlatego, na dobre i na złe, skazani jesteśmy wyłącznie na siebie. Tylko Strout potrafi przekuć ten banał w trzymający w napięciu thriller egzystencjalny.

Plotkara

Plotka to nie tylko mniej lub bardziej niewinna rozrywka, której oddają się mieszkańcy małych miasteczek – to przede wszystkim bardzo użyteczne i często praktykowane przez pisarkę narzędzie literackie. Najlepszym tego przykładem są dwie ostatnie powieści autorki – „Mam na imię Lucy" oraz jej kontynuacja „To, co możliwe" (przeł. Paweł Lipszyc). W pierwszej książce leżąca w szpitalu pisarka w rozmowie z dawno niewidzianą matką wspomina losy mieszkańców rodzinnego miasteczka. W kolejnej powieści (pisanej równolegle z poprzednią) Strout postanowiła pokazać, kim są ludzie przywoływani przez Lucy i jej matkę. Świat obu kobiet zaludniają dziesiątki złożonych i barwnych postaci. Co więcej – każda z nich wchodzi nieustannie w najróżniejsze relacje z pozostałymi. Tej rozedrganej galaktyki ludzkich charakterów nie da się przedstawić inaczej niż za pomocą plotek. Dlatego podsłuchując rozmowę matki i córki poznajemy ciągle nowe, nawarstwiające się historie, które komplikują i zagęszczają lokalną panoramę.

Plotka to nie tylko rozrywka mieszkańców miasteczek – to przede wszystkim bardzo użyteczne i często praktykowane przez pisarkę narzędzie literackie.

W małomiasteczkowym uniwersum, gdzie każdemu wydaje się, że wie wszystko o innych, plotkarski sposób opowiadania uniemożliwia istnienie jednej wersji wydarzeń. Tak właśnie Strout udaje się wytworzyć dystans wobec swoich bohaterów – oglądani z wielu stron zyskują rzadko spotykaną głębię i wielowymiarowość. Najlepszym tego przykładem jest oczywiście Olive Kitteridge, tytułowa bohaterka chronologicznie trzeciej powieści Strout.

Wydana w 2008 r. powieść przyniosła auorce Nagrodę Pulitzera, a ponad milion sprzedanych na świecie egzemplarzy – międzynarodową sławę i pieniądze. Kropkę nad i postawił dorównujący książce miniserial produkcji HBO z genialną Frances McDormand, która po „Trzech billboardach za Ebbing, Missouri", a wcześniej „Fargo" braci Cohen, stała się twarzą małomiasteczkowej Ameryki.

Choć Strout już od początku wypracowała oryginalny i rozpoznawalny od pierwszego akapitu styl, a każda kolejna powieść tylko poszerzała literackie i egzystencjalne terytoria, to jednak żadna wcześniejsza ani późniejsza książka nie może równać się z „Olive Kitteridge". W tej opowieści o upartej, zrzędliwej, ale jednocześnie czułej i pełnej niebanalnego uroku kobiecie Strout osiągnęła trudną do przelicytowania maestrię.

Na książkę składa się kilkanaście rozdziałów, z których każdy napisany jest z innej perspektywy i mógłby być osobnym opowiadaniem. Zanim bezpośrednio skonfrontujemy się z główną bohaterką, wpierw poznajemy licznych bohaterów drugiego planu, w których Olive przegląda się niczym w przydymionych zwierciadłach. Mąż odrobinę ciamajdowaty, ale pełen ciepła i wyrozumiałości dla trudnego charakteru żony. Obok niego syn, który przez całe życie przepracowuje traumę trudnego dzieciństwa, a także jego kolejne partnerki, próbujące zająć bezpieczne pozycje względem teściowej. W tle wielu bliższych i dalszych znajomych, którzy na krócej lub dłużej znaleźli się w orbicie Olive – każdy z nich opowiada nam o niej inną historię. Raczej nielubiana, ale za to powszechnie szanowana Olive nie przestaje intrygować. Nie daje spokoju, bo wymyka się wszelkim łatkom i frazesom. Strout nie tylko jej nie ocenia, ale wręcz przyzwala na rzeczy społecznie niedopuszczalne dla kobiety w jej wieku. „Nie chcę pisać melodramatów, nie interesuje mnie też dobro ani zło. Interesują mnie za to wszystkie oddźwięki naszego życia" – mówiła w jednym z wywiadów.

Tworząc jedną z najciekawszych bohaterek literackich XXI wieku, Elizabeth Strout udowodniła, że potrafi rejestrować jego najdelikatniejsze szmery.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

POŻEGNANIE

W szóstą rocznicę śmierci
prof. Jacka Woźniakowskiego
będziemy się modlić w Jego intencji
i w intencji spraw Jemu bliskich
w kościele św. Marka w Krakowie,
w piątek, 30 listopada
o godzinie 16:00
podczas Mszy św., którą odprawi
ks. prof. Robert Woźniak.

Potem zapraszamy na ul. Pijarską 5,
gdzie pod tablicą pamiątkową
zapalimy świece.

Róża Thun, Henryk Woźniakowski

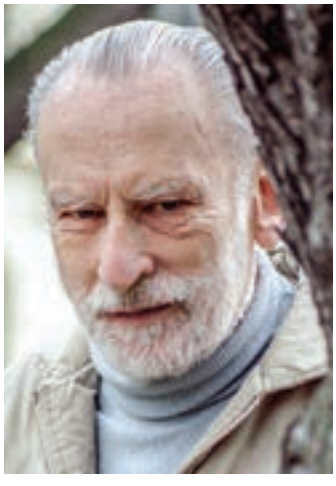

Dzwon jak serce

KAJETAN PROCHYRA

„No dobra, ale gdzie tu jest muzyka?” – zapytał kiedyś kompozytora zaprzyjaźniony wykonawca, wpatrując się w partyturę. Muzyka Arvo Pärta jest w ciszy. Wkrótce odbierze on w Warszawie doktorat honoris causa.

Z ust wysoko postawionego działacza partii komunistycznej, który złożył im niezapowiedzianą wizytę domową, usłyszeli: „Byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyście wyjechali”. O świcie 18 stycznia 1980 r. cała rodzina ruszyła z tallińskiego dworca Balti Jaam na Zachód. Nora powiedziała dzieciom, że właśnie zaczyna się ich podróż dookoła świata. Po dwóch godzinach dotarli do granicy. Celnik wyciągnął wszystkich z pociągu i rozpoczął rewizję. Jego pomagierzy sprawdzili nawet becik najmłodszego synka, Michaela. Najbardziej zainteresował ich jednak magnetofon i taśmy. Po chwili w wielkiej hali odpraw rozbrzmiały kompozycje Arvo Pärta: najpierw „Missa Syllabica”. Po niej „Arbos” i „Cantus”. I nagle, jak wspomina Nora Pärt, ta kolejowa stacja stała się znów spokojna, zwyczajna i piękna.

Jak po śniegu

Cztery lata wcześniej Arvo Pärt zapisał dwie strony papieru nutowego. Niezwyczajne w tym geście było to, że poprzedziła go blisko dekada milczenia. Od premiery jego utworu „Credo” w 1968 r. nie tylko trafił na indeks estońskiej cenzury, ale sam skazał się na wewnętrzną emigrację. Choć wcześniej z powodzeniem realizował się jako awangardzista – pisząc m.in. „Nekrolog”, pierwszą estońską kompozycję w duchu serializmu – czuł, że nowe, złożone muzyczne formy są, jak mówił, dziecinną zabawą. Zamiast pisać wolał czytać, najlepiej średniowieczne zapisy muzyczne lub Ewangelię. Dołączył też do wiernych Cerkwi prawosławnej.

„Chciałem zacząć od nowa. Wyjść przed dom na ścieżkę, którą dopiero co zasypał śnieg i nikt jeszcze nie zdążył zostawić na nim śladu” – wspominał Pärt w jednym z wywiadów powstanie utworu „Für Alina”.

Tę prostą partyturę wykonać może każdy. Najpierw uderzenie: niski akord, któremu pianista pozwala wybrzmieć. Potem pojedyncze dźwięki płyną, a raczej kapią wolno po wysokich oktawach fortepianu. I tak przez niespełna trzy minuty. Niby nic, a jednak utwór ten stanowi wyzwanie dla najznakomitszych pianistów. Dlaczego? Bo każdy dźwięk i całą wielką ciszę obecną między nimi wykonujący utwór musi wypełnić sobą – swoimi emocjami, wrażliwością – byciem. Jednocześnie pianista musi zostawić tyle samo przestrzeni dla słuchacza, który na tę krótką chwilę zamieszka w tym muzycznym domu wzniesionym przez Arvo Pärta dla Aliny – młodej przyjaciółki rodziny, której kompozytor podarował tę melodię z okazji jej wyjazdu z Tallina na studia w Londynie. Dziewczyna stała się mimowolną bohaterką muzycznej rewolucji. Właśnie z tej prostej kołysanki zrodził się nowy język Pärta – tintinnabuli, co po łacinie znaczy „dzwon”.

„Jeden i jeden równa się jeden, a nie dwa – wyjaśnia reguły tintinnabuli Pärt. – Dwa głosy, melodia i akompaniament, są jednością. Tak jak światło, które tylko pryzmat jest w stanie rozdzielić na poszczególne barwy” – pisał w książeczce do płyty „Alina”.

„Twoja muzyka przypomina mi historię Pinokia i Świerszcza-Który-Mówi – powiedziała w rozmowie z kompozytorem islandzka wokalistka Björk. – Ten pierwszy jest ludzki: robi błędy, sprawia innym przykrość i ból. Drugi uspokaja go, a czasem poucza”. „W mojej muzyce brzmią dwa głosy – odparł Estończyk – pierwszy to moje grzechy, drugi to ich przebaczenie. Ten pierwszy jest bardziej złożony i subiektywny. Drugi prosty, jasny i obiektywny. Ale porównanie z Pinokiem jest bardzo trafne. Bardzo mi się podoba”.

Bracia

Gdzieś między Stuttgartem a Zurychem z radiowych fal wynurzyła się muzyka, jakiej jazzowy producent i twórca wydawnictwa ECM, Manfred Eicher nie słyszał nigdy wcześniej. Zjechał z autostrady, zatrzymał się na pagórku, gdzie zasięg radiowej rozgłośni był najlepszy. I tak stał zasłuchany przez pół godziny, aż do wybrzmienia ostatniego dźwięku „Tabula Rasa” – kompozycji Pärta na dwie pary skrzypiec, preparowany fortepian i orkiestrę kameralną.

Wiedział już, że musi dotrzeć do tego nieznanego mu kompozytora. Panowie odnaleźli się niebawem w Wiedniu. Tam też zapadła decyzja, że w październiku 1983 r. w studiu nagraniowym w Bazylei spotkają się razem ze skrzypkiem Gidonem Kremerem i pianistą Keithem Jarrettem, by obok „Tabula Rasa” nagrać jeszcze niezarejestrowaną nigdy dotąd kompozycję Pärta „Fratres” (Bracia). Ta sesja – pierwsze i ostatnie spotkanie Jarretta i Kremera – dało początek dziś kultowej New Series: serii płytowej ECM poświęconej muzyce poważnej. Był to też zaczyn przyjaźni kompozytora i producenta.

Eicher i Pärt przez 38 lat nagrali razem 13 albumów. Wśród nich m.in. „Pajsę” według Ewangelii św. Jana w wykonaniu The Hilliard Ensemble czy epicki „Kanon Pokajanen” – dwupłytowy album, zawierający dziewięć pieśni na chór do słów Wielkiego Kanonu Pokutnego św. Andrzeja z Krety, śpiewany w kościele prawosławnym i greckokatolickim podczas Wielkiego Postu.

– To był przełom lat 80. i 90. Byłem jeszcze studentem. Pojawiły się wtedy w Polsce pierwsze płyty kompaktowe z tymi najwybitniejszymi kompozycjami: „Magnificat”, „Te Deum”, „Miserere”. Byłem nimi zafascynowany od pierwszego dźwięku. Gdy tylko ukazywały się kolejne tytuły, niezależnie od tego, czy miałem za co, czy nie, musiałem je mieć – wspomina swój pierwszy kontakt z muzyką Pärta Paweł Łukaszewski, kompozytor, profesor Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina, autor „Te Deum Polonia”, utworu zamówionego przez prezydenta Andrzeja Dudę na stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości.

– Kompozytorowi przyjąć muzykę Arvo Pärta wcale nie jest łatwo. Ona nie ma specjalnych założeń warsztatowych.

BIRGIT PÕVE / THE WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Arvo Pärt

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

Arvo Pärt to mistyk – mówi Łukaszewski. – Jego muzyka jest ikoną, świadectwem wiary.

Łukaszewski w sposób szczególny wspomina koncert muzyki Pärta w bazylice na Jasnej Górze w 2015 r. w ramach Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater". Polski Chór Kameralny Schola Cantorum Gedanensis i Andreas Scholl wykonali napisany dla Benedykta XVI utwór „Vater Unser". Pärt, honorowy gość Festiwalu, został zaprowadzony dzień wcześniej przed obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, gdzie przez dłuższą chwilę mógł się w skupieniu pomodlić.

– Kompozycje Pärta pozwalają nam zagłębić się w brzmienie pojedynczego dźwięku czy dźwięku i słowa, zespolonych ze sobą w sposób idealny. Jego muzyka pomaga w skupieniu i wytchnieniu. Jest przeciwieństwem zgiełku dzisiejszego świata – dodaje Łukszewski. – Czas pędzi, ale muzyka potrafi rozciągnąć czas, a nawet go zatrzymać. To jeden z tych cudów, który muzyka Pärta potrafi dokonać.

W poniedziałek, 26 listopada, Paweł Łukaszewski będzie wygłaszał laudację na cześć Arvo Pärta. Kompozytor dołączy tym samym do elitarnego grona doktorów *honoris causa* Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. Wśród wyróżnionych dotąd tym tytułem są Witold Lutosławski, Andrzej Panufnik, Mścisław Rostropowicz, Nadia Boulanger czy Placido Domingo.

Symfonie życia

Szczególne miejsce w muzyce Pärta zajmują symfonie. Nie napisał ich wiele, tylko cztery, lecz stanowią one wyjątkowy pamiętnik kompozytora. Pierwsza wyszła spod ręki 28-letniego studenta, zafascynowanego dodekafoniczną awangardą. Drugą sam określił jako kolażową, z cytatem m.in. z miniatur fortepianowych Piotra Czajkowskiego. Trzecia była wstępną zapowiedzią stylu tintinnabuli. Na kolejną trzeba było czekać blisko 40 lat. Prośba o napisanie nowego utworu dla filharmoników z Los Angeles trafiła do Pärta, gdy studiował prawosławny „Kanon do anioła stróża". Spotkanie anioła stróża i miasta aniołów sprawiło, że 10 stycznia 2009 r. w słynnej Walt Disney Hall dyrygent Esa-Pekka Salonen poprowadził prawykonanie IV Symfonii.

Utwór opatrzony został dedykacją dla Michaiła Chodorkowskiego – biznesmena skazanego trzy lata wcześniej przez rosyjskie władze na osiem lat więzienia w uranowej kolonii karnej w Krasnokamieńsku, nieopodal granicy z Chinami. „Tragizm symfonii nie jest lamentem nad losem Chodorkowskiego, ale pokłonem przed wielką mocą ludzkiego ducha i człowieczej godności" – pisał kompozytor w tekście programowym, towarzyszącym symfonii.

Nie była to pierwsza polityczna deklaracja kompozytora. „De Pacem Domine" z roku 2006 powstało jako reakcja na terrorystyczny atak bombowy na dworzec Atocha w Madrycie. Gdy zamordowana została w Moskwie dziennikarka Anna Politkowska, kompozytor ogłosił, że wszystkie wykonania jego muzyki w nadchodzącym sezonie poświęca jej pamięci.

Wielką symfonię życia w czterech dziełach Pärta jako pierwszy dostrzegł wieloletni przyjaciel kompozytora i jeden z najznakomitszych interpretatorów jego twórczości – estoński dyrygent Tõnu Kaljuste. Do wykonania takiego koncertu, zwieńczonego jeszcze napisaną w 2013 r. „Pieśnią łabędzia", zaprosił polską orkiestrę: wrocławskie Narodowe Forum Muzyki.

– Tõnu Kaljuste przyjechał do nas na festiwal Vratislavia Cantans. Wtedy pokazaliśmy mu salę NFM, która była jeszcze w budowie. Bardzo mu się spodobała. Zaprzyjaźniliśmy się – mówi „Tygodnikowi" Natalia Klingbajl, menedżerka NFM.

Kaljuste zaproponował orkiestrze NFM, by pojechała z nim na Baltic Sea Festival ↦

↦ do Sztokholmu, a następnie do Tallina. W obu tych miejscach mieli zagrać wszystkie symfonie Pärta. Koncert w Tallinie, zorganizowany w dawnej fabryce łodzi podwodnych, odbył się w dniu 80. urodzin kompozytora.

– Niezwykłym doświadczeniem dla zespołu było to, że Arvo Pärt obecny był nie tylko na obu koncertach, ale i wszystkich poprzedzających je próbach. Rozmawiał z muzykami, zwłaszcza z tymi grającymi na instrumentach perkusyjnych i smyczkowych – wspomina Natalia Klingbajl. – Masz przed sobą osobę, która jest żyjącą legendą, a która okazuje się być tak przystępna i chętna do rozmowy; bardziej zaangażowana w pracę z muzykami niż wielu dużo młodszych i mniej doświadczonych kompozytorów, z którymi czasem mamy okazję współpracować – dodaje menadżerka NFM.

W ślad za koncertami poszło nagranie płytowe dla ECM. W październiku we Wrocławiu odbyła się koncertowa premiera albumu.

Dalej w las

17 października, w ramach obchodów stulecia niepodległości Estonii, wśród drzew sosnowego lasu, w okolicy zwanej Laulasmaa, 35 km na zachód od Tallina, otwarto Arvo Pärt Centre. Ośrodek mieści w sobie archiwum kompozytora: rękopisy utworów, notatki, listy oraz tysiące fotografii. W bibliotece, przy kominku, znaleźć można księgozbiór kompozytora i jego żony Nory. Przede wszystkim jednak jest to przestrzeń stworzona do tego, by słuchać muzyki: zarówno wewnątrz budynku, jak i na zewnątrz, w otoczeniu przyrody. Centrum ma także kameralną salę koncertową, z której roztacza się widok na las. Ośrodek będzie organizować koncerty, konferencje oraz zajęcia edukacyjne dla dzieci i młodzieży.

Za projekt siedziby Centrum odpowiedzialny jest tandem hiszpańskich architektów Enrique Sobejano i Fuensanta Nieto. „Podziwiamy czystość matematycznych reguł, dzięki którym muzyka Arvo Pärta jest w stanie wywołać tak silne, a przy tym poetyckie emocje, opierając się jedynie na prostych permutacjach ograniczonej liczby dźwięków" – tłumaczyli swój projekt Hiszpanie.

„Jeśli moje nadzieje się spełnią, nasz budynek wpisze się w krajobraz tego miejsca zwanego Laulasmaa: miejsca w którym w naturalnym, wolnym układzie wertykalna forma lasu spotyka się z horyzontem morza" – dodaje Sobejano.

Droga przez śnieg

Michael, syn Arvo Pärta, przyszedł na świat przy dźwiękach „Für Alina". Na adres kompozytora rodzice z różnych zakątków świata przysyłają zdjęcia nowo narodzonych dziewczynek, Alinek – dla których pierwszymi dźwiękami zewnętrznego świata była właśnie muzyka estońskiego kompozytora.

„Niektóre z nich są już na tyle duże, że same przychodzą na koncerty mojej muzyki. Sporo z nich poznałem osobiście" – cieszył się Pärt w jednym z wywiadów. Ukojenie w muzyce Pärta znajdują ludzie na łożu śmierci. O autograf „kompozytora, który tworzy prawdziwą muzykę ciszy" prosił moją koleżankę jej umierający na raka przyjaciel. Zdążyła spełnić jego marzenie. Dziennikarz muzyczny Alex Ross na łamach „New Yorkera" przywołał wspomnienie jednego z wolontariuszy hospicjum dla chorych na AIDS. „Tabula Rasa" Pärta nazywana była przez jednego z jego podopiecznych muzyką aniołów.

Jak powiedział lider zespołu Radiohead, Thom Yorke: „Muzyka Pärta jest jak stukanie w ścianę: stukanie, które w końcu wykuwa otwór, przez który dostrzec możemy świat, o którego istnieniu nie mieliśmy dotąd pojęcia". A może – że pozwolę sobie uzupełnić słowa rockmana: muzyka Pärta pokazuje nam świat, od którego pozwoliliśmy się ową ścianą odgrodzić. Wskazuje nam dom, do którego sami musimy wrócić, chociaż drogę zasypał nam właśnie świeży śnieg. © KAJETAN PROCHYRA

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

Benefis genialnego chłopca

ANITA PIOTROWSKA

Robert Redford swoją elegancją i wdziękiem rozjaśnia cały film Davida Lowery'ego. Wyznacza jego płynny, nieśpieszny rytm i aksamitną fakturę.

Trudno wyobrazić sobie cieplejsze i bardziej stylowe pożegnanie z kinem. 82-letni Robert Redford w „Gentlemanie z rewolwerem" nie tylko gra tytułową postać, ale także przywołuje wcześniejsze, legendarne już wcielenia: w „Obławie", „Butch Cassidy i Sundance Kid" czy „Żądle". Co więcej, swoją elegancją i wdziękiem rozjaśnia cały film Davida Lowery'ego, wyznacza jego płynny, nieśpieszny rytm i aksamitną fakturę.

Bo choć oglądamy film o napadającym na banki recydywiście, dostajemy też opowieść o rasowym artyście. Autentyczny Forrest Tucker, którego portret opublikowany 15 lat temu w „New Yorkerze" stał się kanwą scenariusza, podniósł swoją profesję do rangi sztuki dla sztuki. Miał w sobie coś z zawodowego aktora, kiedy nieskazitelnie ubrany, z łagodnym uśmiechem, skłaniał kasjerów do wypełnienia banknotami skórzanego neseserka. Nigdy nie podnosił głosu, nie musiał używać broni. W filmie ma aparat słuchowy i, rzecz jasna, nie należy już do kategorii sprinterów. Fakty robią jednak wrażenie: w okolicach sześćdziesiątki Tucker zdążył zaliczyć spektakularną ucieczkę z więzienia stanowego San Quentin i przez kolejne dwie dekady, niemal do końca długiego życia, pozostał aktywny w swoim fachu. Patrząc na pooraną zmarszczkami twarz Redforda, na jego oczy, w których ciągle jeszcze buzują awanturnicze iskierki, nie mamy co do tego wątpliwości.

Lowery, jeden z ciekawszych obecnie reżyserów amerykańskich, autor melan-

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

ERIC ZACHANOWICH / M2FILMS

Robert Redford (jako Forrest Tucker) i Sissy Spacek (jako Jewel) w filmie „Gentleman z rewolwerem”

cholijnego „Ghost Story”, cofa się do roku 1981, kiedy to Forrest Tucker jest w USA u szczytu sławy i z coraz większą gracją pędzluje bankowe kasy. Gwoli ścisłości, wspomaga go dwóch leciwych kompanów: Waller (w tej roli Tom Waits) i Teddy (Danny Glover), z którymi tworzy śledzony przez policję „gang dziadków”. Ale to Forrest jest w nim gwiazdą. Znając potencjał wspomnianej aktorskiej dwójki, można nawet żałować, że „Gentleman z rewolwerem” staje się benefisem jednego tylko aktora. Zwłaszcza że partneruje mu pięknie starzejąca się Sissy Spacek, następna żywa legenda amerykańskiego kina, pamiętana choćby z ról w „Badlands”, „Carrie” czy „Trzech kobietach”. Wszyscy oni muszą jednak ustąpić miejsca starszemu i sławniejszemu koledze. Redford ogłosił właśnie odejście na emeryturę i to jemu składa hołd młodszy o dwa pokolenia reżyser.

Tucker jako postać „większa niż życie” znajduje doskonałą przeciwwagę w osobie tropiącego go policjanta, granego z charakterystyczną ospałością przez Caseya Afflecka. Jego bohater, wcielenie przeciętności, nudy i kryzysu wieku średniego, uosabia w filmie nas wszystkich – szukamy na ekranie chwilowej ucieczki, choć jakże często znajdujemy tam ukrytą cząstkę nas samych. Nic więc dziwnego, że ambicje szeregowego gliniarza muszą ustąpić miejsca narastającej fascynacji „gentlemanem z rewolwerem”. Porządny mąż i ojciec spogląda tęsknym okiem na sędziwego lekkoducha i jest w tym romantyzującym spojrzeniu coś z widza westernów czy filmów gangsterskich, który w postaciach wyjętych spod prawa chętniej dostrzeże buntowników aniżeli kryminalistów. Aluzje do tych gatunków wypełniają „Gentlemana” również na ścieżce dźwiękowej, gdzie otulający smooth jazz przechodzi w zawadiacką nutę country.

Zapomnijmy więc o moralizatorskich pogadankach: że grany przez Redforda wiekowy „rewolwerowiec” to w gruncie rzeczy unikający odpowiedzialności mitoman, wieczny chłopiec i nieuleczalny narcyz. Potraktujmy film jak opowieść o filmie właśnie. W finale czeka na nas zresztą wzruszający bonus, który pozwoli wrócić pamięcią do innych, wcześniejszych napadów i ucieczek ze „złotym chłopcem” w roli głównej. I cieszmy się, że w przeciwieństwie do Amerykanów nie musimy odbierać „Gentlemana” politycznie. Redford jest bowiem w swoim kraju nie tylko aktorem, reżyserem i największą instytucją promującą kino niezależne, ale także symbolem liberalnej Ameryki. Dlatego konserwatyści zarzucają Lowery’emu, że zrobił film bałwochwalczy, a zarazem buntowniczy, promujący sympatie polityczne głoszone przez Redforda. Pikanterii dodaje fakt, że w niektórych ujęciach przypomina on do złudzenia obecnie urzędującego prezydenta. ©

GENTLEMAN Z REWOLWEREM *(The Old Man & the Gun) – reż. David Lowery. Prod. USA 2018. Dystryb. M2 Films.*

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania!

WARTO ZOBACZYĆ W TV [24 – 30 XI]

1. Kiedy Bóg śpi

Dokumentalny, reż. Till Schauder, Niemcy/USA 2017, Canal+ Discovery, 25 XI, 18.00

Ajatollahowie wydali na niego fatwę, ale Shahin Najafi, irański raper i działacz polityczny, nie zamierza się poddawać. Po wyjeździe do Niemiec dalej prowokuje odważnymi tekstami, czym naraża na niebezpieczeństwo siebie, swoich współpracowników, a nawet fanów. Twórcy filmu towarzyszą mu w chwilach, kiedy musi podjąć najważniejsze decyzje.

2. Donbas

Wojenny, reż. Siergiej Łoźnica, Ukraina i inne 2018, Canal+, 26 XI, 21.00, Canal+ 1, 26 XI, 22.00

Omawiany niedawno na tych łamach znakomity film ukraińskiego twórcy pokazuje konflikt zbrojny z perspektywy wojny informacyjnej. Ciąg epizodów rozgrywających się w dzisiejszym Donbasie unieważnia granicę między fabularną kreacją a dokumentalną prawdą, co wprawia widza w stan permanentnej dezorientacji.

3. Rumble. Jak Indianie zatrzęśli światem muzyki

Dokumentalny, reż. Catherine Bainbridge, Kanada 2017, TVP Kultura, 28 XI, 22.55

W historii muzyki popularnej ogromną rolę odegrali rdzenni mieszkańcy Ameryki, choć ten rozdział bywa często pomijany. Dokument tropi ślady indiańskich wpływów w rocku, bluesie czy jazzie, rozpoznaje twórców o takich korzeniach, oddaje głos zainteresowanych tym tematem. Jest wśród nich Martin Scorsese, Taj Mahal czy Tony Bennett.

4. To jeszcze w nas trwa

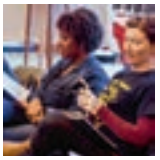

Dokumentalny, reż. Sareen Hairabedian, USA 2018, HBO, 29 XI, 22.05, HBO 2, 30 XI, 23.10

Czy poezja jest w stanie uleczyć z wojennej traumy? Aktor Jeffrey Wright prowadzi warsztaty literackie dla weteranów cierpiących na zespół stresu pourazowego. Poznajemy dziesięciu z nich, kiedy po przelaniu na papier swoich bolesnych doświadczeń stają przed publicznością Lansburgh Theatre w Waszyngtonie.

JAN

Klata: *Totemy*

Petersburg. Mieszkanie Fiodora Dostojewskiego. Kilka pokoi, najważniejsza pracownia. Na biurku stwórcy zegar. Oczywiście już nie chodzi, przecież nie jesteśmy na dworcu. Zegar wskazuje czas. Jaki czas? Czas głębszy, prawdziwy, istotę zdarzeń, nie zasłonę złudzeń pełną bezrefleksyjnego kieratu tyknięć wte i wewte, wte i wewte, wte i wewte. Zegar strategicznie uplasowany w bezsprzecznym epicentrum wszechświata, na biurku Fiodora Dostojewskiego wskazuje datę śmierci Demiurga.

Turyn. Muzeum Cesarego Lombrosa. W drzwiach wita nas gospodarz, czyli szkielet naukowca. Osobiście. *Personal touch*, można by rzec, niestety, choć oczywiście nie wolno dotykać eksponatów, nawet zdjęć nie wolno wykonywać na wieczną pamiątkę. Cesare Lombroso ofiarował się pośmiertnie ludzkości, taksuje nas oczodołami, uśmiecha się a to uprzejmie, a to z lekka szyderczo – w zależności od nastroju. Genialnie i obłąkańczo to wymyślił, kuty na cztery łapy spryciarz, przecież szkieletowi nikt nie powie, że z perspektywy czasu zbłądził, że stoi na końcu ślepej uliczki, że dalej tylko Auschwitz.

Petersburg, w Petersburgu pokój, w pokoju biurko, przy którym ktoś napisał „Braci Karamazow", a zaraz później umarł. Dokładnie w środę, 28 stycznia, o godzinie 8.37. Naonczas świat wypadł z ram. Wszystko to udowodnione naocznie, na biurku, na górze sporego szafkowego zegara, który zawiera wszystko: czarne wskazówki na białym cyferblacie, poniżej dzień tygodnia, numer dnia i miesiąc. Dokładnie wtedy czas stanął, niczym szkielet Lombrosa na progu.

Jesteśmy po to, aby możliwie żarliwie w to wierzyć. Nasza wiara w literaturę, w naukę zatrzymuje czas. Wytwarzamy symbole, wokół których kręci się karuzela pokoleń. Totemy. Te totemy to my. Bez nich nas niet. ©

Lektor: *Wielogłos*

■ **100 WIERSZY WYPISANYCH Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO**
w przekładzie Jerzego Jarniewicza
Biuro Literackie,
Stronie Śląskie 2018, ss. 166.

Najpierw arytmetyka: 100 wierszy, 26 poetów, 14 poetek. 20 autorów zaprezentowanych trzema utworami, 20 – dwoma. Teraz geografia: Anglia, Irlandia, Szkocja i Walia. Ze Stanów Zjednoczonych tylko Joy Harjo z indiańskiego plemienia Krików i Serb Charles Simic. Z Kanady – Leonard Cohen, Tim Lilburn, Malcolm Lowry (autor „Pod wulkanem"), Michael Ondaatje (pochodzący z Cejlonu, czyli Sri Lanki) i Raymond Souster. Z Karaibów – Derek Walcott (wyspa Saint Lucia). Brytyjka Moniza Alvi urodziła się w Pakistanie, kraju swojego ojca, Szkotka Jackie Kay była adoptowanym dzieckiem nigeryjskim. Język wierszy – angielski, z jednym wyjątkiem Irlandki Nuali Ní Dhomhnaill, tegorocznej laureatki Nagrody im. Zbigniewa Herberta, która pisze po gaelicku. Jeszcze chronologia: najstarszy w tym tomie Hugh MacDiarmid, ważna postać literatury i ruchu narodowego Szkocji, urodził się pod koniec XIX wieku, a Irlandki Leontia Flynn i Sinéad Morrissey – w latach 70. wieku niedawno minionego.

Jest to więc mozaika nadzwyczaj wielobarwna, a przy tym nieoczywista. Antologia, która nie rości sobie pretensji do reprezentatywności, stanowi gest osobisty i świadectwo 40-letniej pracy tłumacza, który w posłowiu wyjaśnia: „Interesuje mnie przede wszystkim poezja Wysp Brytyjskich, dlatego to Brytyjczycy i Irlandczycy bezceremonialnie przeważają. To, że pewnych nazwisk w książce nie ma, nie znaczy, że ich nie znam lub nie cenię". I dodaje, że tłumaczył w większości tych, których wcześniej na polski nie przekładano, a często nadal istnieją tylko w jego przekładach. Są więc, owszem, Philip Larkin (m.in. słynny „This Be The Verse"), Seamus Heaney, Craig Raine, Christopher Reid czy Simon Armitage, którzy – podobnie jak Simic i Walcott – mają już u nas swoje książki, przeważają jednak nazwiska mniej znane. Wybór swój oddał Jarniewicz w ręce Joanny Mueller i Artura Burszty, których dziełem jest układ całości (z mocną partią finałową!).

Kocham takie antologie, bo przynoszą laikowi niespodziewane odkrycia. Jak Rosemary Tonks (1928–2014), która w latach 60. opublikowała dwa ważne zbiory, a później po dramatycznych przejściach osobistych zamilkła i przez ponad 30 lat żyła jak pustelnica. Albo wiersze takie jak „Pani Noe. Po potopie" i „Galwanizacja dziecka" Jo Shapcott. Albo... Nie, lepiej niech każdy szuka sam. ©℗

Egzemplarz redakcyjny
Nie do rozpowszechniania!

PAWEŁ

Bravo:
Koty wiedzą lepiej

Trzy centymetry na sekundę. Tyle wynosi prędkość głaskania optymalna dla receptorów w ludzkim organizmie ustalona przez czołową specjalistkę w dziedzinie „afektywnego dotyku" z uniwersytetu w Liverpoolu. Dowiedziałem się o tym przy okazji myszkowania po tekstach, od których zaroiło się w związku z ogłoszoną przez brytyjski rząd kampanią zwalczania samotności jako choroby społecznej.

Będzie mi brakować wyspiarzy po brexicie z mnóstwa powodów: absurdalnego poczucia humoru, które daje człowiekowi umiarkowanemu schronienie przed solenną nudą własnej przyzwoitości. Swego rodzaju bezczelnej łatwości politycznego działania – bez niej Karol Marks pozostałby tylko kolejnym z łańcucha drętwych mędrków, których się zapomina wraz z piwem wypitym dla uczczenia zaliczonego kolokwium z niemieckiej filozofii idealistycznej. Zabraknie mi też tej anomalii w strukturze władzy: oto rodzina zajmująca przez zasiedzenie posadę głowy państwa zasysa dla siebie cały blichtr – wszyscy poniżej, od premiera w dół, nie aspirują więc do majestatu i żyrandoli, lecz bardziej są skłonni do zarządzania przyziemnością. Czasami nawet aż za bardzo zarządzają, powołując np. ministerstwo do spraw samotności. Takie rzeczy tylko na Wyspach.

Samotność – dotykająca nawet jedną piątą populacji – to zjawisko, jak głosi rząd Theresy May, równie szkodliwe dla zbiorowości, co otyłość dzieci. Od tego roku lekarze pierwszego kontaktu mogą zapisywać udział w grupach terapeutyczno-zajęciowych osobom, u których wykryją samotność. Gotowanie, tańce, chóry, dzierganie... Do wyławiania potencjalnie „chorych" zaangażowano listonoszy, mających lepsze rozeznanie w życiu lokalnej wspólnoty niż policjant czy proboszcz (tego ostatniego przeważnie już nie ma).

Zaraz o swój udział i porcję z 20-milionowego budżetu antysamotniczego odezwali się specjaliści żyjący zawodowo z głaskania. Bo w świecie, który wyrugował jako rzecz bliską niemal molestowania wszelką formę dotyku poza rodziną i związkami intymnymi, przytulanie i głaski stają się przedmiotem biznesu terapeutycznego. Powstało wiele „klinik", gdzie za odpowiednią opłatą można sobie wybrać z szerokiego menu rodzaj kontaktu i dowiedzieć się, jak bardzo to jest egzystencjalnie ważne, by poczuć na skórze dotyk i ciepło drugiego osobnika.

Wszystko tu jest, jak mi się niefachowo wydaje, powiązane i przypomina ów socjalizm z bon motu Kisiela: bohatersko walczący z problemami, które sam stworzył. A starczyło uważnie obserwować własnego kota. Zwierzę to ma przesadnie dobry PR, jest w istocie oportunistą, leniem, tchórzem, złodziejem i morderczym zbirem o inteligencji ściśle manipulacyjnej, o tyle godnej podziwu, że to my, rzekomy „właściciel", stanowimy najprostszy przedmiot manipulacji. A co jest naczelnym jej celem? Wcale nie pełna miska, bo jedzenie można zawsze ukraść. Jest coś jeszcze ważniejszego, co kot na nas wymusza: pieszczoty i dotyk. Nawet mając w domu koty w liczbie mnogiej, które zapewniają sobie trochę wzajemnej troski, człowiek bywa regularnie manipulowany, aby je głaskać, smyrać, miętosić i tulić.

Niezależnie od tego, że to po prostu miłe, koniecznie trzeba to robić, bo tylko tak możemy wynagrodzić fakt, że trzymamy zwierzę w niewoli i karmimy czymś obrzydliwym, jeszcze do tego spreparowanym, by podjudzić na te sztuczności apetyt. Ilekroć miałem pomysł, aby opisać obecność któregoś z sześciu kotów w mojej kuchni, to wstyd mnie ogarniał. Każdy z nich miał swoje małe febliki, jeden lubił oliwki, drugi żółty ser, trzeci wylizywał resztki kawy, czwarty wydłubywał groszek z puszki, prawie wszystkie kochały masło, biały ser i tłuszczyk z boczku na patelni. Tylko niektóre wiedziały, co począć z surowym mięsem, a niektóre wręcz się go brzydziły – co nie jest jednak dobrym usprawiedliwieniem dla tych puszek, saszetek, torebek z chrupkami, jakie im przez lata wsypywałem do miski. Z łososiem czy z królikiem? I tak całe ich 15-letnie życie – wybór między dwoma-trzema smakami, równie umownymi jak rzeczywistość, do której trafiła Alicja po wypiciu mikstury. Niektóre „potrawy" najdroższych marek premium przypominają zapachem i smakiem konserwy dla ludzi, ale to nie ja mam tu być arbitrem smaku.

A może one rzeczywiście stoją wyżej od nas na drabinie rozumu i godzą się z marnością żarcia, bacząc jedynie, by uzyskać od nas słuszną ilość dotyku, prawdziwej strawy dla ciała i duszy? Platoniczny dotyk: zadbajmy o niego. Bo znając skuteczność naszego państwa, to może i lepiej, że nigdy nie powoła ministerstwa samotności.

©℗

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania.

ISTOCK / GETTY IMAGES

To wstydliwe, ale przecież każdy próbował karmy dla kota, prawda? Chcąc jednak zjeść pasztet, nie sięgajmy ani po kocią puszkę, ani ludzką, bo można łatwo zrobić swój. O pasztecie z drobiowych wątróbek na sposób toskański już kiedyś pisałem. A oto ciekawy wariant wegetariański: dusimy na oliwie posiekaną szalotkę, dodajemy 250 g oczyszczonych i posiekanych pieczarek, podlewamy 50 ml białego wina, odparowujemy, zmniejszamy ogień, dodajemy sól, pieprz i tymianek, dusimy 10 minut. Po wystudzeniu miksujemy z 40 g orzechów włoskich i 100 g serka typu filadelfia.
A ponadto, na cześć jednego z moich kotów (zjadacza oliwek), jeszcze przypomnienie zielonej tapenady: odciskamy bardzo dokładnie na sicie zielone oliwki bez pestek z ich słoikowej zalewy (jest przykra w smaku), miksujemy je razem ze sporą ilością oliwy (ok. 3 łyżki na 100 g), paroma kaparami, tymiankiem i posiekaną natką pietruszki. Ilość oliwy musi być taka, żeby udało się w miarę gładko to zmiksować, choć ja lubię „szorstką" fakturę smarowidła. Jeśli dla kogoś smak jest za ostry, można przed posmarowaniem kanapek dodać szczyptę cukru pudru.

CO NAM MÓWI PĘPEK ŚWIATA

Delfy to źródło greckiej mądrości, bez której kultura Europy nie byłaby tym, czym jest. Na frontonie świątyni Apolla wyryto najsławniejszą sentencję starożytności: „poznaj siebie".

PIOTR SIKORA

Egzemplarz redakcyjny
Nie do rozpowszechniania!

Nie Megaron w Mykenach, gdzie Agamemnon przyjmował poselstwa z całego świata. I nie Lwia Brama, przez którą Atrydzi ruszali na Troję. Również nie labirynt w Knossos, ani nie minojskie pałace. Nie ateńska agora, ani skała Aresa. Nawet nie Akropol, z Partenonem – wzorcem klasycznego piękna i harmonii.

Miejscem, gdzie znajdował się Pępek Świata, Omfalos, były Delfy. Tam, gdzie – na przecięciu dwóch tektonicznych uskoków – ze szczeliny w ziemi wypływało źródło wody, której opary wprowadzały w święty szał wieszczkę Pytię. A ona, siedząc na trójnogu w adytonie („miejscu, gdzie się nie wchodzi"), dawała odpowiedzi na wszystkie pytania – stając się na chwilę ustami Apolla.

Połączenie przeciwieństw

Mit opowiada, że Apollo przejął Delfy zabijając ogromnego węża, Pytona – syna Gai, Matki Ziemi, który strzegł podziemnego wejścia do źródła tajemnej wiedzy. Tak połączyło się w tej górskiej dolinie to, co wysokie i niskie, jasne i ciemne, z daleka przybyłe i od wieków nasze.

Fryderyk Nietzsche przeciwstawiał żywioł apolliński i dionizyjski. Ukształtowało to popularny obraz tych bogów – który jest jednak uproszczeniem zakłamującym rzeczywistość. Apollo, bóg rozumu, miary i harmonii, w swoim głównym sanktuarium wprowadzał wieszczki w proroczy szał. Jego kult przywędrował do Grecji najprawdopodobniej z Tracji, gdzie żywe były tradycje szamańskie. Gdy zaś, jak mit powiada, udawał się zimą na północ do swojej rodzinnej ziemi, rządy w Delfach przejmował właśnie Dionizos – bóg transu i upojenia. Delfy leżą u stóp Parnasu – góry Muz. One, orszak Apolla, także zsyłają natchnienie. Ono, a nie rozważna praca rozsądku, jest źródłem prawdy, która mieszka w poezji i innych sztukach.

Delfy zatem, apollińskie (i dionizyjskie też trochę), to siedziba duchowości szału i odurzenia. Trzeba o tym wszystkim pamiętać, bo jednocześnie Delfy to źródło i korzeń greckiej mądrości, bez której kultura Europy nie byłaby tym, czym jest. I to z powodów znacznie głębszych niż ten, że do standardu wykształcenia kulturalnego Europejczyka należy wiedza, iż na frontonie delfickiej świątyni Apolla wyryto najsławniejszą mądrościową sentencję starożytności: „*gnoti seauton*" (poznaj siebie).

Wszelka bowiem droga mądrości, którędy by nie przebiegała, bierze początek właśnie w poznaniu siebie. Dlatego Sokrates może łatwo uciec od pytania Fajdrosa o naturę mitycznych stworów: „Ja się tym nie zajmuję, nie mogę, jestem na wcześniejszym etapie, jeszcze nie poznałem sam siebie". Sokrates jak zwykle powołuje się tutaj na swoją niewiedzę, ale jednocześnie daje przytyczka w nos młodzieńcowi, który z ciekawości chciałby zająć się po trochu wszystkim. Skromnie unikając odpowiedzi pyta i napomina rozmówcę: „A ty, Fajdrosie? Czy ty poznałeś sam siebie? Wróćże do tego, co najważniejsze".

W tym samym platońskim dialogu sławny Ateńczyk, który wie, że nic nie wie, zmuszony przez wewnętrzny głos dajmoniona wygłasza mowę na cześć Erosa. W mowie tej nie tylko mówi o kilku rodzajach szału, odurzenia czy odejścia od zmysłów. (Jednym z nich jest szał proroczy – wieszczbiarstwo, w które wpadała Pytia). Stwierdza stanowczo: „Starodawni za piękniejszy uznawali szał niż stan trzeźwości, jako pochodzący ten pierwszy od bogów, ten drugi zaś od ludzi".

A przecież jest Sokrates mistrzem trzeźwych – i otrzeźwiających – pytań, które leczą z ułudy wiedzy. To Sokrates jako jedyny zachowuje przytomność do końca najsłynniejszej uczty filozofów, którzy pijąc wino, sławili Erosa. Tylko Sokrates jest w stanie nie stracić świadomości siebie w dionizyjskim ↦

Wieszczka Pytia w świątyni Apolla w Delfach. Drzeworyt z ok. 1890 r. na podstawie obrazu Henriego Motte, kolor dodany później

AKG / EAST NEWS

Egzemplarz redakcyjny.
Nie do rozpowszechniania!

↦ odurzeniu (i po skończonej biesiadzie idzie się wykąpać w Likeionie – gimnazjonie przy świątyni Apolla).

Sokrates jest zatem najwybitniejszym uczniem Delf. Łączyły one bowiem w sobie tajemną gnozę prorockiego szału, dionizyjskie odurzenie i trzeźwą mądrość Siedmiu Mędrców: Talesa z Miletu, Pittakosa z Mityleny, Biasa z Prieny, ateńczyka Solona, Kleobulosa z Lindos, Myzona z Chen i spartanina Chilona (według najstarszego z zachowanych przekazów, w platońskim „Protagorasie"). Był wśród nich i pustelnik (Myzon), i władcy (jak Pittakos i Solon). Wszyscy żyli na przełomie VII i VI wieku p.n.e. i – wedle ludowych podań oraz opowieści starogreckich dziejopisarzy – stali u początków najważniejszych aspektów klasycznej kultury: filozofii (Chilon i Tales), ateńskiej demokracji (Solon) czy sprawiedliwych procesów sądowych (Bias).

Duch, przyjaźń i handel

„Poznaj siebie" nie było jedyną maksymą wyrytą w delfickim sanktuarium. Jak pokazują badania, było takich sentencji co najmniej 147 (możemy je wszystkie przeczytać w niedawno wydanym przekładzie Krzysztofa Bielawskiego – opatrzone erudycyjnym wstępem i komentarzami tłumacza: „Delficki trójnóg. Sentencje delfickie", Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2018).

Wypisane były w świątyni Apolla, w okolicach wejścia. Każdy, kto chciał zadać pytanie Wyroczni i uzyskać jej odpowiedź, musiał je minąć. Gdy zaś siedział czekając na odpowiedź kluczową dla losów swojej *polis*, albo i dla własnego życia, wzrok jego zapewne zatrzymywał się na tej czy innej maksymie.

Każda z sentencji to dwa, najwyżej trzy słowa: „*kairon gnoti*"; „*fronei theta*"; „*kakias apechu*", „*hamartanon metanoei*". Język polski w porównaniu z greką jest często bardzo rozwlekły: „znaj właściwy czas"; „mądrze rozmyślaj nad tym, co śmiertelne"; „trzymaj się z dala od zepsucia"; „jeśli się mylisz, zmieniaj zdanie". Znacznie więcej słów, a przecież nadal oddają tylko część sensów oryginału. Mędrcy greccy długo cyzelowali swój język, by w jak najkrótszej formie zawrzeć maksimum znaczenia. Już sama forma sentencji jest owocem wytężonego dążenia do mądrości i pokazuje jeden z jej najważniejszych aspektów: przenikliwość spojrzenia, które jasno i precyzyjnie rozpoznaje, co jest właściwe w danej sytuacji.

Sentencje dotyczą spraw rozpiętych od czegoś, co dziś zaliczylibyśmy do sfery duchowości, poprzez kwestie zdobywania intelektualnej wiedzy, budowania głębokich relacji osobistych i społecznych, a skończywszy na dość prozaicznych zagadnieniach związanych z zarabianiem i wydawaniem pieniędzy.

Duchowość nie dotyczy tylko tych nielicznych maksym, które wprost wspominają boga lub bogów – jak pierwsza w zbiorze: „podążaj za bogiem". One raczej, w perspektywie greckich czytelników, dotyczyły posłuszeństwa niepisanym prawom odziedziczonym z tradycji oraz zgody na ludzką kondycję, wystrzeganie się szalonych pomysłów rywalizacji z Nieśmiertelnymi.

Duchowość delfickiej mądrości można odnaleźć na przykład w sentencji: „strzeż uwagi". Taki przekład uważam za bardziej adekwatny od „miej się na baczności" Bielawskiego; ten ostatni jest może językowo lepszy, ale – moim zdaniem – za bardzo kojarzy się z sytuacją zagrożenia i nie pozwala od razu zauważyć związku maksymy z coraz powszechniejszym dziś uznaniem dla postawy uważności – *mindfulness*, „wsłuchiwania się we wszystko" – jak radzi inna sentencja. Albo: „praktykuj zbożne milczenie". Duchowość Delf to również świadomość swojej śmiertelności, która uwalnia od śmiertelnej troski, wiedza, żeśmy gośćmi na tym świecie, panowanie nad gniewem i zdolność do kierowania sobą. A także zachowywanie równowagi umysłu – nieuleganie nadmiernej ekscytacji, niewybieganie za szybko do przodu – co, jak przekonuje polski tłumacz i komentator, jest najgłębszą treścią drugiej najbardziej znanej w greckim świecie sentencji: „nic nad miarę".

Delfickie krótkie rady uczyły także tego, jak się uczyć. Przypominały, na przykład, o czymś niby oczywistym, o czym jednak nie zawsze pamiętają dzisiejsi studenci: „Myśl (rozważaj) po wysłuchaniu". Namawiały do wytrwałości w zdobywaniu wiedzy oraz do tego, by przebywać z mądrymi, a przebywając w takim towarzystwie mieć otwarte oczy, uszy i umysł.

Ogromna jednak część sentencji, chyba najliczniejsza, dotyczy relacji z bliźnimi. Przyczyna tego pewnie prozaiczna: ci, którzy mieli czytać te rady wywieszone w delfickiej świątyni, żyli w ciężkich czasach, w których człowiek w pojedynkę nie był w stanie sobie poradzić. By przeżyć, trzeba było dobrze żyć z ludźmi ze swojej wioski, miasta, a nawet z przybyszami z obcych stron. A nie jest to proste, o czym wszyscy wiemy i dzisiaj.

Sentencje nie tylko kładą nacisk na rodzinę – szacunek dla rodziców i tradycji przodków. Można w nich także odnaleźć pochwałę przyjaźni. I rady, jak ją pielęgnować: „pomagaj przyjaciołom, bądź dla nich życzliwy" (to, mogłoby się wydawać, banały, lecz warte czasem przypomnienia). Ale mądrość Delf zawiera także mniej oczywiste wskazówki: „rozmawiaj prosto"; „daj, co zamierzasz dać" (tj. nie wycofuj ręki z darem); „patrz, kiedy słuchasz"; „wobec ludzi postępuj łagodnie", „jeśli masz, dawaj", „mów dobrze o wszystkich", „odpowiadaj w porę".

Mędrcy wiedzieli też, co niszczy przyjaźń. Choćby *hubris* – pycha, chęć wyniesienia siebie kosztem drugiego. Wielokrotnie powtarza się więc wśród sentencji motyw nienawiści do pychy, unikania jej jak ognia, jak najdalej.

Pycha często posługuje się słowem. Chwaleniem się: czego to ja nie mogę. Oszczerstwem poniżającym bliźnich, traktowanych jako rywale. Tak więc mędrcy delficcy mówią i to: „miej w nienawiści oszczerstwo". Ale także: „nie chwal się siłą". Nie trzeba jednak być pysznym, aby nieopatrznym, głupim słowem zniszczyć lub nadwyrężyć przyjaźń. „Trzymaj język na wodzy" – przypominają więc sentencje.

Wyżyny mądrości nie są odległe od prozy życia. W Delfach to wiedzą. Dlatego nie tylko napominają: „podziwiaj wyrocznię". Ale ostrzegają także: „panuj nad wydatkami". Nie bądź jednak sknerą, lecz „ciesz się tym, co nabywasz".

Prawdziwe źródło

Nie do końca wiadomo, jakie jest pochodzenie sentencji. W starożytności twierdzono, że „poznaj siebie" to pozdrowienie samego Apolla skierowane do wszystkich wchodzących. Ale większość starożytnych skłaniała się do zdania, iż sentencje były *wotum*, ofiarą złożoną bogu przez Siedmiu Mędrców z tego, co mieli najcenniejszego. Jeśli tak, to było to *wotum* trochę niczym kukułcze jajo podrzucone bogu – co wyraźnie widać na przykładzie najsłynniejszych historii kierowanych odpowiedzią Pytii.

Egzemplarz redakcyjny
Nie do rozpowszechniania!

Weźmy tę: Wyrocznia ostrzegła rodziców Edypa, Lajosa i Jokastę, władców Teb, że król zginie z ręki syna, który kazirodczo ożeni się z matką. Przebili więc dziecku stopy prętem i porzucili. Niemowlę zostało znalezione przez wieśniaków, a potem oddane na wychowanie królowi i królowej Koryntu. Tam jednak plotki o tym, że jest podrzutkiem, nie dawały Edypowi spokoju. Udał się do Delf, by odkryć swe pochodzenie. Usłyszał od Wyroczni, by nie wracał do ojczyzny, gdyż zabije ojca i ożeni się z matką. Wizja tak potwornych zbrodni przeraziła Edypa. Postanowił zatem uciec jak najdalej od Koryntu. Podczas wędrówki zabił w sprzeczce na drodze napotkanych podróżnych. Jednym z nich był – jak się okazało – Lajos, jego prawdziwy ojciec. Zabójca dotarł do Teb, gdzie w nagrodę za uratowanie miasta od Sfinksa dostał rękę królowej Jokasty – swojej prawdziwej matki. Gdy prawda wyszła na jaw, Edyp się oślepił, a Jokasta – z powodu syna – popełniła samobójstwo.

Historię tę można odczytać jako dowód, że od losu przepowiedzianego z trójnogu nie można uciec. Można jednak popatrzeć na nią inaczej. Czyż bowiem Edyp nie dlatego wpadł w sidła tragicznego losu, iż przejął się słowami Pytii, a zapomniał o boskim pozdrowieniu i radzie z frontonu świątyni? Gdyby wszak poznał samego siebie, kim jest i skąd pochodzi, zanim wyruszył uciekać jak najdalej od Koryntu, mógłby wymknąć się z pułapki losu. „Działaj poznawszy" – radzą sentencje.

Sądzę, że właśnie ten drugi sposób odczytania mitu wspiera historia Krezusa, króla Lidii w Azji Mniejszej. Rozważał on atak na Persję i zapytał Wyrocznię o rezultat ewentualnej wojny. Pytia odrzekła, że wojna ta spowoduje upadek wielkiego państwa. Krezus uznał, że chodzi o imperium perskie. Przekroczył graniczną rzekę i uderzył na Persów. Poniósł klęskę – upadło wielkie państwo, jego własne.

Krezus nie zrozumiał przepowiedni nie tylko dlatego, że nie znał siebie. Był opętany pychą – *hubris* – przed którą delfickie sentencje ostrzegają wielokrotnie. Nie przeczytał także tej: „nie polegaj na przemocy".

Słowa Pytii były często tak niejasne, że odpowiedź, którą mogli przyjąć pytający, formułowali – interpretując tym samym wieszczkę – delficcy kapłani. Ale, jak pokazują powyższe przykłady, nawet tak zinterpretowane przepowiednie łatwo było zrozumieć opacznie. Właściwie, można powiedzieć, ci, którzy nie podążali za radami sentencji, niewielką mieli szansę, by nie pomylić znaczenia boskiego przesłania wyrażonego przez Pytię.

Gdy wczytać się w mądrość sentencji, to wydaje się prawdopodobne, że tym, którzy mądrość tę stosowali w życiu, proroctwa apollińskiej prorokini nie za bardzo były potrzebne. Gorliwi uczniowie sentencji, uważni na to, co jest i co nadchodzi, potrafili rozpoznać właściwy czas i właściwy sposób działania. Uczyli się na błędach, z wszelkich doświadczeń wyciągali wnioski. Dbali o dobre relacje z ludźmi. Nie próbowali sięgać po to, co nieosiągalne. Akceptowali los, potrafili się cieszyć każdym małym szczęściem. Po cóż mieli pytać Pytię? I o co? Pytali mądrych ludzi, z którymi trzymali, z uwagą obserwowali, co wokół się dzieje.

Pycha często posługuje się słowem. Chwaleniem się: czego to ja nie mogę. Oszczerstwem poniżającym bliźnich, traktowanych jako rywale. Tak więc mędrcy delficcy mówią: „miej w nienawiści oszczerstwo". Ale także: „nie chwal się siłą".

Tak, delficka Wyrocznia była duchowym centrum starożytnej Grecji. Przybywały tam pielgrzymki z całej *oikumene*. Przynosiły swoje pytania i dary. Wielu – na szczęście – czekając na odpowiedź, czytało sentencje. Uczyło się tych krótkich zdań na pamięć. Powracało do swoich domów nie tylko ze słowami Pytii, ale także Siedmiu Mędrców. Jak we wstępie do ich polskiego przekładu wspomina tłumacz i komentator, sentencje funkcjonowały jako podstawa paidei – greckiego wychowania – nawet w najdalszych koloniach Hellenów, od Egiptu po dzisiejszy Afganistan.

Uskok się zamknął

Zachowało się kilka spisów sentencji. Różnią się nieco od siebie. Która z nich najwierniej oddaje oryginał delfickiej świątyni – trudno jednoznacznie powiedzieć, bo ten nie przetrwał do naszych czasów. Nie wiadomo nawet, czy wszystkie sentencje spisano od razu, czy też zbiór mądrości powiększał się wraz z upływem pokoleń.

Polski tłumacz za najbardziej wierny uznał spis autorstwa Sosiadesa, zachowany w dziele Stobajosa, autora z IV w. po Chrystusie. We wstępie uzasadnia swój wybór – a my, czytając to uzasadnienie, możemy się zorientować, jak żywotna i długotrwała była w helleńskim świecie mądrościowa tradycja sentencji.

Wyroczni już nie ma. Uskok w ziemi się zamknął, prorocki szał ustał, Pytia zamilkła. Pyton, być może nie całkiem zabity, po tysiącach lat odebrał Apollonowi niegdyś utraconą bramę do wiedzy tajemnej. Sentencje przetrwały. W materialnych, zapisanych zbiorach. W cytatach i parafrazach późniejszych miłośników mądrości, jak choćby Sokratesa, Platona, stoików. Przetrwały także w czymś głębszym, choć dużo trudniej uchwytnym: w duchowym ćwiczeniu wszystkich rozpoczynających drogę od wysiłku poznania siebie, utrzymujących uważność i równowagę umysłu, pielęgnujących przyjaźń i przekazujących mądrość Siedmiu z pokolenia na pokolenie po prostu przez to, kim są i jak żyją.

Jeśli zaś żal nam tej drugiej, bardziej szalonej strony delfickiej mądrości, to niech pocieszeniem nam będzie przykład najbardziej trzeźwego ucznia Delf – Sokratesa. Pokazuje on, że warto być wyczulonym na ekstatyczny głos dajmoniona – bo każda i każdy z nas może go właśnie teraz usłyszeć. Albowiem Omfalos, Pępek Świata, każdy nosi w sobie.

©℗ PIOTR SIKORA

Egzemplarz redakcyjny. Nie do rozpowszechniania.

STANISŁAW

Mancewicz:
Poradnia rachunkowa i językowa

Powiedzmy, że 10 złotych to realna cena za schabowego z ziemniakami w handlu detalicznym. A więc 40 milionów złotych podzielone przez 10 złotych daje 4 miliony schabowych. Z ziemniakami. W skali roku mamy za sumę inkryminowaną do zjedzenia grubo ponad 100 tysięcy schabowych dziennie. By zjeść tyle schabowych jednego dnia, klient musi mieć apetyt. Ma. Między nami mówiąc: zjadłby i drugie tyle.

Ale to był tylko wtręt. No więc, by wyprodukować tyle kotletów, trzeba zaszlachtować jedną trzecią pogłowia trzody chlewnej wyhodowanej w roku obecnym w kraju naszym. Plus minus. Zsumowanie, ileż wypadłoby ziemniaków do każdej porcji, oczywiście wykracza poza nasze skromne możliwości arytmetyczne. Powyższa wyliczanka ma jednak ułatwić wyobrażenie sobie, jaką siłę nabywczą ma – przyznajmy – nieco abstrakcyjna dla szarego obywatela suma 40 milionów złotych. Tyle liczenia. Przejdziemy teraz do zagadnień lingwistycznych. Jest to teren, na którym czujemy się pewniej.

Oczywiście nie będziemy dziś zajmować się znaczeniem słowa „szumidło". Powód jest oczywisty, od trzech lat szumidło jest powszechnie znanym godłem władzy i urządzenie to jest wręczane każdemu, kto jej sprzyja, chce dla niej siać, orać, żąć i zbierać, zagłuszać i nagłaśniać. Kto chce jeść schabowe w ilościach ponadnormatywnych. Słowem, tłumaczenie, czymże jest szumidło, mogłoby nas dziś narazić na śmieszność. Podobnie nie mamy zamiaru zabawiać publiczności znaczeniem słowa „korupcja". Doprawdy opowiadanie w dzisiejszej Polsce o sensie tego terminu jest jak nigdy zajęciem groteskowym. Wydaje się więc, ale jest to tylko pozór, że rzeczywistość wytrąca nam codziennie oręż, jeśli idzie o poradnictwo językowe czy akcje pomocowe w próbach rozumienia bądź zrozumienia tutejszego języka. Nic podobnego. Najważniejsze w chwilach zwątpień są refleks, oczytanie i erudycja. Ważna jest takoż kultura słowa, zamiłowanie do archeologii językowej i takoż wyposażenie biblioteczki podręcznej w konieczne słowniki. Wszystkie te warunki spełniamy z naddatkiem.

Słowo, które uważamy za znakomite, idealnie ilustrujące dzisiejszość i jej okoliczności, brzmi „reket". „Reket" albo „rekiet", pisownia bowiem bywa różna. Słowo to było powszechnie znane i używane w Polsce w latach 90. ubiegłego wieku. Z jakichś tam powodów zestarzało się i poza ludźmi z dobrą pamięcią popadło w zapomnienie. Archaizm ten ma m.in. następujące synonimy: zastraszanie, rabunek, narzucanie, szantaż, wymuszanie, szaber i grabież. Do słowa „reket" jak ulał pasuje nam tu śródziemnomorski termin „*consigliere*". To doradca rodziny, często widziany jako prawa ręka szefa. Używany bywa jako mediator, reprezentant i pomocnik. W praktyce jest trzecią najważniejszą osobą w organizacji, człowiekiem doświadczonym i wtajemniczonym. Na to stanowisko szef najczęściej wybiera osobę, której może zaufać. Której rodzina ufa. Cieszymy się jak malutkie dzieci na widok kózki, która gdyby nie skakała, toby nóżki nie złamała, dawno bowiem nic się nam tak nie sklejało. Poza tym wreszcie na coś się nam przydają stare słowniki oraz encyklopedie. Detal różniący opisane tu zjawiska, wzięte przecież ze sfery usług raczej prywatnych, ze zjawiskiem obecnym i tutejszym jest taki, że jakże gibko wmontowano je w ustrój i w działanie państwa. Rzecz jasna mamy garść terminów do łacnego przypisania niektórym ustrojom. Jest to, dla przykładu, przymusowe wyzuwanie obywateli z majątku, eufemistycznie zwane wywłaszczeniem czy to nacjonalizowaniem. Jest jeszcze słowo „mafia", ale jego sensu i znaczenia nie chce nam się na razie objaśniać. Ono po prostu znaczy to i owo. Tutaj i teraz. ©℗

Egzemplarz redakcyjny
Nie do rozpowszechniania!

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Tygodnik Powszechny Historia"
„Dał nam siłę"
– na 40. rocznicę wyboru Karola Wojtyły na papieża

- Po 33 dniach pontyfikatu umiera Jan Paweł I. Kardynałowie, ponownie zebrani na konklawe, wybierają na papieża metropolitę krakowskiego Karola Wojtyłę. Jak do tego doszło i jak zareagował świat?
- Akt pokuty za grzechy Kościoła, nowe otwarcie w dialogu z innymi religiami, wyczulenie na biedę, pielgrzymki, próba budowy nowego feminizmu: 27 lat tego pontyfikatu nieodwracalnie zmienia Kościół
- Już za życia mówiono o nim „Jan Paweł Wielki". Co ze spuścizny papieża przetrwało do dziś?

Wśród autorów:
ks. Adam Boniecki, abp Grzegorz Ryś, Marek Zając, Katarzyna Wiśniewska, Anna Turowiczowa, Agnieszka Sabor, Józefa Hennelowa, Józef Majewski, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk

„Tygodnik Powszechny Historia"
– do nabycia w dobrych punktach z prasą i salonach prasowych

Egzemplarz redakcyjny
Nie do rozpowszechniania!

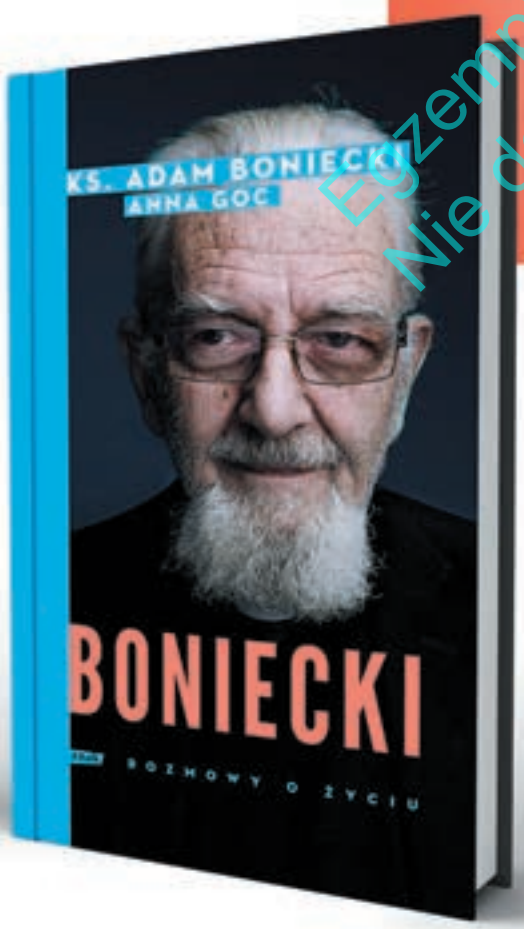

znak

KS. ADAM BONIECKI
pierwszy raz o swoim życiu

Trzeba niemałej wolności wewnętrznej, żeby zdobyć się na podobne wyznania – i wolność nie bez powodu jest jednym z najczęściej nawracających tematów tych rozmów.

fragment wstępu Michała Okońskiego

JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYGODNIK POWSZECHNY

REKLAMA

REKLAMA

XXII EDYCJA KONKURSU

Grand Press 2018

Grand Press

NAGRODY W KATEGORIACH:

NEWS
DZIENNIKARSTWO ŚLEDCZE
PUBLICYSTYKA
REPORTAŻ
WYWIAD
DZIENNIKARSTWO SPECJALISTYCZNE

Dziennikarz Roku

Magazyn „Press" zaprasza ponadto kolegia redakcyjne wszystkich pism, stacji radiowych i telewizyjnych oraz profesjonalnych redakcji internetowych w Polsce do udziału w wyborze Dziennikarza Roku 2018.

Nominacje będą przyjmowane **do 4 grudnia br**.
Regulamin konkursu na: www.grandpress.pl.

Egzemplarz redakcyjny.
Nie do rozpowszechniania!

PRZYZNANE ZOSTANĄ TEŻ NAGRODY

Grand Press Digital
Grand Press Economy
Nagroda im. B. Tomaszewskiego

Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród odbędzie się 11 grudnia 2018 roku w Warszawie w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN

ORGANIZATOR

MECENAS KONKURSU

SPONSORZY KONKURSU

PARTNERZY KONKURSU

PARTNER NAGRODY GRAND PRESS DIGITAL

PARTNER NAGRODY GRAND PRESS ECONOMY

PARTNER NAGRODY IM B. TOMASZEWSKIEGO